

TOM CCLXXIV.

ROK 69.

SERYA 9.

ZESZYT 820.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

K W I E Ś I E Ń.

1909.

TOM II.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1909.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. POLSKA A EUROPA,—przez <i>Szymona Askenazego</i>	1
2. STELLA (powieść),—przez <i>Antoniego Gawńskiego</i>	31
3. REWOLUCYA PERSKA,—przez <i>B. Koskowskiego</i>	58
4. POŚREDNICTWO AUSTRYACKIE W POWSTANIU LISTOPADOWYM,—przez <i>Ernesta Łunińskiego</i>	106
5. RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	115
6. WOLA LUDU,—przez <i>T.</i>	136
7. PRZEBŁYSKI LITERACKIE,—przez <i>Wł. Bogusławskiego</i>	151
8. PIŚMIENICTWO:	
DR. STANISŁAW KARWOWSKI: „Czasopisma wielkopolskie.“ Część pierwsza. 1796—1859, —przez <i>H. M.</i>	176
SAVITRI: „Poezye,“—przez <i>Henryka Gallego</i>	178
WACŁAW SIEROSZEWSKI: „Małżeństwo,“ „Być albo nie być,“ „Tula-cze,“—przez <i>Henryka Gallego</i>	182
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Skasowanie fortec w Król. Polskiem.—Sprawa chełmska w najnowszej swojej fazie.—Warszawska Szkoła sztuk pięknych w r. 1908.—Nastrój chwili.—Delegacya obywatelska	185
10. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Wojciech hr. Dzieduszycki i ś. p. Helena Modrzejewska-Chłapowska,—przez <i>Z. D.</i>	199
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	203

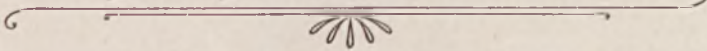
Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 3.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

1900 - Tom II

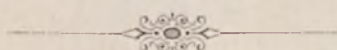
Ogólnego zbioru Tom 274.



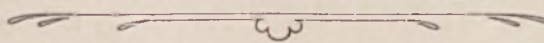
BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1909. — Tom II.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1909.

Wydawnictwo Towarzystwa

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA



De. II 1.

Opis biblioteki warszawskiej 1794

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

SYSTEM KSIĘGOCZYN

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.


ROK 1900. WYDANIE II.

WARSZAWA

Wydawnictwo Biblioteczne i Księgarskie Warszawskie

1900


Ogólnego zbioru Tom 274.



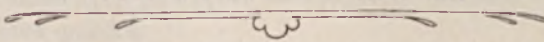
BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1909. — Tom II.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

—
1909.

POLSKA A EUROPA

1813—1815

podług Dziennika Adama ks. Czartoryskiego.

I.

Okres 1813 do 1815 r. obejmuje w sobie ogromne przesilenie dziejów polskich i europejskich. W tem trzechleciu, rozgraniczonym na obu krańcach przez gruzy palącej się Moskwy a pobojuwisko pod Waterloo, rozegrały się końcowe wstrząśnienia ćwierćwiekowej epoki rewolucyjno-napoleońskiej, skąd w ostatecznym wyniku, mocą aktów Kongresu Wiedeńskiego, wyłoniła się nowożytna budowa mocarstwowa Europy i nowożytna repartycja podziałowa Polski — a wraz wyłoniło się Królestwo Polskie. Gdyż wśród tych niezmiernych powikłań europejskich miejsce ogniskowe zajmowała sprawa polska.

Niniejsze historyczne trzechlecie 1813—1815, przepełnione po brzegi najdonioślejszymi wypadkami i zagadnieniami wojny i pokoju, pozostało po dziś dzień niewyświetlonym w wielu punktach kapitałnych. Pozostało takim w ścisłym zakresie sprawy polskiej, gdzie nic prawie nie uczyniono jeszcze dotychczas celem należytego rozwidnienia całej przedkongresowej i kongresowej akcji w tej sprawie oraz okoliczności towarzyszących założeniu Królestwa Kongresowego. Pozostało takim również nawet w szerszym zakresie współczesnych spraw europejskich, pomimo mnóstwa ujawnionych już w tym względzie zagranicą przyczynków militarno-

dyplomatycznych oraz podjętych tam opracowań historyograficznych.¹⁾ Jest to zresztą zrozumiałe. W rzeczy samej, chodziło tutaj przeważnie o sprawy nie tylko arcydoniosłe, ale i arcyprofne; w dodatku zaś najgłówniejsze rokowania ówczesne dokonywały się częstokroć nie tyle w drodze korespondencji, ile ustnie pomiędzy samymi monarchami i zaufanymi ich doradcami wojskowymi i dyplomatycznymi. To też dla spraw tego trzechlecia, obok urzędowego materiału archiwalnego sztabów i ministerjów spraw zagranicznych, szczególniejszej wagi nabierają relacye pamiętnikarskie, pochodzące od głównych osób działających. Owóż takie mianowicie relacye, z których dopiero mogłoby trysnąć światło na pewne momenty kierownicze zakulisowej akcji wojenno-politycznej, skryzalizowanej, koniec końcem, po tylu przeprawach i odmianach, pod postacią aktów kongresowych wiedeńskich, właśnie w granicach niniejszego trzechlecia płynęły dotychczas nadzwyczaj skąpo, i pod każdym względem, a zwłaszcza w dziedzinie spraw polsko-europejskich, pozostawiały wiele, jeśli nie wszystko, do życzenia. Zawodzą tutaj całkowicie rozgłosne pamiętniki Talleyranda i Metternicha, zawodzą ułankowe notatki Pozza di Borgo i Steina, zawodzą również zapiski kanclerza pruskiego Hardenberga, traktowane zresztą dotychczas przez rząd pruski jako tajemnica stanu, skąd drobne jeno wyinki po dziś dzień uprzyśtępnione zostały. Braki te dotkliwie odczuwa historyografia europejska, lecz w wyższym jeszcze stopniu odczuwa je polska. Dla nas bowiem, rzecz prosta, chodzi tutaj o sprawy najżywniejsze, o ówczesne zdecydowanie losów naszych w sposobie prawie niezmiennym po dziś dzień pod względem terytoryalnym; co zaś główna—o ówczesną walną, a jedyną, jak dotychczas, poważną próbę rozwiązania kwestyi polsko-rosyjskiej przez stworzenie przy Rosyi konstytucyjnego Królestwa Polskiego.

Był człowiek, był Polak, który w niniejszem trzechletnim przesileniu europejskiem odegrał rolę pierwszorzędną narówni z wymienionymi najwybitniejszymi przedstawicielami politycznymi

¹⁾ Publikacye zagraniczne: Klübera, Flassana, Angeberga, Onckena, Dunckera, Szyldera, Dubrowina, pp. Martensa, Lehmana, Luckwaldta, Fourniera i t. d.; próba traktowania tych materyj przez p. Smolkę musi być uznana za niezadowolającą, tyleż pod względem błędnego ogólnego założenia, zmierzającego do niwelacyi działań Czartoryskiego, Poniatowskiego, Lubeckiego, ile pod względem zgola fragmentarycznego ujęcia toku wypadków i niedostatecznego opanowania źródeł, a stąd licznych omyłek faktycznych, — do czego zresztą na innem miejscu szczegółowo powrócić wypadnie.

Europy, który zarazem, stawając w pojedynkę do walki z nimi wszystkimi, z owymi Talleyrandami i Metternichami, Castlereaghami i Pozzami, Steinami i Hardenbergami, wystąpił w tym czasie jako główny obrońca i sternik naczelny napastowanej zewsząd, zagrożonej zewsząd sprawy polskiej. Był to Adam ks. Czartoryski. Otóż udało mi się szczęśliwie wykryć własnoręczny jego *Dziennik*, prowadzony w tym właśnie krytycznym czasie, biegnący od początku 1813 r. przez cały okres niniejszy, przez wszystkie koleje walki zbrojnej i politycznej 1813, 1814, 1815 r. i wkraczający aż do następnej epoki ukonstytuowanego już Królestwa Polskiego. Jest to dokument pierwszorzędno znaczenia dla ówczesnych dziejów europejskich i polskich zarówno. Zanim podam go wraz z całym przynależnym aparatem wydawniczym do wiadomości szerszych kół naukowych, poczuwam się do obowiązku zapoznania nasampierw czytelników *Biblioteki Warszawskiej* z tem doniosłem świadectwem wielkiego męża stanu polskiego.

Narazie parę tylko najniezbędniejszych pojaśnień. Jak wiadomo, dawniejszemi już czasy staraniem ś. p. Władysława ks. Czartoryskiego ogłoszone były „Pamiętniki“ ks. Adama.¹⁾ Jednakowoż chodziło wtedy o rzecz zgoła odmienną. Owe „Pamiętniki,“ w części tylko pisane, przeważnie zaś dyktowane były przez ks. Adama w ostatnich latach jego życia, po 1850 roku, — co zaś najgłówniejsza, dotyczyły one pierwszych jedynie lat żywota i działalności księcia i urywały się na miejscu najciekawszem, na opisie bitwy pod Austerlitz (pisanym pod dyktando ks. Adama, z jego poprawkami, przez ks. Marcelinę), t. j. na grudniu 1805 r. To też brak dalszej relacji pamiętnikarskiej księcia stanowił stratę, jak się zdawało, niepowetowaną. Odnaleziony obecnie dokument wetuje tę stratę w sposób nadszpodzianie fortunny, gdyż nie tylko pokrywa niesłychanie ważną lukę 1813 do 1815 r., lecz ponadto czyni to w postaci nieskończenie wiarygodniejszej od dyktowanej po wielu latach relacji pamiętnikarskiej, a mianowicie

¹⁾ Czartoryski, Correspondance, ed. Mazade (Paris 1865); Mémoires et correspondance, 2 t. (ib. 1887); Memoirs and correspondence, ed. angielska Giełguda z opuszczeniami korespondencji oraz dodatkowemi uzupełnieniami, 2 t. (Londyn 1888); ed. polska Scipio-Gadoma, nader wadliwa, z opuszczeniami oraz niektórymi dodatkami, 2 t. (Kraków 1904—5). Por. Ulmann Über die Memoiren des Fürsten Adam Czartoryski (Greifswald 1898); moje uwagi w Kwart. hist. (Lwów 1899) oraz we Wzras. histor. (Warszawa—Kraków 1903). Dodaję, że zachowały się „bruliony“ tych Pamiętników oraz obszerne do nich „noty,“ na których podstawie wypadnie zająć się nową krytyczną ich edycją.

w postaci ściśle współczesnych własnoręcznych zapisek dziennikowych, prowadzonych przez samego ks. Adama, z dnia na dzień, w miarę postępu przeżywanych przez niego, przez kraj i Europę, wypadków. Wobec nawskroś poufnego charakteru *Dziennika*, przeznaczonego do własnej jedynie wiadomości ks. Adama, nie wszystkie zawarte w nim szczegóły, dla zrozumiałych względów natury czy to publicznej, czy prywatnej, nadawać się mogą, narazie przynajmniej, do dosłownego ogłoszenia — lecz i z tego, co już obecnie nadaje się do udzielenia, wiele szacownych spływa światła historyczno-politycznych na jeden z najcelniejszych momentów sprawy polsko-europejskiej.

II.

Adam Czartoryski w najcięższym z samym sobą rozdarciu strawił r. 1812. Napoleon I szedł na Moskwę, ciągnąc za sobą całą prawie Europę i wszystką Polskę. Stała w Warszawie konfederacya generalna Królestwa Polskiego; na jej czele zjawił się ojciec ks. Adama, generał ziem podolskich; brat jego, ks. Konstanty, walczył na czele swojego pułku: on sam, wołany do szeregów narodowych pod przewodem napoleońskim, uchylił się od współdziałania, kierowany w tej odmowie najczystszyimi pobudkami sumienia publicznego i prywatnego, lecz z tem wszystkiem jaknajboleśniej odczuwając własną swoją decyzję i płynącą z niej bezczynność. Z właściwym sobie wybornym taktem obrał jedyną właściwą dla siebie drogę pośrednią: jeśli nie poszedł z bojującym Księstwem Warszawskim, z Józefem ks. Poniatowskim, uderzyć na Moskwę, nie poszedł też z paktującą Litwą, z Ogińskimi i Lubeckimi, chronić się do Petersburga. Opuścił kraj z męką „Tantala,” jak pisał wtedy do matki, ks. Izabeli, pojechał zagranicę, do Austrii, do Węgier, potem do Czech i do Wiednia. Na wieść o niepomysłnym obrocie kampanii moskiewskiej, pozostając ciągle na terytorium austriackim, a pragnąc zbliżyć się do terenu wypadków wojennych, udał się do siebie do Sieniawy. Stąd, z Sieniawy, mając już niezawodną wiadomość o żywiołowej klęsce napoleońskiej, o straszliwym odwróceniu z pod Moskwy, a odebrawszy z drugiej strony z Warszawy od pozostałych tam przedstawicieli rządu Księstwa Warszawskiego tajne propozycye, zamierzające do odstąpienia przegranej sprawy Napoleona, a wejścia w układy ze zwyciężskim Aleksandrem, zwrócił się bezpośrednio do cesarza rosyj-

skiego, ofiarując na tej zasadzie swoje usługi pośredniczące, nie widząc innego, jak tylko tą drogą, ratunku rzeczy publicznej, zapadającej się w powszechnej napoleońskiej katastrofie. Równocześnie z tem wystąpieniem Czartoryskiego do Aleksandra z Sieniawy, nastąpiło zwrócenie się Aleksandra, za pośrednictwem Nowosilcowa, z Petersburga do Czartoryskiego. Ekspedycya petersburska wyprawioną została przez zaufanego sługę ks. Adama, b. pułkownika, Wickiego. Ekspedycya sieniawska wyprawioną została do Aleksandra przez innego zaufanego sługę, Kluczewskiego. Obiedwie te ekspedycje rozmięły się z sobą. Wicki, ze swojemi papierami przybiegłszy z Petersburga nad granicę austryacką już pod koniec grudnia 1812 r., nie mógł żadną miarą przedostać się bezpiecznie poza kordon galicyjski do Sieniawy i zdążył tylko samą wiadomość o swojej obecności po drugiej stronie kordonu przepuścić do księcia. Czartoryski wobec tego udał się do Lwowa celem uzyskania od prezydenta gubernium lwowskiego, hr. Göessa, paszportu na przejazd do Rosyi; lecz rozmyślnie długo wstrzymywany, spotykając się z odmową udzielenia sobie żądanego paszportu, wreszcie bez paszportu przedostał się przez kordon rosyjski i udał się do Dubna. Co najgorsza, w tym samym czasie najfatalniejsza przygoda przytrafiła się drugiemu wysłannikowi, Kluczewskiemu.¹⁾

Kluczewski z listem Czartoryskiego do Aleksandra wyjechał z Sieniawy 28 grudnia 1812 r., przybył do kwatery głównej Aleksandra w Mereczu 11 stycznia 1813 r. i doręczył natychmiast cesarzowi pismo ks. Adama. Cesarz bawił w Mereczu jeszcze dwa dni, 13-go udał się do Lejpun już w Księstwie Warszawskim, a stąd do Bereźnik i tutaj 15 stycznia o pierwszej po południu przyjął Kluczewskiego. Nazajutrz kwatera główna przeniosła się do Krasnopola, gdzie ponownie 16 stycznia cesarz przywołał do siebie Kluczewskiego, oddał mu odpowiedź swoją do ks. Adama i kazał natychmiast jechać z powrotem do Sieniawy. Przy pożegnaniu spytał się cesarz, którądy Kluczewski zamierza odbyć drogę powrotną, a na odpowiedź wysłańca, że są dwie drogi, bądź przez Księstwo Warszawskie, bądź przez Radziwiłłów, Aleksander „odrzucił pierwszą drogę i wybrał drugą, jako bezpieczniejszą.“ Szczegół ten posiada swoje znaczenie ze względu na nie-

¹⁾ Nowosilcow do Czartoryskiego, Pétersb. 21 novembre, 12 décembre 1812; Czartoryski do Nowosilcowa (Sieniawa) 24, 25 décembre, do Aleksandra 27 décembre 1812, Sbornik IX, 431, Mazade II, 300, Russ. Archiw (1884) 231, Archiw grafów Mordwinowych IX (1903), 626, № 2224.

ławą, feralną przygodę wysłańca; tym sposobem bowiem, skoro marszrutę powrotną obrał sam cesarz, upada wszelki cień podejrzenia, rzuconego później z tego powodu na ks. Adama.¹⁾ Kluczewski został mianowicie nad samą granicą zatrzymany przez władze austriackie i pod pozorem kwarantanny internowany w Klekotowie pod Brodami, przyczem zabrano mu wiezione przez niego papiery, które zwrócono mu dopiero po skopiowaniu ich i odesłaniu kopij do Wiednia. Z tych papierów dowiedział się tym sposobem rząd austriacki o najtajniejszych rokowaniach Aleksandra w sprawie polskiej, o ofertach rządu warszawskiego, propozycjach Czartoryskiego i zamiarach Aleksandra. Rząd wiedeński nieomieszkał niebawem o poczynionem odkryciu powiadomić Napoleona i skompromitować wobec niego zamieszanych w tę sprawę ministrów warszawskich; nie omieszkał również uprzedzić rządów pruskiego i angielskiego i skompromitować wobec nich Aleksandra i jego zdobywcy na Polskę widoków. Rzecz pod każdym względem była fatalna i dla sprawy polskiej w ówczesnej krytycznej porze jak najszkodliwsza.

Czartoryski w Dubnie odebrał spóźnioną ekspedycję petersburską Wickiego, a następnie późniejszą, lecz również ogromnie spóźnioną i tak sromotnie zdradzoną ekspedycję krasnopolską Aleksandra, którą teraz dopiero, w lutym, doręczył mu biedny Kluczewski, zaledwo wydobywszy się z „kwarantannowej“ opresyi austriackiej. Czartoryski natychmiast z Dubna napisał do Aleksandra, posuwającego się tymczasem z kwaterą główną armii rosyjskiej dalej naprzód ku zachodowi w kierunku Kalisza. Książę zmuszony był odkryć cesarzowi oplakaną przygodę Kluczewskiego; swoją drogą popierał w jaknajbardziej przekonujących wyrazach myśl porozumienia się cesarza z Księstwem; wreszcie dopraszał się pozwolenia Aleksandra, aby mógł przybyć osobiście do kwatery rosyjskiej celem ustnej kontynuacji rozpoczętych w tej mierze rokowań. Z listem tym wyprawił do cesarza Wickiego,²⁾ sam zaś pozostał w Dubnie, czekając jego powrotu, czekając owego dopraszanego pozwolenia przyjazdu do Aleksandra, na co obe-

¹⁾ Relacya Kluczewskiego, Conversation avec l'empereur 3 (15) janvier 1813: słowa pożegnalne Aleksandra do Kluczewskiego: „Dites au prince que l'échelle de mes succès sera aussi l'échelle de ce que je pourrai faire pour la nation polonaise;“ z powodu drogi powrotnej „l'empereur rejeta la première proposition (powrót przez Księstwo) et agréa la seconde (przez Radziwiłłów) comme une voie plus sûre.“ Aleksander do Czartor. 13—15 janvier 1813, Mazade II, 304.

²⁾ Czartoryski do Aleksandra, Dubno 12 février 1813 r.

nie, zwłaszcza po wypadku z Kluczewskim, nie decydował się na własną rękę, znając dobrze nadzwyczajną podejrzliwość cesarza i domyślając się, jak mocno on będzie zrażony i rozgniewany wiadomością o wpadnięciu jego zwierzeń poufnych w ręce rządu austriackiego.

Wśród takich okoliczności, wśród trwożnego, nerwowego oczekiwania na powrót Wickiego, Czartoryski, siedząc w Dubnie, przystąpił do spisywania swego *Dziennika*.

„8/20 lutego (1813 r.) w Dubnie. Śmierć Czackiego o godzinie 5-tej zrana. ¹⁾ Smutek powszechny. Strata nieodżałowana. Pamięć jego może wielkie pożytki wydać. Trzeba ją zagnieździć i wzbicić do najwyższego stopnia, aby trwałe i dobrodziejne wrażenie na sercach i wyobrażeniach zatrzymała. Smutek i zaraza w Dubnie zdrowiu grożą. Powieść o widmie Czackiego, którego niebawnie po zaśnięciu w nocy ujrzał cień ojca, co mu nakazał sprostowanie kondemnaty jako niesprawiedliwie osądzonej, wymieniając stolik i szufladę w Brusilowie, gdzie papiery do tego dotyczące się znajdowały i które się znalazły. Pytającemu się o los Polski, odpowiedział, że będzie Polska, ale opłakana i nie taka, jaką syn życzy, i że on już tego nie zobaczy.

„21 lutego. Rozmaicie mówią o śmierci Czackiego. Serce jego zmięte, *flétri, a broken heart*. Wewnętrzne części, a mianowicie żołądek, zupełnie popsute; mózg najzdrowszy. ... Na gubernatora i innych przeciwnych Polakom podejrzenie spada. Śmierć ks. Kazimierza (Lubomirskiego) równie dziwna. Przedsięwzięcie pisania rodzaju *Dziennika*, ażeby pamiętać bardziej czynione w ciągu życia uwagi; korzystać bardziej z doświadczeń doznanych i z wniosków, które się wyciągają z tego, co się słyszy i widzi; ażeby przejinować się z lepszym, jak dotąd, skutkiem prawidłami, które się w dniu jakim i przy pewnem zdarzeniu za potrzebne i prawe uznało a które się nazajutrz ścierają nieznacznie i gubią z myśli. Tyle słaba (zła) pamięć, złym a zawsze górującym i górę biorącym nałogom pomaga i ułatwia im panowanie nad charakterem i zmysłami... Wyjazd do Krzemieńca. Zajęcie się gimnazyum... Co przedsięwzię, aby pamięć Czackiego wynieść i uwiecznić godnie. ... Zbyt prędko wszystko w domu (Czackiego) do zwyczajnego trybu wróciło; zbyt prędko żona i nawet córka, i śmiać się, i słuchać, i o wszystko się troszczyć potrafiły. Ta kolej jest powszechna, kaźden tak niebawnie zapomnianym będzie; i najbliżsi, pochowawszy go, wrócą do codziennych zwy-

¹⁾ Tadeusz Czacki umarł (8) 20 lutego 1813 r.

czajów, zatrudnień i wydarzeń. Mało kto trwał w kim żal po sobie zostawi. I tak powinno być; szczęście to rodzaju, że tak ludzie stworzeni, inaczejby się wyplenili. Często jednak dłuższy jest smutek, niż się wyjawia; i wiecznie trwa w pewnej umiarkowanej mierze...

„6 marca. Piszę listy przez Radziszewskiego, którego ks. Wołkoniemu dawniej zarekomendowałem, do komisaryatu, w którym dotąd służy i jedzie do wojska Barclaya... .. Czacki, choć nie był poetą, miał atoli żywą bardzo i łatwo widzącą imaginację. Wielkie miał przymioty. Czynność niesłychana, gorączka, która go pędziła od pracy do pracy bez przerwy ni odpocznienia. Jak ta machina mogła wystarczyć takiemu ustawnemu zajęciu, trudno zrozumieć; i można było przewidzieć, iż długo żyć nie mógł, zbyt wiele żył w każdej chwili krótkiego życia. Więcej niż inny w sto leciech. I z jego duszy kilkanaście dusz zwyczajnych można było zrobić, z których każda na swoją część wcale dosyćby miała. Wielkiej był szlachetności umysł i zawsze do powszechnych widoków zmierzający. Kiedy pospolicie ludzie mają zawsze widoki osobiste, które kryją i które w każdej sprawie im towarzyszą, jego przeciwnie widoki postronne, uboczne były zawsze o dobro społeczne, z którymi często się krył. Cel tak piękny usprawiedliwiał w jego przekonaniu sposoby, które do niego prowadziły. A tak często nie był szczerym, podchlebiał bez zastanowienia ani miary, i innych cienkości używał, aby przekonać i ująć. To się już było nawet w zwyczaj obróciło, iż bez prawdziwej potrzeby tak działał. Ja nie miałem sposobności go poznać, kiedy spuściwszy z nastroju, i odsunawszy wszelkie cele i rachuby, i imaginację uśmierzywszy, sam właśnie był sobą, zupełnie rozebrany i opuszczający się. Te momenta rzadkie musiały być i chyba z ludźmi od rana do wieczora w domu przy nim bawiącymi... Wszystko, co podłe, niskie, i w powszechności, co zmysły tylko łechtało, nie dochodziło wcale do jego umysłu; było to skutkiem dyspozycyi, prawideł przyjętych, i stałego wezwyczajenia się podług nich; czyste i wysokie czucie i myśli nieustannie utrzymywał; i w potocznej nawet rozmowie jego nastrój zawsze o pół tonu był wyższy; nie wiem, czy kiedy schodził, czy kiedy zniżał się z tego prostego zawsze trzymania się, z onej pięknej roli, która się dla niego przyrodą i zwyczajem stała. Takie uwagi czyniąc, wdychałem po jego śmierci, że w porównaniu słabym, nieczynnym często opuszczającym się, błędzącym, niepoprawiającym się czuję. Chciałem przedsięwziąć poprawę, z pracą ciągną. Lecz ta myśl zmywała się, tak, jak w tylu innych zdarzeniach,

gdzie równe stwierdzenia ¹⁾ z równie słabym uspiechem ²⁾ brane były. Ten to ma *Dziennik* tej niedogodności zaradzić.

„7 marca. Niespokojność, wzrastająca co moment, z niepowrotu dotąd Wickiego! Czy nie należało jego nie posyłać, a samemu zaraz wyjechać do głównej kwatery? Niesposobność, którą w sobie uważam do prędkiego rozstrzygnięcia spraw, często mnie skłania do nagany siebie w zdarzeniach, gdzie nie z natchnienia, ale po zastanowieniu działałem, jest wprawdzie we mnie rodzaj słabości, chęci dogodzenia, ustępowania; które zda się pochodzi i z dobroci wrodzonej i przybranej, lecz także z opieszałości i lenistwa umysłu, z potrzeby uniknięcia zwad, zajściów, i niepokoju pochodzi. Jeśli czas, a zawsze czas jest na lepsze się odmieniać, a niczem lepszym można zajmować resztujące życie, trzeba się w części nagannej tego ułożenia, tej skłonności, podatliwości (*disposition*) poprawiać, strzegąc się nieustannie i ćwicząc się w małych i wielkich wypadkach. Trzeba nadawać sobie więcej popędu, więcej sposobności do ruchu, która mi nieraz brakuje, przez zwyczaj wkorzeniony zastanawiania się może zbyt długo, i ważenia rzeczy dokoła. Ta skłonność, już przyrodzona, została pomnożoną przez położenie, w którym się znajdowałem, i świat, w którym żyłem od przyjazdu mego do Petersburga, i tak długie bawienie w Moskwie i przy dworze w trudnym zawsze składzie. O tem drugą razą wieleby powiedzieć należało. Tymczasem rozważając rzeczy już po przejściu ich, kiedy najłatwiej i najpewniej sądzić można, rzadko a może nigdy nie trafiło mi się, żebym miał żałować niedość prędkiego rozstrzygnięcia; dotąd wstrzymanie naglących mnie zawsze na dobre wyszło. Chyba na pierwszą odezwę z Warszawy, lepiejby wypadło natychmiast pojechać; ³⁾ lecz nikt na mojem miejscu nie byłby inaczej uczynił, podług czasu, okoliczności i odebranych naówczas papierów...⁴⁾ ... Klucz(ewski) stanął 11 *Janvier* na czas, bo dobrze przed zajęciem Warszawy. Jego nierozum i ciancıowate głupstwo wszystko popsuło, spóźniło wyjazd mój. Byłbym daleko prędzej i bez przeszkody wyjechał. Wiadomości byłyby może na czas do Piotrkowa zaszły. Teraz zaś, żebym był prosto pojechał, nie stanąłbym aż koło 10-go st. st. Ekspedycya Bieńkowskiego, ekspedycya

¹⁾ Postanowienia.

²⁾ Powodzeniem.

³⁾ Do Aleksandra.

⁴⁾ Mowa tu o papierach posłanych Czartoryskiemu przez Mostowskiego, Varsovie (21 nov.) 3 déc. 1812; por. ks. Józ. Poniatowski (1904), 311 sq.

Biernackiego, obie konieczne, byłyby cokolwiek w Dubnie zatrzymały. Już Warszawa była opuszczoną, już rzeczy inny obrót brały; podług pierwszej myśli nie mogło się kleić. Cesarza, po przypadku Kluczewskiego, raptownie napaść, było to zniechęcić go; zachnąłby się; i lękliwy wszelkiego dolegania (*gêne*) mniej byłby łaskawym, dobrze życzącym sprawie (skłonnym), którejby to zaszkodziło może. Pierwszego momentu już odzyskać nie można. Teraz drugi: nadarzających się pilnować należy. Król pruski może być użytecznym; ks. Józef tam się zejdzie. Rzecz dyplomatyczniej pójdzie; jeżeli nie pierwej, to na kongresie; i w tym obrocie przy różnych niedogodnościach są także strony korzystne. Uniknienie dla wojska i kraju opuszczenia strony¹⁾ i Pana terażniejszego²⁾...

„8 marca. Przeklinam, jak mi się często zdarza, ludzi nie robiących, co zrana przychodzą... Także przyrzekam sobie nie stać w domu cudzym, gdzie nie można być panem swego czasu i gospodarz na karku siedzi. Co zapisuję, aby zawsze unikać.“

W tem miejscu *Dziennika* wniósł ks. Adam szereg interesujących rozmów swoich z odwiedzającym go wówczas w Dubnie starym generałem rosyjskim Dymitrem Komnenem, urodzonym na Korsyce, potomkiem Komnenów bizantyńskich, który, wstąpiwszy do służby rosyjskiej za Katarzyny II, był uczestniczył onego czasu w wojnach tureckich, potem w kampanii polskiej 1794 r., napatrzył się wielu rzeczy ciekawych w armii i przy dworze, i stąd niejednej interesującej wiadomości mógł obecnie udzielić Czartoryskiemu. „Comneno dobry, życzliwy, prostowidzący, choć czasem w prawdę nie trafia. Wiele widział, wiele bywał. Opowiada... o imperatorowej Katarzynie... że Polski nie chciała gubić, lecz na tronie wnuka, Konstantego, osadzić; że to było powierzonym Igelstromowi...; że wybuchnienie rewolucyi Kościuszki przeszkodziło tym zamysłom; że to wie, on, Comneno od Zubowa i ks. Nassau; że dopiero dowiedziawszy się o rewolucyi, imperatorowa księcia (Nassau) wysłała do króla pruskiego, zezwalając na podział, na którego on naglił, i że wtedy Fryderyk Wilhelm natychmiast ruszył pod Szczekociny. Może coś w tem jest prawdy, uważając, że Kościuszko nie chciał wcale wierzyć przyjsciu Prusaków na odsiecz Moskalom... Comneno wyperswadowany podług tego, co od gabinetu ówczesnego rosyjskiego słyszał, że re-

¹⁾ Rusycyzm, t. j. kraju.

²⁾ Księcia warszawskiego Fryderyka Augusta.

wolucya wybuchnęła za sprawą i poduszczeniem Berlina, co warto dalej śledzić. Mówił także, że król (Fryderyk Wilhelm II) rozdrażniony na Fersena, któren mu różne sztuki, niegrzeczności, nieposłuszeństwa wszystkie płatał, postanowił, jeśli mu imperatorowa odmówi posiadania Krakowa, odstąpić od Warszawy i zostawić Fersena na łup wojsku polskiemu. Jakoż, jak tylko kuryer oczekiwany, Tołstoj, spotkany od Comnena, przybył z Petersburga z oznajmieniem, że Krakowa Moskwa nie daje, tak natychmiast (król pruski) odszedł od Warszawy... Różne fanfaronady króla (pruskiego) i odgrazania się przy stole przeciw zajęciu Krakowa od Austryaków... Suworow miał już rozkaz wyjść na zimowe leże, — i sam swoją głowę po zniesieniu Sierakowskiego i Kościuszki wziął na siebie pójść na Pragę... Szczegóły o wojnie tureckiej i ekspedycyi w Morei, jak bezumnie, nieprzezornie prowadzona przez Grzegorza Orłowa. Cały lud powstał i na ofiarę poszedł... Mocenigo jako Moskal lecz nie jako Greczyn postąpił i ojczyznę zdradził; Capo d'Istria nie chciał go widzieć... Wielkie jest podobieństwo między nimi i nami co do uczuć i położenia; i oni dlatego nam sprzyjają... Jeśliby ks. Potemkin był żył, Paweł nie byłby tak spokojnie wszedł na tron. Zamiast posyłać po niego, jak Zubowowie czynili, byłby ukrył na czas stan Pani ¹⁾, a zebrawszy gwardye, poszedł otoczyć Gaczyńę i wziąć;²⁾ Aleksandra zaś byłby ogłosił. Ta była bowiem myśl i woła Katarzyny. Zubowowie później w to wchodzili i Morkow miał być do W. Księcia ³⁾ posłany, aby mu oznajmić wolę i wyrok matki. Wszystkie papiery do tego ściągające się musiały być spalone; jakoż Zubow wiele papierów popalił, lecz Paweł o tem wiedział, mścił się i syna zawsze miał w podejrzeniu, co nieraz ze słów i żartów niby postrzegać można było. Paniętam, że mi cesarz Aleksander w tym guście kilka rozmów swoich z ojcem powiadał, któren go zawsze częstował koroną, mówiąc, że to dar nieprzyjemny i że radby mu ją ustąpić, jeśliby to pozwolonem było. Było pół ironii, pół doznania uczuć syna i niemożności własne ukrywać. Scena Henry IV z synem w Szekspirze często między panującymi i następcami ich musiała się powtarzać...“

Tymczasem Czartoryski trawiony był największym niepokojem w próżnem oczekiwaniu powrotu wyprawionego do Aleksan-

¹⁾ Umierającej Katarzyny II.

²⁾ Pawła.

³⁾ Pawła.

dra wysłańca. „...Niestety niema Wickiego. Nieznośniejszego czasu dawno nie przeżyłem. Co się tam dzieje tymczasem, jak zaradzić opuszczeniu pory? Kiedy była pora, postrzedz jej nie można było. Da Bóg lepiej. Mój *Dziennik* jeszcze nie idzie na równi z wypadkami dziennymi, dlatego nieporządny jeszcze; zrówni się za czasem, pójdzie składnie i wprawnie. Dawniej zaczęty, wieleby był użyteczny, wieleby się zdał. I teraz nie będzie bez użytku. ...Niegodziwości rosyjskich urzędników z nami i ze swoimi nawet; zakorzenione złe, kiedy w takiej klęsce śmieli swoich w Tule, w Nowogrodzie, w Kałudze łupić na czynionych ofiarach i poświęceniu się. Kto się na łupieżców porwie, zawsze zginie... Czy może państwo długo stać, w którym zepsuciu i rozpuszczeniu do tego stopnia doszły? ...*9 marca*. Jazda do Mizocza. Rodzice moi jak czczeni. Jakie wrażenie czyniło i czynić może imię ojca na czele konfederacji... Wiadomości: król pruski złączył się z cesarzem Aleksandrem; że naprzeciwko niego wyjechał ku Poznaniowi; że Kraków neutralny; że ks. Józef około Olkusza otoczony być może. Twierdzenie ¹⁾ jechania do Warszawy, nie czekając na Wickiego. *10 marca*. Przygotowania do wyjazdu. Piszę do Branickiej, do Sobańskiego, do Kropińskiego... Dalsze wiadomości: ...Powstanie nad Renem; ks. Józefa korpus do pięciu tysięcy spełzł, rozpuścił go i sam do Austrii jakoby schronił się; w Wiedniu radoście wielkie. Jako szybko wzniosła się budowa wielkości Napoleona, tak też szybko upadła. Tak to zawsze bywa i było do przewidzenia. Smutne losy Polski i mało nadziei. Serce się ściska: wszyscy w tryumfach, my w strachu; nam ani sprawiedliwości nie oddają i z nieszczęścia się cieszą, depcąc po karkach. Różne uwagi i wyrzucania sobie, których rozbiór później. Choćbym był prędzej zajechał, niebym już nie poradził, bo cesarz już był wziął swój przeciwny kierunek. Należało jednak prędzej za Wickim pospieszyć — ale kto mógł przewidzieć, iż wyjechawszy 31 stycznia, nie powróci 28 lutego? ²⁾...

„*11 marca*. Pakowanie. ...Serdeczne pożegnanie z Comninem. Szybka jazda aż do Łucka. ...Nocą się jedzie przez złe drogi dla popsutego mostu na Styrcze, przez nieustanne groble łatwe do obrony aż do Hołobty i Kowla. Kolacya u Żydówki w Rozyszczach. U Stroynowskiego pierwszy raz o Austryakach słyszę dobre słowa i to o Węgrach tylko. *12 marca*. Do Kowla

¹⁾ Postanowienie.

²⁾ Starego stylu.

się przyjeżdża zrana... Podczas drogi myślę o rzeczy, o dowodach, o obronie, o nowym układzie wojska i t. d., i że siły mogłyby jeszcze do jakiej roboty wystarczyć. Polskie prowincye są szkołą zepsucia i grabieży dla Moskwy. Tak niezmierne mocarstwo musi być źle rządzone... Projekta różne się rodzą... *13 marca.* Czekaając na konie, godzina się trawi u chłopki; obiad jej barszcz i kluski postne; córkę woli, bo córki matek nie przestają kochać, a synowie o nich zapominają. ...W piętnastu leciech poszła za czterdziestoletniego — z westchnieniem o tem mówiła, na piecu pierze drąc.¹⁾ W Brześciu nie chce mnie puszczać głupiec z komory. Stanisław Niemcewicz przychodzi do Terespoła. Wawrzeczki i Lubecki wołani do głównej kwatery. Puśłowski już tam. Niemcewicz żałuje, że jadę... Jeszcze powrotu Napoleona się spodziewają. Takie mniemanie powszechne w Litwie. Tam i na Wołyniu duch przeciwniejszy Moskwie, przychylniejszy Francuzom niż w Księstwie. Przyczyny łatwo zgadnąć: bo bliżej widząc i cierpiąc, nie kochają. Branicy²⁾ jak powrotu Polski życzyli. Jak smutni i zagniewani, że imperator w Wilnie nic nie wyrzekł. 40,000 dukatów dla Kutuzowa. Powrót p. Władysława³⁾... *14 marca.* ...Rosyane nie chwala się z tem, że jakiś archimandryta ze Smoleńska i Zagrayski⁴⁾ generał i wielu sowietników garnęli się do Francuzów; błoto teraz skrobia.⁵⁾ To się przyczyniło do dania nam amnestyi. W Małorosyi⁶⁾ chłopstwo odgrażało się na panów i Francuzów tylko czekało. Moskale oddają sprawiedliwość ks. Józefowi... Podprefekci i Rady departamentowe wszędy zostawione. Marszałek zastępuje gubernatora. Duch zawsze za Polską; goli gotowi ruszyć... Kluczewski zostaje; napominanie mu dane; nic z niego nie będzie, mizerak jest... Wieczór w Międzyrzeczu;... przypominam tante razy, jakem jechał,

¹⁾ Pamiętać tu należy o współczesnych projektach małżeńskich 40-letniego ks. Adama z 15-letnią księżniczką Dorotą kurlandzką i młodziutką Zofią Matuszewiczówną.

²⁾ Stary hetman Ksawery i Aleksandra z Engelhardtów Branicy.

³⁾ Branickiego, syna hetmana.

⁴⁾ Zagriażskij?

⁵⁾ Czy nie odnosi się to do arcybiskupa Warlaama z Mohylowa, który istotnie 26 lipca 1812 r. odebrał od ludności przysięgę wierności dla Napoleona, za co ukazem Aleksandra do Synodu 17 grud. 1812 r. oddany pod sąd, potem zesłany, zmarł w klasztorze 1823 r.; por. Wołyn. Eparch. Wied. (1879), 324, Istor. Wiestn. (1881), III, 525 sq., Russ. Star. (1902) CXII, 444 sq.

⁶⁾ Warlaam był synem chłopca małoruskiego z gub. Czernihowskiej.

jak miło było zbliżyć się do domu pierwszą i drugą razą; kształt, ton, akcent Polski miłsze nad inne; nigdzie tak przyjemnie, tak potrzebnie znajdować się nie można. Teraz smutno się jedzie... *15 marca.* Jazda dalsza ku Warszawie... *16 marca...* Przejazd przez Pragę najspokojniejszy. Żal bierze patrząc, iż rozbiegają forteczkę. Zdają się nasi robotnicy z niechcenia robić i ledwo tykać ziemi; robota, da Bóg, pomału pójdzie. Trudność przewozu; na czółno sięść samemu trzeba... Żeby się też kto o mnie lub o paszport spytał, prócz pocziwego węsacza przy pierwszych rogatkach, któren ukłonił się pięknie, jak mu imię swe powiedziałem. Staję u siostry ¹⁾. Dowiakowski pokazuje listy z Krakowa, gdzie mój brat ²⁾ dopiero 5-go marca stanął. Opóźnienie straszne, zapewne dla przeszkód austriackich. Rwie się nam ze wszystkich stron. Generał Pahlen, oznajmiwszy, przybywa i kuryera obiecuje. Lipiński, Dembowski przychodzą. Na herbatę do Dembowskiich.“

III.

Warszawa w owej chwili, w połowie marca 1813 r., w osobliwszem znajdowała się położeniu. Od kilku tygodni, od początku lutego t. r., opuszczoną była przez naczelne władze rządowe i szczątki wojska Księstwa Warszawskiego, które pod ks. Józefem udały się do Krakowa. Zaraz potem miasto zajęte zostało przez wojska rosyjskie, które obecnie, pod generałem Pahlenem, sprawowały tu prowizorycznie rządy czysto militarne, gdyż z ustanowieniem jakiegokolwiek władzy stałej jeszcze zrazu powstrzymywał się Aleksander. Po wyjściu rządu i armii polskiej pozostały w mieście niedobitki, niższe figury rządowe Księstwa i kobiety, a napływali natomiast nowi ludzie z gubernij zachodnich. Wszystko było w zawieszeniu, sprawy wojenne i polityczne, polskie i światowe. Punkt ciężkości sprawy polskiej był przy ks. Józefie Poniatowskim w Krakowie. Wiele, jeśli nie wszystko na tem zawisło, jak wódz polski zachowa się wobec prowadzonych od blisko czterech miesięcy rokowań kapitulacyjnych z Aleksandrem, czy je zaakceptuje, i pod jakimi warunkami, czyli też je odrzuci. Równocześnie zaś punkt ciężkości sprawy światowej był wprawdzie przy Aleksandrze, lecz w bezpośredniej zawisłości od zacho-

1) Zofii ordynatowej Stanisławowej Zamoyskiej, w pałacu Błękitnym.

2) Konstanty.

wania się Prus, a zwłaszcza Austrii. Obadwa te mocarstwa, dotychczas formalnie sprzymierzone z Napoleonem, jeszcze ostatecznie nie były się zdeklarowały. Wprawdzie wiadomem już było, iż Prusy dobiły układu z Aleksandrem do wspólnego uderzenia na Francję, lecz nieznanne jeszcze były warunki tego układu; co zaś główna, jeszcze wciąż kart swoich nie odkryła Austria, a jeśli jasnem już było, iż nie pozostanie ona dłużej lennem Napoleona narzędziem, niepodobna było przecie przesądzać, któredy naprawdę się obróci, czyli da się przeciągnąć, i za jaką cenę, do koalicji antyfrancuskiej, czyli też podjęcie się upragnionej superarbitralnej roli potęgi medycacyjnej i za jaką znowuż podjęcie się dla siebie zapłata. Tak czy owak, wszystkie te rzeczy, kondycje sprzymierzeńcze pruskie, płace koalicyjne lub medycyjne austriackie, koniec końcem w znacznej mierze w polskiej brzmieć musiały walucie. Kwestya nowej wojny czy nowego pokoju europejskiego wiązała się tym sposobem już z góry z kwestyą nowego podziału Polski. Wśród takich okoliczności i takich trosk, zapatrując się na Kalisz, gdzie dokonały się targi rosyjsko-pruskie, na Wiedeń, gdzie trwały rokowania rosyjsko-francusko-austriackie, na Kraków, gdzie odbywały się kuszenia ks. Józefa, ks. Adam obecnie znalazł się w opustoszałej pod bronią rosyjską Warszawie.

„17 marca. Piszę do Sieniawy, do Krakowa przez Wielhorskiego, i do cesarza, radząc armistycjum i naszym i jemu. Prezydent, prefekt i Jabłoński, prezes policyi, wizyty oddają, dlatego, że mnie znaczącym rozumią. Przed dwoma laty żaden nie zajrzał. Obiad u Dembowskich. Pani Stanisławowa¹⁾ wraca z Wilanowa. U niej wieczór. Odwożąc list Pahlenowi, zastaję u niego Borozdyna.

„18 marca. Ranek wizytami władz warszawskich zajęty, które mnie nie dają pokoju... Obiad u p. Stanisławowej. Wieczór u p. Aleksandrowej,²⁾ gdzie Pahlen i Uszakov zaproszeni. To pomieszanie nie udaje się. Zbyt inne są czucia; w ich przytomności zawsze coś ściśniętego, coś takiego, co nie pozwala ufności; który z nich jest delikatny, musi tak samo czuć w naszej przytomności. Z rana w ten dzień rozmowa z panią de Vauban, która niezupełnie otwiera myśli swe, ani się powierza z prawdziwą otwartością, z taką, co wzajemną ufność zachęca; zdaje się mieć coś ukrytego i wstrzymującego, coś ułożonego rozmyślnie,

1) Aleksandra z Lubomirskich Potocka.

2) Anna z Tyszkiewiczów Potocka-Wąsowiczowa.

co jej nigdy nieopuszcza. Zresztą bardzo rozsądnie mówi i przystaje nakoniec do mojego zdania; zagrzewa do zajęcia się tem; ale powiada, że żadnego niema sposobu do przesyłania listów;¹⁾ i że przedsięwzięła sobie, jakożkolwiek jej to przykro będzie, nigdy ani słowa pisać. I że tego dotrzyma dla uniknienia wszelkiego podejrzenia (donoszenia) od Moskalów. Przed wieczorem wizyta u pani Chodkiewiczowej, gdzie księżną Dominikową²⁾ zastaję. ... Konwersacya z temi damami o ks. Dominiku; o niepotrzebie i nierozsądku odstąpienia takiej fortuny i sytuacji dla majorostwa w Napoleona gwardyi. Rozumowania tych dam. Przewrócone pojęcie o honorze. Brak zupełny logiki; w tych głowach niema wcale pojęć prostych i czystych; lecz chociaż coś o nich wiedza, są one krzywe, obalone, pomieszane. Wierci się i przewraca i dręczy nieustannie. Ks. Dominikowa z miną rozmyślną i dumającą, i z pod oka patrzącą, jeszcze doskonalsze szaleństwa będzie robić... Ładna jest choć blada. U p. Aleksandrowej Zajączkowa; dają jej tylko Moskałe 40 lat; nieboga boi się o męża; ustrojona zawsze, jak młoda, bo to we zwyczaj weszło. Prosi o wdanie się, aby na parol męża wypuścili. Coś ma nie poważnego, nie czującego się na sobie, w obejściu, co z dawnego stanu i z przeszłych zasad i życia wypada, co w szczęściu nieco znika, a zaraz wraca, jak tylko nieszczęście zajrzy. Wygadałem się z myślą o rozejmie przed p. Stanisławową; prosi mnie, abym jej dał coś na piśmie do posłania *au dindonneau*. Odmówić nie mogłem i dlatego dałem, nikogo nie wystawiając. Zaszkozić nie może, a kto wie, czy nie pomoże, kiedy im decydować się przyjdzie, i rzeczy kryć już nie wypadnie. Zrana była wizyta Borozdyna, któren chciał ze mną cienkować, choć nie wiedział o czem i co. Powiedział, że Czyczagow ze wszystkim usunięty, nawet cesarza nie widział; że Nowosilcow zawołany. I sam się okazał, nie wiem czy szczerze lub dla ugodzenia mi, stronnikiem postawienia Polski. Gdzie Nowosilcowa postawić, jeśli przyjedzie; i co z Komnenem robić, którego tylko co nie widać?

„19 marca. Drugi list do cesarza przez Borozdyna posyłam. Drugi mój list do hofrata zostaje dla bojaźni trząśnienia. P. Stanisławowa na kawałku tafty swoje napisała i wszyła w kołnierz; dobry sposób. Żałuje ona, że ja prosto do cesarza nie pojechał. Wieleby o tem mówić. 20 marca. Ranek znowu mi wzięty. Układ czasu pierwszem niech będzie wszędy zajęciem. Wizyta u Walu-

¹⁾ Do ks. Józefa do Krakowa.

²⁾ Radziwillową.

sia, ¹⁾ gdzie wojewoda wileński ²⁾ przychodzi... Poradził Pahlenowi, aby poodbierał broń tym, którym była rozdana. Nie było się czem chwalić... Opinia o Mostowskim, że jest zimnym, niedbałym, mało się zajmującym, wcale niesprawiedliwa. Jak łatwo ludzie w sądzeniach swoich myślą się. Węgrzecki jemu życzliwy. Od tego list odbieram; chce być legistatorem; nie mało, zda się, o sobie rozumie; łatwo sobie pozwoli, jeśli mu pozwalać będą. Po stokroć uważam potrzebę porządku w zamieszaniu, które się doświadcza w pisaniu i prezentowaniu, w znalezieniu papierów i t. d. Brak porządku, nieumienie zaradzenia sobie w różnych małych zdarzeniach pochodzi z zostawania zawsze pod dozorem lub skrzydłem czyjem; nigdy sam sobie nie zostawiony i jakoby w rzekę wrzucony dla nauczenia się pływać, lecz zawsze podparty, i sekretarzem, lub przyjacielem, lub innym dodanym wspomóżony, którzy myśleli o potrzebach, o trudnościach, pracach i biedach, panicz sam sobie poradzić dobrze nie umie, a przynajmniej nie tak ręcznie i z pewnością do tego się bierze. Tej wady w wychowaniu unikać należy, a sobie dostawać na czem się czuje brak. Szaniawski do układania kodeksu nowego by się zdał. Nie trzeba w nim wszystko francuskie niszczyć. Sędziów wielkich ustanowić jak w Anglii; składaliby kasacy, byłiby radą prawną sejmu i rządu, jeździliby dla prezydowania (osiadania) sądlów głównych, gdzie deputaci by się zjeżdżali nakształt *jury*. Dziwne wiadomości z Krakowa, że się Moskale wracają. Może się tam co stało. Może Austria przemówiła, zajęтым listem ³⁾ zastanowiona i Francją przynaglona. Ale prędzej cesarz Aleksander coś prosto przemówił. Potrzeba zbierania anegdot i dziejów, tyczących się wojska polskiego w tej wojnie. Waleczność, wytrwałość; ciągną armaty, dochowują orły, mają dla nich święte uszanowanie.

„21 marca. Dzień spokojniejszy... Kahał także przyszedł polecić się. Przyszedł rozkaz przeciwny, aby Pragi nie rozbierano... Czy z Prusakiem układ niegodziwy nie stanął oddania mu Księstwa? Wiadomości różne o cofnięciu się Francuzów z Moskwy i o całej wyprawie. Bez sensu żadnego ani ładu zaczęta... Pytającym o rozkazy zwyczajna odpowiedź była od Berthiera i innych: „Niech sobie robi, co chce...“ Duch wojska, już tam idąc, był najgorszy. Nie chciało im się tej wojny. Co daje do

1) Walentego ks. Radziwiłła.

2) Radziwiłł, ojciec Walentego.

3) Mowa o liście Aleksandra do Czartoryskiego z Krasnopola j. w.

pedeprzywiania niektórym, że była jakowaś zmowa konspiracyjna w wojsku, aby się Napoleonowi w tej wojnie nieszczęściło. To by się zgadzało z tem, co d'Antraigues pisywał, że we Francyi samej chciano, aby mocarstwa zatrzymały uspiechy¹⁾ Napoleona. W samej rzeczy wszystkim się wojny sprzykrzyły, a najwięcej marszałkom i generałom, którzy się już wzbogacili i radziby łupieżnych bogactw używać. Trudno to zgadnąć i wartoby to śledzić... Polacy jedni prawie dobrego ducha dochowali do końca i nie przestali być walecznymi i bić się. Najmniej pustoszyli, chyba wyłącznie można kogo oskarżyć: między tymi..., któren już nie Polakiem, Roźnieckiego, którego nazwał Miłoradowicz *le plus fameux pillard*. Zresztą sami Moskale oddają sprawiedliwość męstwu i karności Polaków... Pod Berezyną oni Napoleona i wojsko wybawili, bijąc się przeciw Czyczagowowi; ale też tam wyginęli. Zawsze wystawiani na największe niebezpieczeństwa, nigdzie nie byli do żadnych korzyści przypuszczeni—i tem lepiej. ... Niemcy się burzą; duch rewolucyjny im głowę zawraca; na nich kolej szaleństwa przyszła, tak, jak w Hiszpanii, do którego oni swoją literaturą już byli przygotowani, która tu miejsce fanatyzmu, na Hiszpanach działającego, weźmie. Szlachetne to szaleństwo, i może być najrozumniejszą cnotą. Zamyślam do głównej kwatery jechać, jeżeli za dni (kilka) odpowiedź nie będzie. Decyzję wziąć trzeba, żeby czasu drogiego nie tracić. Zdaje się, że rzeczy jednak własnym ruchem idą. Niejeden się dziwuje z nowin krakowskich. Ponowne pierwszych sprężyn igranie. Ani się też sobie pochlebiać nie trzeba i robić, jakby wszystko jeszcze z miejsca nie było na krok ruszyło; jakoż o niczem pewności niema. 22 marca. Wczoraj wieczór pod Blachą, po teatrze. Tuszmy sobie coś dobrego; mówią, że Napoleon bez wstretu i szczerze uczynił wszystko dla Austrii, *s'est exécuté galamment*. Stądby wnosić, że nadzieje krakowskie to mają źródło. Lecz dla czegożby Moskale się cofali? Znowu rozebranie Pragi nakazali. Pani Vauban opowiada okropności rewolucyi (francuskiej); 6 oktobra,²⁾ gdy królowa³⁾ na balkonie wersalskim sama wystąpiła, ... dalej ucieczkę króla; Fersen⁴⁾ przez Condé ucieka; Vauban, tam komenderujący, poraz drugi mało co nie powieszony, kontra-

¹⁾ Postępy.

²⁾ 6 października 1789 r.

³⁾ Marya-Antonina.

⁴⁾ Hr. Axel Fersen, przyjaciel królowej.

bandnik go wyzwala; uchodząc z Brukseli z panią Tyszkiewiczową, zatrzymani są... Zdrowie sobie popsulem od kilku dni i wiem czem... niech mi *Dziennik* pomoże... Szkoda, jeżeli się już do pracy nie zdam i nic przedsięwziąć i dokonać nie potrafię. Ileżby uwag i ostrzeżeń można było zebrać nad straconemi i źle użytymi najpiękniejszymi latami; przeszły, nic się istotnego nie zrobiło i zdrowie się tylko straciło. Dlaczego wartości czasu niedość czuję, kiedy jeszcze na zbyciu. Obiad u pani Stanisławowej. Wizyty Ostrowskiemu,¹⁾ którego wesoły starzec, chociaż ma nakształt paraliżu... *23 marca*... Linde: projekt o akademii słowiańskiej taki sam, jak mój. Czesi gorliwi, więcej ku rosyjskiemu, jak ku polskiemu dążą. O prozodyi z Lindem i Lapińskim rozmowy... Jeśli nic nie będzie z Kalisza, co czynić? Do wyjazdu gotować się należy. Piszę do Puław i Sieniawy. Wieczór samotny u pani Stanisławowej; dyskusya o przyszłym życiu człowieka. *24 marca*. Ranek wizytami wzięty. Książd Woronicz... Gotuję się do wyjazdu... Wizyta Pahlena; rozsądnie mówi za Polską. Austria wszystkich stracha... Pahlen uznaje, że od Napoleona tylko zależało swego dokazać, żeby... był nazad poszedł przez Kaługę za Dniepr, tam resztę Polski wzruszył i Małorosyi groził. Tego się bano, to rozumiano że robi. Bano się buntu włościan... Opażne wiadomości z Krakowa, że rząd rzuca, że wojsko idzie na przód; tegoż dnia odwołane.

25 marca. Pawłowski przyjeżdża z listami,²⁾ z odpowiedzią dla cesarza Aleksandra, tak długo oczekiwaną. Cieszę się z odebranych listów; przyjemne obudzenie zrana mi dają... Wieczór u pani Stanisławowej; pani Aleksandrowa w najwyborniejszym humorze... *26 marca*... Po obiedzie Pahlen przyjeżdża; wiozę go do Ostrowskiego, aby ustanowić porozumienie; dobrze się wizyta kończy. Trudno żeby głowa rosyjska, choćby najzaciejsza, zrozumiała głowy polskie: innszy to wcale sposób, kształt, metoda i logika... Trudno, żeby rzeczy w tem pomieszaniu szły dobrze. Piszę do Sieniawy i do Krakowa naodwrot Pawłowskiemu. *27 marca*. Żałuję, że mi dzisiaj nie wypadło jechać, bo 27 grudnia 1812 r. Kluczewski wyjechał, i ja w miesiąc wyjechałem z Sieniawy. Prawda, że to raczej 28; i los zdarza, że właśnie jutro, nie myśląc o tem, ruszę dalej. Nie wiem, czy dobrze, czy źle czynię, lecz trudno w niepewności dłużej zosta-

¹⁾ Tomaszowi, prezesowi Senatu Księstwa W.

²⁾ Z Krakowa.

wać; powiedziec bliżej trzeba. Rzeczy prawda po zakroju teraz się nie rozwina, lecz coś pewniejszego wiedzieć potrzeba i pomódz cierpiącym i zapewnić się, że rzeczy się nie popsują i że w nadziei żyć można. Wieczór wczoraj pod Blachą, rozmowa o Napoleonie, w której zbyt się pono ze swoim mniemaniem wystawiam... Pawłowski wstrzymany; a nuż jeszcze nie odbiorę odpowiedzi z Kalisza; jutro rano pojedzie... Wieczór u pani Aleksandrowej, która Rembrandta darowała i bardzo łaskawa była; konfitury. 28 marca. Ranek wizytami zajęty. Wszyscy radzi, że wyjeżdżam i zachęcają, abym mimo milczenie jechał do cesarza. Nie chce może mnie widzieć, bo się wstydzi. Wyjeżdżam o 1-ej po śniadaniu u Dembowskich. Żołnierze moskiewscy napadają i rzną ogony koniom. Z Błonia o 5-ej na Bolimów przez lasy, niegodziwa droga. O wpół do 1-ej w nocy staję; wszyscy we śnie głębokim... 29 marca. Śniadanie u księżny.¹⁾ Oranżerya, obrazy... Jest warstwa wcale osobna kobiet; więcej w nich ognia, zajęcia się, sposobności, sił i zdrowia, bo w młodości szczęśliwsze były; warstwa nadchodząca ma więcej rozsądku, mniej zdrowia, gorsze nerwy, mniej żywości, więcej czułości... Warstwy uważaćby trzeba i przyczyny. 29 marca. Trzy drogi do Kalisza: wielki pocztowy (trakt) na Kutno, Kłodawę, Konin; drugi prosto na Łęczycę; a najkrótszy na Trusów i Wartę... W Warcie noc przebywam, ...dzieci wrzeszczą, usypiają pieśnią niańki. Rozmaite myśli, bojaźni, gotowanie się odpowiedziami.“

Zrozumieć łatwo tę noc nieprzespaną, spędzoną przez Czartoryskiego przed samem do Kalisza przybyciem i widzeniem się z Aleksandrem. Cesarza nie widział on od lat trzech, odkąd wiosną 1810 r. poraz ostatni w życiu był opuścił Petersburg, aby nigdy już więcej nie wrócić do nadnewskiej stolicy. Obecnie przybywał na spotkanie z cesarzem do Kalisza niewzywany, a nawet najwidoczniej wbrew intencjom cesarskim. Zjawiał się on tutaj nie tylko jako gość nieproszony, lecz z wielu względów mógł być bardzo nie na rękę cesarzowi. Wszak przed kilkoma dopiero tygodniami, po wielu przeszkodach, udało się Aleksandrowi tutaj właśnie zawrzeć z Prusami pakta sprzymierzeńcze wrocławskokaliskie, których najsporniejsze i najważniejsze warunki umowne, dotyczące Polski, t. j. ewentualnego powrotu do Prus części Królestwa Warszawskiego, ciągle jeszcze w najściślejszym byłyzymane sekrecie. Zaś właśnie w tej samej chwili, kiedy do Kalisza

¹⁾ Radziwiłłowej, w Nieborowie.

przybywał Czartoryski, miało tutaj odbyć się spotkanie Aleksandra z Fryderykiem-Wilhelmem III: a łącznie domyśleć się, jak bardzo nie na rękę było cesarzowi pokazanie się w takiej chwili królowi pruskiemu w towarzystwie ks. Adama, znanego ze swojej ku Prusom niechęci, śmiertelnie też zniechęconego w Berlinie, okrzykanego tam, jako twórca antypruskich planów puławskich, *Mordplan gegen Preussen* z 1805 r., jako stały, niebezpieczny antagonist polityki pruskiej wogóle, a pruskich widoków na Polskę w szczególności. Na dobitkę równocześnie przesiadywał wtedy w Kaliszu wysłannik austriacki, baron Lebzelter, z którym prowadzone były negocjacje względem pociągnięcia Austrii do koalicji przeciw Napoleonowi; a łącznie znowu domyśleć się, jak bardzo nie na rękę było Aleksandrowi zaostrenie przez widok Czartoryskiego podejrzeń austriackich, aż nadto już wzbudzonych na skutek uprzedniego pochwylenia przez władze austriackie kompromitującej ekspedycji, posłanej w styczniu t. r. przez Kluczewskiego. Wszystko to razem sprawiało, iż położenie ks. Adama, zjawiającego się wśród podobnych warunków w Kaliszu, było zgoła nie do pozazdroszczenia. Trzeba było zaiste całej jego dobrej woli i całego jego *savoir-faire*, aby w podobnym położeniu dać sobie radę i nie zaszkodzić, lecz przysłużyć się jeszcze zagrożonej sprawie publicznej.

„30 marca. Przybywam do Kalisza o 10-ej podczas właśnie parady, gdzie wszystkich zdaleka widzę. Spotykam różnych: u Lubomirskiego¹⁾ stawam. Stawię się do cesarza. I przez trzy godziny czekam. Feldmarszałek²⁾ i drudzy wchodzi. Nareszcie wpuszczają mnie. Rozmowa długa przed, podczas i po obiedzie. Łączę mnie, że przyjechał, że to może mu (zaszkodzić). Lubomirski dobrze myśli o Lubeckim i projekt odkrywa. 31 marca. Scena z W. Księciem.³⁾ Obiad. Figury różne. Rozmowa z Wyliem.⁴⁾ Przykre położenie. Powtarzania Lubomirskiego i Wickiego. 1 kwietnia. Wracając do pierwszej rozmowy z cesarzem: łaskawie mnie przyjął, lecz od tego zaczął, że mi wymawiał, że przyjechał i że to może wszystkie interesa jego i nasze popsuć; że dotąd szczęśliwie dość idą; ale że awantura z Kluczewskim o mało co że wszystkiego nie popsuła. Nic o tem nikomu nie

1) Konstantego.

2) Kutuzow.

3) W. Ks. Konstantym.

4) Lekarzem przyboznym Aleksandra.

powiedział, — nadmieniał — boby zaraz powiedziano, że ja umyślnie tajemnicę Austryakom wydałem, żeby rzeczy zamącić bardziej. ¹⁾ Dopiero wszedł w cały wykład swojego postępowania i swoich planów. Że teraz o to mu idzie, żeby Prusy i Austryę w wojnę wciągnąć; że z pierwszymi już mu się udało, ale że już prawie był zwątpił; że nie wątpi, iż Austrya musiała coś namienić o papierach Kluczewskiego, gdyż właśnie wtedy Knesebeck, negocyator pruski, odmienił mowę i nie chciał podpisać, tak, iż cesarz musiał oświadczyć, iż się cofnie z wojskami, i posłać Anstetta do Wrocławia, którego bardzo się zręcznie i dokładnie sprawił, a narreszcie i sam tam pojechać; że Prusacy (Hardenberg) nastawiali koniecznie, aby im Księstwo oddać i że to ich pierwsze było słowo; lecz że cesarz stanął z tem, że to już będąc króla saskiego, nie można tego ruszać, aż do pokoju, aż póki jego obchodzenie nie będzie wiadome; że bardzo usilnie unikał słowa o Polsce zamienić; że jego myślą było wyrazić w przymierzu, iż zapewnia Prusom kraje w proporcji dawnej tej monarchii siły, nic nie wyszczególniając, w myśli, żeby dawne Prusy i cały bieg Wisły przyłączyć chcąc (*sic*), raczej odstąpić Wielkiej Polski,—(a widząc moją na to minę) a może jedno i drugie zatrzymać z pewnemi okrajaniem, zaokrągleniami. I na to już przystawali; lecz że prawdopodobnie wzięcie Kluczewskiego to zmieszało; że potem wiele to trudu kosztowało; że musiał więc wyraźnie zagwarantować Stare Prusy i o Księstwie nic niema i nic Prusom nieoddał. Że Anstett powiódł projekt do takowego przymierza z Jego „tak ma być,“ i że król pruski *y a mis aussi son approuvé*, i że to było pierwszym aktem. Że z Austryą równie wszystko szło najlepiej aż do wzięcia Kluczewskiego. Że konwencya sekretna udała się z Schwarzenbergiem, którego Reyniera i Warszawę odstąpił (*livré*) i oddał; i że już było wszystko na najlepszej drodze. Że miał Stadion do głównej kwatery przyjechać; że razem odmieniło się i nikogo z Austrii nie było widać; aż niedawno Lebzelter przybył, z którym tylko nawiasem cesarz tknął o historyi Kluczewskiego, lecz ponieważ ten uczynił jakby nie rozumiał, więc dalej nie wznowił rzeczy; że pisać do cesarza Franza nie wypadało, bo by był krok próżny; ale że prawie pewny, że nic złego obojście nikomu nie zrobią. Że Austrya, zdaje się, iż chciała neutralną zostać, aby potem nakazywać pokój; lecz że teraz Prusy

¹⁾ Jestto widocznie ukryte zaznaczenie własnej podejrzliwej myśli samego Aleksandra.

takim niesłychanym postąpiły ruchem nad spodziewanie Austrii; a gdy najbardziej Prusy złączyły się i działać będą z całemi siłami, to już teraz Austriya lęka się, że nie będzie grała równej z Prusami roli i że nie będzie miała swej w zaborach części, *part au gâteau*. Że więc zapewnie za miesiąc się zdecyduje. Że tymczasem odstąpi i odda ks. Józefa. Że korpus austriacki, niby przeskrzydłony, pójdzie do Czech; że Częstochowa wkrótce się zda; że Prusacy działać będą—(to Wołkoński ¹⁾ powiedział). Idzie więc teraz, żeby mi Polacy nie psuli, pomagali i we mnie zaufali. Rzecz nie małej sprawności, zręczności i ciągłej wytrwałości potrzebuje, gdyż trzeba niechęć i widoki dwóch połączonych mocarstw, niechęć i przeciwności rosyjskie (częścią) oszukać i odwrócić. Trzeba, żeby nikt nie wiedział ani się domyślał, że tu jeszcze o Polskę chodzi; żeby to było tajemnicą, póki rzecz na jaw nie wyjdzie. Pierwszy przedmiot jest, żeby Austriya się zdecydowała, żeby ona i Prusy szczerze działali, gdyż się na nich spuszczać nie można. I gabinet, który niegdyś przymierze w Bali ²⁾ podpisał, toż samo jeszcze uczynić potrafi. Myślą jest cesarza teraz przez rząd centralny ³⁾ zebrać posłów i deputowanych i z ich grona posłać deputację do ks. Józefa dla przedstawienia potrzeby nierozlewania krwi i ułożenia się o rozejm. Że zaproszą, aby rząd i wojsko posłali do cesarza o swoim losie (przymierzać się) umawiać się. Że to będzie, aby zawiązki wojska zachować. Że potem, jak się wszystko skończy szczęśliwie, Rosya przy traktacie powinna Księstwo dostać, a że potem cesarz sam resztę, jak u siebie mocen, uczyni bez hałasu, jak dla Finnów uczynił. Wiele odpowiedzi wtrącałem w czasie tej rozmowy, dla przekonania cesarza, że śpieszniej należy coś dla Polski uczynić i że z tego pewniejsze i trwalsze zyski, niżeli z Austrii i Prus; lecz próżno; zawsze na też same wracał koleje, z których go zbić niepodobna. Mówił, że teraz kraj wyniszczony, rozbite wojsko, niewiele mogą sił obiecywać. Wiele o łupiestwach, uczynionych przez Polaków, mówił, czemu choć przeczyłem i dowodziłem, przekonać nie mogłem. Jakiś Rzyszczewski, że się generałem z poruczniczka (zrobił), szydząc mówił. O moim bracie pytał się; że wszyscy znaleźli nagannem, iż wojował przeciw Moskwie, tyle tam przyjaźni odebrawszy; że mógł prosić się do Hiszpanii. Próżno przedsta-

¹⁾ General-adjutant Aleksandra.

²⁾ Traktat bazylejski prusko-francuski 1795 r.

³⁾ T. j. Komitet Centralny warszawski.

wiałem, że na jego miejscu to niepodobnem było. Z tem wszystkim bez niechęci widocznej o nim mówił, i jakoby raczej Rosyanie tak sądzili, którzy, jednostronnie widząc i wcale nie wchodząc w położenie Polaków, ani chcą oddać sprawiedliwości ich powodom, tak, jak sam cesarz o sobie mówił, że czyni. Odstąpiłem i oddałem gwardyę¹⁾ i Krasińskiego; lecz wszystkich innych bronilem, bez wielkiego skutku.

„2 kwietnia. Przyjazd króla pruskiego. Wielka parada, na której we fraku tłukę się na złym koniu, bo we fraku cesarz chciał mnie mieć. Śmieszne witanie króla. Podłóść Bronikowskiego i innych, którzy chcieli go witać.²⁾ Magistrat stoi u mostu, kozakami musztrowany; Hertel³⁾ swoje wyrabia. Głodem morzony, do Wołkońskiego idę powtórnie; mały Sergiej⁴⁾ przyjeżdża z Drezna, nam nieprzychylny. Przyjaciół nie mamy. Wintzingerode odmienił się. 3 kwietnia. Pozzo zrana przychodzi i Alopeus; co mówią. Układam papiery dla paszportów i innych próśb. *Te Deum* za wzięcie Drezna. Sasi szaleją za Moskalami. Obiad u króla; wszystkie figury pruskie. Bal u Radolińskiej; Polacy i Moskale... 4 kwietnia. Chory, nie wychodzę, ... jak stłuczony i zmordowany cierpię z głową ciężką. Nieszczęście i trapienie się z niewidzenia cesarza. 5 kwietnia. Druga rozmowa z Pozzo. Piszę do cesarza, przypominając potrzebę widzenia się z nim; odpowiedź odbieram. Obiad marszałkowski.⁵⁾ O szóstej rozmowa, która aż do dziewiątej trwa. Wracam i piszę. 6 kwietnia. Kończę rozmaite pisanie;⁶⁾ rusza; na obiad nie idę; odnoszę papiery; wizyty oddaję. Kutuzow, jak do rany. Radolińscy. Wieczór u Wołkońskich. 7 kwietnia. Piszę listy. Pozzo. Czekam w przedpokoju. Cesarz nastatek wychodzi, na oba policzki mnie całuje, ale słowa nie powiada; więc ze wszystkimi pytaniami zostaję w niepewności. Brak koni zatrzymuje. Dziennik okrutnie niedokładny przez czas

1) Szwoleżerów.

2) T. j. jako prawego monarchę, na gruncie Księstwa.

3) General-major Fiodor Fiodorowicz Ertel, poprzednio oberpolicmajster Petersburga, obecnie wojenny general-policmajster wszystkich armij czynnych rosyjskich.

4) Wołkoński.

5) U Kutuzowa.

6) Mowa tu głównie o obszernym memoryale dla Zamoyskiego i Mostowskiego, „rendu à S. M. à Kalisz le (25 mars) 6 avril 1813 pour être envoyé à Cracovie par la Silésie prussienne“ (brulion cały własnor. przez Czartoryskiego).

bytności tutejszej. 8 kwietnia. Koni niema. Różne starania u Hertela. Wizyta u posła angielskiego, któren jest wielki bałwan. Wizyta u Bronikowskich. Wyjeżdżam po obiedzie. Bal na pierwszej pocztce wcale dziwny... 9 kwietnia. Przez Kłodawę, Konin, Kutno, przyjeżdżam do Nieborowa nad wieczór. Ks. Antoni. Braterstwo niemieckie. Różne szczegóły o ks. Pruskim; zaraz chce czytać. 10 kwietnia. Dalsze rozmowy z Antonim,... po obiedzie jadę i późno do Warszawy przyjeżdżam.“

IV.

Pobyt w Kaliszu nie mógł pod żadnym względem zaspokoić Czartoryskiego. Przyjęty przez Aleksandra niechętnie, łajany za swój przyjazd, zrazu wprost wypędzany, nawet podczas obszernych rozmów z cesarzem usłyszał od niego wynurzenia napoły tylko życzliwe dla sprawy polskiej, i co najgorsza, napoły tylko szczere. Ostatecznie jedną tylko rzecz realną miał wtedy cesarz widocznie głównie na myśli w interesie polskim: dać sobie radę, tym lub owym sposobem, z resztkami siły zbrojnej polskiej, trzymającymi się jeszcze w Krakowie pod ks. Józefem. Czartoryski miał być pomocnym w tej rzeczy, napozór wyłącznie dla dobra samejże Polski; lecz w istocie cesarz, obok wszczętej z nim akcji w tej mierze, równocześnie poza jego plecami prowadził grę drugą, nadzwyczaj ślizką. W tym samym bowiem czasie, bez wiedzy Czartoryskiego, Aleksander był zawarł w końcu marca tajną konwencyę wojskową z Austryakami, wedle której oni mieli odstąpić za Wisłę, odsłaniając Poniatowskiego i czyniąc dalszy jego opór niepodobieństwem; co więcej, podczas rokowań, dotyczących tej zabójczej konwencyi, sam Aleksander całkiem otwarcie formułował swoje intencye w tym kierunku, aby poprostu pchnąć wojska rosyjskie marszem forsownym do odsłoniętego przez Austryaków Krakowa, „zaskoczyć znienaacka“ (*aller surprendre*) znajdujące się tam wojsko polskie i „unicestwić to ognisko niepokojów“ (*anéantir ce foyer d'inquiétudes*). Równocześnie Aleksander, za pobytu Czartoryskiego w Kaliszu, w rozmowach z przedstawicielem Austrii, Lebzelternem, nie szczędził najmocniejszych wyrażen pod adresem „wietrznych głów polskich, z któremi niema nic do roboty,“ z tym dodatkiem, że „unysłnie ominął Warszawę,“ aby nie wiązać sobie rąk w sprawie polskiej. Czartoryski tę dwulicowość, choć nie mógł jej przenikać w szczegółach, wyczuwał przecież

w ogólnym nastroju i zarządzeniach monarchy. Z drugiej strony, niemniej drażliwym od jego położenia względem Aleksandra, był współczesny jego stosunek względem ks. Józefa Poniatowskiego. Z poufnych, pisanych umówionym językiem, relacyj, posyłanych mu z Krakowa przez siostrę, panią Zamoyską, i ministra spraw wewnętrznych Księstwa, Mostowskiego, pomimo optymistycznego zabarwienia tych relacyj, o ile w nich była mowa o rzekomej gotowości kapitulacyjnej ks. Józefa, mógł jednak wyczytać Czartoryski, zbyt dobrze znając charakter Poniatowskiego, że wódz polski w rzeczywistości ciągle trzyma swą decyzję w ścisłej rezerwie i że niewolno było bynajmniej przesądzać, azali ta decyzja koniec końcem wypadnie w duchu kapitulacyjnym, jakiego życzyli sobie pośrednicy krakowscy i jakiego pragnął Aleksander. W dodatku Czartoryskiemu, oprócz ogólnikowych wskazówek udzielonych mu w rozmowie przez Aleksandra, pozostały nieznane bliższe szczegóły prusko-rosyjskich paktów wrocławsko-kaliskich w zastosowaniu do kwestyi polskiej; nieznane mu również były, jak i samemu Aleksandrowi, istotne intencje Austrii. Co zaś główna, pozostawała jeszcze wielką niewiadomą, co naprawdę czynił wtedy, reorganizując swą potęgę zbrojną, i co czynić zamierzał w polu i w negocyacji, wielki przeciwnik koalicji, pobity, lecz nie zdruzgotany jeszcze Napoleon, który wszak ciągle jeszcze w pewnej mierze trzymał w swych rękach atut polski. Wśród tylu powikłań, niejasności, a tem samem i niebezpieczeństw, wypadło Czartoryskiemu, bardziej jeszcze stroskanemu, niż był wyjechał, powracać teraz z Kalisza do Warszawy. ¹⁾

„11 kwietnia. Wizyta Lubeckiego. Obiad u pani Aleksandrowej, spacer, wieczór u pani Gutakowskiej. Wizyta Łanskoja i Pahlena. 12 kwietnia. Zrana wizyta Łanskoja i Pahlena. Bojażnie o rewolucję. Idę do Ostrowskiego, który był chory. Obiad u siebie z Szaniawskim. Sesja po obiedzie u Ostrowskiego. Wieczór u pani Aleksandrowej. 13 kwietnia... Łanskoj z większemi

¹⁾ Tajna konwencja wojskowa rosyjsko-austryacka 29 mars; propozycje Aleksandra dla Austryaków 10 mars.; słowa Aleksandra: „il n'y a que du vent dans ces têtes là (polskich), il n'y a rien à en faire; je n'ai pas été à Varsowie exprès,“ w depeszy Lebzelterna do Metternicha, Kalisz, 6 avr., Luckwaldt, Oestr. und die Anf. d. Befreiungskr. (Berl. 1898), 144; Zofia Zamoyska do Czartoryskiego, Kraków, 6, 7 avr. 1813, ks. Józef Poniatowski, 313 sq.; inne tajne, w umówionym języku, obszerne relacje krakowskie pani Zamoyskiej i Mostowskiego, — których „nie udało się... odszukać“ p. Smolce, Polityka Lubeckiego II (Kraków, 1907), 558, — ogłoszę w całości na innem miejscu.

trwogami. Zaczynam pisać. ¹⁾ Obiad u Ludwika Radziwiłła. Wi-
zyta Łąnskomu i raporta o konjuracyi; wydrwiłem się od Guta-
kowskiej i wieczór u siebie. Trzeba było coś więcej od cesarza
zyskać; mianowicie coś na piśmie do Łąnskowo, aby ułatwić po-
syłki. *14 kwietnia.* Łąnskoj woła Kilińskiego i innych. Wszyst-
ko puste. Szpiegi chcieli popisać (się). Dobrze obejście i mowa
Łąnskiego do Kilińskiego. Obiad w domu. U Vaubanowej roz-
mowa. Wieczór u pani Aleksandrowej. *15 kwietnia.* Pasztet z Ko-
chanowskim. Moskale uspokojeni. Kiliński łęsko odpowiada.
Kończę pisać. ²⁾ Sesa u mnie o wysłaniu Szaniawskiego. Wie-
czór u Gutakowskiej. Na listy z Puław odpisuję przez bojara.
16 kwietnia zrana Łąnskoj przybywa. Paszport dla Szaniawskie-
go gładko się zyskał... Starzec w Ogrodzie Saskim o 104 lat;
nigdy nie był szczęśliwym, nigdy nie użył życia, przeżył wszyst-
kich, samotny w starości i od wszystkiego odchęcony i odłączony.
Po co tak długo żyć? *17 kwietnia.* Szaniawski bałamuci z wy-
jazdem; trwożliwy na lada brednię. Listy zamykam i oddaję.
Paszporta wysyłam. Listy od pani Vauban i pani Stanisławowej
inną okazją... *18 kwietnia.* Wypędzam Szaniawskiego. Piszę do
Nowosilcowa. Obiad u pani Aleksandrowej... *19 kwietnia...* Obiad
w domu. Lubecki siedzi trzy godziny i niewytrawne ekonomicz-
no-polityczne (rzeczy) wysnuwa. Znużony jadę do pani Guta-
kowskiej...

„*20 kwietnia.* Zaczynam pisać do cesarza... Obiad u pani
Vauban. List od mojej matki, gdzie o Krasińskim jest namienio-
ne. Wieczór proszony u pani Aleksandrowej. *21 kwietnia.* Piszę
do cesarza. Wieczór we czterech u pani Aleksandrowej... *22 kwie-
tnia.* Kończę listy i jadę na koniu na obiad do Wilanowa; wracam
z panią Aleksandrową, rozmowa w koczyku... Wiele uczuć za
przybyciem (Biernackiego), smutnych, rozrzewniających, z wzglę-
du na kraju i mój własny los. Podejrzenia o przyjaciołach. Awan-
tury; Biernacki dobrze się sprawił. *23... 24 kwietnia.* Znowu pi-
szę. Smutny stan Litwy... *25... 26 kwietnia.* Odbieram wieczór
list z Krakowa 26 marca datowamy. Jak komunikacye zatrudnio-
ne wszystko psują... *27 kwietnia.* Piszę wciąż z przykrością.
Jazda do Królikarni, gdzie pani Stanisławowa przyjeżdża z smut-

¹⁾ Do ks. Józefa, Mostowskiego i Matuszewicza.

²⁾ Czartoryski do wyżwymienionych, Vars., 15 avr. 1813, ks. Józef Po-
niatowski, 315 sq. Chodziło wtedy równocześnie o wyprawę Szaniawskiego
oraz Ant. ks. Radziwiłła do Krakowa.

nemi nowinami o mężu. 28 kwietnia. Reuter przyjeżdża z listami od 23 kwietnia z Krakowa. Listy, co piszę, listy, co odbieram, głowę mi zajmują... Idę do pani Vauban. Jadę do Wilanowa z Pahlenem. 29 kwietnia. Drugi list piszę do cesarza. Febra z przyczyny, że mi się nie klei. Trzeba było koniecznie w kwaterze głównej zostać. Antoniego wyskok. ¹⁾ Lubecki oskarża o zbytnią miękkość... 30 kwietnia. Obadwa listy zamykam i oddaję Łąskiemu; ²⁾ list do Rupeyki także. Co się tam tymczasem około Erfurtu dzieje?

„Nowota robót i trosków odejmuje aż do 16-go (maja) możność dziennego zapisywania szczegółów życia. Przez te dni Szaniawski powraca z niczem. Ja piszę do cesarza, winę na Moskalów i Austryaków składając, przez Pahlena, którego wyjeżdża...³⁾ Cały korowód względem listu i pierścionka „*grati Varsaviae cives Petro Pahleno.*“ Odbieram list od ks. Antoniego i jadę 7 do Nieborowa z Walusiem... O miłą spotykam przybywającego Nowosilcowa; ale go nie zatrzymuję. Antoni zdaje sprawę z swojej bytności w głównej kwaterze i w Krakowie. Miny i krzywienia się Kutuzowa i wszystkich na niego. Lekkość i niedbałość cesarza, którego o niczem nie dał znać, nawet listu mi nie przysłał. Śmierć Kutuzowa,⁴⁾ przed wyjazdem Pahlena od Łąskiego do ucha powiedziana, wszystkim tegoż dnia wiadoma, żadnego wrażenia nie czyni, tylko, że szczęśliwym nawet w wyborze momentu śmierci jest... Wracam do miasta. Nowosilcow. Moje nieprzezorności pomnożone przez mowy Lubeckiego i Wickiego. Antoni przyjeżdża; rozinaite naradzanie się. Szaniawski, Niemiec i metafizyk, z Antonim najlepiej... Czytam Nowosilcowowi zapiskę, którą pochwała. Podejrzenia coraz znikają. Wiadomości o pokoju 13-go i 14-go. Ks. Antoni wyjeżdża z zapiską i listem do cesarza.⁵⁾ Wieczory różne dla Nowosilcowa i Łąskiego.

¹⁾ T. j. awantura Radziwiłła, aresztowanego w Krakowie przez Bignona i uwolnionego przez ks. Józefa.

²⁾ Czartoryski do Aleksandra, Vars., 29 avr. 1813.

³⁾ Czartoryski do Aleksandra, Vars., 5 mai 1813.

⁴⁾ Kutuzow umarł 28 kwietnia 1813; lecz jego następcą, Barclay de Tolly, zachował wszystkie jego prawa zwierzchnicze nad Łąskojem i okupowanym Księstwem Warszawskim, por. Sborn. Mater. Wl. J. C. M. Kancel. III (Pet. 1890), 101.

⁵⁾ Dwie własnoręczne zapiski Czartoryskiego dla Aleksandra, Vars., 14 mai 1813.

„16 maja odbieram list od Antoniego z Nieborowa z powtórzeniem wiadomości o pokoju i Austrii, wychodzącej na scenę. Pani Aleksandrowej zwierzenia na herbacie... Nowe roboty za pasem. Wieczór u Gutakowskiej, obiad u pani Vauban. 17 wieczór u tejże. Nowiny z Krakowa przez Hornowskiego i Nakwaskiego. 18 maja. Promenada *à cheval*. Obiad niespodziany... W Natolinie... Przechadzka wieczorna sam na sam w Wilanowie. Późno wracam do miasta; kolacya u Nowosilcowa. Rozmowa o systemacie federacyjnym... O Polsce coś zawsze brakuje. 19. Ranek wzięty. Kicki cienki... Po obiedzie rozmowa z Nowosilcowem żywa żółć porusza i smuci... 20. Piszę do cesarza.¹⁾ Bilet z Natolina i odpowiedź. Dysputy z Nowosilcowem. 21... Biernacki wraca z Krakowa; co opowiada o Linowskim, ks. Poniatowskim i innych... Dodatek do listu cesarza. Wieczór u Nowosilcowa, którego niezupełnie rozumiem. 22 maja. Piszę do Zosi...²⁾ Jadę do Natolina; gonię do Wilanowa; wieczór i odprowadzenie... 23 maja... List ks. Antoniego. Zmiana w umysłach. Pogłoski zwycięstw³⁾ i cofania się Moskali. 24. Dzień normalny dla Austrii; zobaczymy, czy tak będzie... Trudności. Nie umieją inni sądzić, nie znają się na czystości powodów. Ofiara największa krajowi: cierpieć na sobie fałszywy kolor. Rozmyślanie nad uczynionemi omyłkami, wadami. Należało zaraz jechać. Lecz czyż można było? Należało zostać w głównej kwaterze. Jednak nicby się więcej nie uzyskało. Ludzie do pewnych okoliczności się tylko zdają, do pewnej rzeczy. Jeżeli nie w niej postawieni, roli dobrze nie wygrają. Mnie trzeba było w swoim być kraju i za nim walczyć i czynić prosto. Związek moskiewski krępuje; i w roli środkowej, jaka stąd wypada, własności, jakie mam, nie mogą się rozwinać i okazać. Tak długie i najpiękniejsze lata, przebyte w tym stanie środkowym, gdzie skrytość, przygaszenie uczuć, przykrości tajone, zwyczajem się stały, musiały odjąć charakterowi swojej sprężystości, gdyż naginanym i ciśnionym zbyt było. Lata też nadeszły; to naturalnym wadom wpływu dodało, przez zgryźliwość, odchęcenie się, lenistwo i brak istotnej nadziei. Tembardziej, że okoliczności w powszechności i szczególnie położenie trzymają zawsze na tej zmieszanej i niezręcznej drodze, która ani teraz, ani na potem nie wystawia me serce, któraby przemówiła do

¹⁾ Czartoryski do Aleksandra, Vars., 20 mai 1813.

²⁾ Matuszewiczówny.

³⁾ Napoleona pod Lützen, 2 maja.

najsilniejszych bez przeszkody uczuć, obudziła schylone i tracące się własności i oddała im choć na chwilę przed spieszącą zgrzybiałością wrodzoną moc i działanie.“

Co za ból, co za smutek, co za gorycz piołunowa przebijały w tych rozmyślaniach, w tym dziennikowym monologu Czartoryskiego. A zarazem, co za czystość duszy w tej samokrytyce bezlitosnej, tem biciu się w piersi, tem wyrzucaniu sobie samemu, że się jeszcze niedość dobrze wywiązało ze swojej powinności obywatelskiej, że jeszcze niedostatecznie wypełniło się swoją służbą dla sprawy publicznej. Takie wyrzuty zwykli czynić sobie tylko ci właśnie, którzy tej sprawie najgorliwiej i najlepiej służą. W tym samym czasie, kiedy podobnym rozmyśleniom oddawał się Czartoryski, powołanym on został do ponownej, trudniejszej jeszcze niż poprzednia, wyprawy ku Zachodowi, śladem cesarza Aleksandra I.

SZYMON ASKENAZY.

STELLA.

Klinecki bawił już od tygodnia w Wierzbinkach, gdzie były zapowiedziane fety konne, polowanie *par force* z ogarami, gonienie lisa w polu — zgoła aryostyczne gonitwy przez dzikie ostępy leśne — przygody współczesnych rycerzy na współczesnych rumakach na tle starego, konserwatywnego pejzażu.

Jak słusznie przepowiadała ongi pani Laurka, był, oczywiście, królem igrzyska, a sprowadzony tu umyślnie zawsze nieporównany Aide-de-Camp dokonywał cudów wytrzymałości zręczności i gracyi.

Wesoluchny, maleńki inżynier Kajus, przybyły również z Warszawy, zabawiał całe towarzystwo, produkując z siodła przewspaniałe *bon-mots*, które pleniły się w jego ustach jak łąkowe kwiatki, łatwo i licznie; przyczem drobny człowiek kładł się na szyi ogromnego konia, zanosząc się od śmiechu. Wtórowała mu ohocho wesóło i dowcipna Skoryska, małżonka jednego z najbliższych sąsiadów dominium Wierzbinki, która wraz z panną Jolą Orszańską, siostrą gospodyni — dotrzymywała miejsca panom zarówno w łowach, jak i w karkołomnych gonitwach. Obie sprawnie i wdzięcznie dosiadały koni — były jedynymi, ale niezastąpionymi amazonkami w okolicy.

Dnia tego towarzystwo podzieliło się na dwie grupy. Na tle wynikłej uprzedniego dnia sprzeczki powstał zakład, którego przedziej można się dostać na tak zwaną „wielką polanę,“ leżącą na krańcach lasu: czy drogą przez wsie, czy mało znanym wąwo-

zem w kniei, który kręcił się, zbaczał, gubił—aż wreszcie docierał celu wśród wspaniałego widoku?

Większość mężczyzn pod wodzą gospodarza udała się pierwszą drogą — romantyczną cząstkę obrały obie panie, Klinecki, inżynier Kajus i olbrzymi pan Skoryski. Na polanie miano się spotkać, tam też oczekiwały wysłane skoro świt stoły i poetyczne śniadanie wśród lasu.

Tymczasem zwolna zagłębiali się w bór, który po przebyciu słonecznej, odkrytej zewsząd przestrzeni — wydawał się jeszcze bardziej niebotyczny i mroczny. Wilgotny grunt porastał gęsto puszystym mchem, całymi polami wybujałych już krzaków czarnych jagód i leśnych malin — wspaniałe, rozłożyste sosny wystawały w morzu zieleni, płacząc się z młodym dębem, smukłą jedliną i kępkami jałowca.

Ówdzie wybłyskiwały z ciemni spopielone, srebrnym mchem pokryte drzewka świerkowe. W grzązkich nizinkach, w cieniu nienawiedzanym nigdy przez słońce, tały się gromady grzybów, rosnących rodzinami. Krwawiły się nakrapiane, purpurowe muchomory — nierzadko szara, drobna żmijka — nikłe echo mitycznych smoków, zamieszkujących lasy — przemknęła się chytrze a cicho...

Nad czubami wybujałych, lekko kołysanych sosen płynęła stara, odwieczna pieśń—wichry jesienne rozpoczęły już szept zwykłych, potężnych i dzikich hymnów o Tęsknocie: promienił się jeszcze świat w wybuchach słonecznych, krótkich a jasnych—sycił szerokim, ciepłym oddechem zmęczonej już i napoły sennej ziemi; ukazywało jeszcze jasną, pogodną twarz niebo błękitne i hoże—ale zjawiły się już srogie, ponure podnuchy, poczynął zawodzić łkanie jakowyś żal za utraconem, przeżytem dobrem Istnienia... Jesień kładła swój płaszcz na wszystko—smutek osnuwał serca, wsączała się w duszę przedziwna, niezapomniana nuta zadumy.

— Huczy las—rzekł zwolna Klinecki, jakby powiadał tajemnicę — co za uroczystość solenna jest w takich szumiących modłach: muzyka wieków płynie nad nami... W takich chwilach zamykam oczy, wyobrażam sobie przez minutę, że się cofnąłem w tył, w miniony czas, że otacza mnie tylko ona — odwieczna i niezmienniona: Natura.

— Las uczynił z dyrektora poetę—zaśmiała się pani Skoryska, klepiąc ładną szyję Alladyna, zgrabnego siwka.

— Las czyni cuda, powiada stary Will — ciągnął dalej Klinecki — posłuchajmy tego doświadczonego *viveura*: niechaj pan Przeclaw Kajus zsiada corychlej z Rossynanta, albowiem będzie Orlandem zakochanym...

— Dziękuje uniżenie, Orlandem będzie dyrektor; ja chcę być Jakóblem Melancholikiem — odpalił małeńki jeździec, śmiejąc się ognieście na karku końskim — i stosownie do tego Rossynant mój nazywa się... ach! jak można tak nazwać konia wielkiego jak fregata! Jak mógł sąsiad szanownego pana — dodał w kierunku Skoryskiego — wymyśleć, ha, ha, ha!...

— Co? Ta klaczka—to ze stajni wierzbińskiej, prawda?

— Tak, ta klaczka właśnie, ta drobinka, to źdźbło w oku: szanowni państwo—*excusez le mot*: ten wieloryb nazywa się: Pchła!

— Moje współczucie! Serdeczne wyrazy współczucia!—wołała pani Skoryska.—O Jakóbie Melancholiku!

— Więc niech Orlandem będzie mąż pani—zapropo nował jej znowu Klinecki.

— Boże! Co za pomysły: a pan kim?

— Ja? Ja, proszę pani, będę sobie wygnanym księciem.

— Co do mnie, to oświadczam, że ani myślę być Rozaliną, spotkałoby mnie podwójne utrapienie: musiałabym się kochać w moim mężu i czytać jego wiersze. Będę więc Celią, a panna Jola księżniczką, udającą pasterza. A czy pan wie, panie Henryku, że ten książę musi się kochać w Celii!?

— Wcale nie ten; tanten jest młody i piękny — a ja jestem książę stary, brzydki, zupełnie wygnany; ten, co przyjnuje relacye myśliwskie, dworskie, miłosne—ten, co już wszystko przegrał, mieszka wygodnie w lesie i słucha, jak drzewa szumią...

— Biedny stary książę!

— Dalibóg, dwie wiewióreczki za orzeszkami po sosnach gonią — krzyknął nagle pan Kajus, zadarłszy głowę do góry.

— Raczej za sobą...—poprawił pan Skoryski.

— Błogi świat, szczęśliwa natura (jak powiada pan Henryk) — ciągnął małeńki inżynier z okiem utkwionem w szczytach drzew—oto ja, Jakób Melancholik, jadę przez ciemny bór na wielkiej Pchle pana Kraskowskiego...

— Dostyc! — przerwała dama na siwym koniu — ponosi pana styl, topi się pan w poezyi bez ratunku!

— Przepraszam zatem: jadę na Pchle ze stada...

— Proszę wycofać nazwę konia: to niepotrzebne!

— Jestem posłuszny, jadę i patrzę na szczytny flirt wiewiórek pod stropem niebios, a wielka moja Pchła...

— Dosyć!

— Pańska Pchła jest źle kierowana, *in gratiam* poetycznego fluidu jeźdźca wjeżdża łbem na drzewo — zauważył pan Skoryski.

Wiewiórki były już daleko, dając wspaniałe susy na słonecznych wyżynach, przyczem, oczywiście, losy posuwającej się dołem kawalkaty, jak również apostrofy malutkiego pana nie czyniły na nich najmniejszego wrażenia.

Wszczął się leciutki spór o kierowanie koniem między dużym panem Skoryskim i drobnuchnym inżynierem; rozgrzani rozmową, ruszyli prędzej naprzód, niknąc wśród gęstych pni i rudawej zieleni.

Klinecki został wśród dam.

— Światem rządzi ślepe fatum — zaczęła pani Skoryska — i tak, panie Henryku, pańskie marzenie miało nieszczęście musnąć skrzydełkiem jowializacye najmniejszego z Przecławów; Aryel zamienił się w Probieńczyka — jest to wprawdzie mięszanina jak się patrzy; ale szkoda pięknych snów, lubię kiedy pan zaczyna mówić takie rzeczy...

— Dlaczegoż tak? — spytał Klinecki, aby coś mówić i wlec dalej dyalog, który go niewiele obchodził.

— Dlatego, że pan wówczas jest szczery; natura zawsze tak działa na ludzi, którzy są od niej dalecy, i oddają się takim wzniosłościom, jak fabrykacye stali, czy tan co innego...

— A więc natura jest niedobra, bo kokietuje obcych — cóż pani na to, panno Jolanto?

Panna Orszańska, która dotąd jechała w milczeniu, podniosła nań oczy: były duże, cudnie wycięte i niezwykłej mocy.

— Mówili państwo o Naturze, prawda?

— Tak — odrzekła pani Skoryska — dowodziliśmy właśnie, że ta bogini czyni z ludzi poetów — pan Henryk posądza ją o kokieteryę.

— Zwykle znajdujemy siebie w innych. Nie sądziłam, że pan się interesuje takimi rzeczami, jak natura i poezya.

— Co więcej, ja je kocham.

— Ach! Mówi pan z ogromną rutyną — jest pan prawdziwym erudytem.

— Przeciwnie, mówię z rozmysłem i szacunkiem — niemal z trudnością. Ja to słowo cenię, bo wierzę, że w niem jest świat.

— Świat nie mieszka w słowach.

— Święty Jan był innego zdania, kiedy powiedział: a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo.

— Cytaty nie zawsze są argumentacją: równie gładko przytaczał Ewangelię sam dyabeł, kiedy kusił Świętego Antoniego w Tebaidzie.

— Znosi się na concilium theologicum — zawołała pani Skoryska—*au revoir!*—Wolę bronić mego męża przed jowializмами pana Kajusa, niż bawić się w stare Bizancyum i szermować dogmatami. *Au revoir!*

I lekki, siwy Alladyn uniósł ją daleko.

Panna Orszańska i Klinecki zostali teraz sami.

On milczał chwilę, marszcząc czoło i patrząc daleko przed siebie—wreszcie odwrócił twarz i rzekł:

— Dlaczego nie znalazłem pani w Como, jak mi to było przyobiecane?...

Lekki róż wystąpił na jej twarz bladą, skupioną w głębokiej zadumie.

— Bo tak było lepiej — odrzekła wreszcie głosem zmiętym i niepodobnym do mowy ludzkiej.

— Okropne są te krótkie, łagodne zdania, w których kryje się półśmierć — nie zabija odrazu, ale wypija zwolna życie, siły, duszę...

— Nie trzeba popadać w tragizm.

Jechali teraz jak dwa cienie ludzkie, twarze ich osnuło zgnębienie, las szumiał pieśń o nigdy nieukozonej Tęsknocie.

Zdala dochodziły niekiedy wesołe śmiechy gromadki jadącej przodem.

— Dlaczegoż to mamy istnieć samem cierpieniem: dla mnie jest to wprost ohydne! Ta nieustanna negacya życia, które jest tak piękne.

— Nigdy pan niem nie gardził, nie rozumiem zupełnie żalów niesłusznych.

— Nienawidzę męki!

— Nienawiść każe mścić się i zabić.

— Zemsta nie jest moim żywiołem.

— Nawet bogowie się mścili. Zabić mękę i pamięć: stać się czystym i nowym. Stać się silnym i obojętnym.

— Jest to okrutna recepta pełna ironizacyj rozdzierających serce.

Panna Jola westchnęła ciężko.

— Niech więc pan nie żąda odemnie ratunku, którego mu dać nie mogę.

Koń Klineckiego zakręcił drobne kółko: stali teraz wprost siebie, oko w oko, jak dwa znieruchomiałe, spiżowe posągi.

Smiechy oddalały się coraz bardziej — wreszcie uczyniła się cisza bezwzględna.

Wtenczas jeździec począł mówić zmienionym, uświadomionym głosem:

— Stanęłaś wpoprzek mego życia, jak moc niezwykła: chcąc ująć zagłady, trzeba się stać jednym z Tobą. Nie odtrącaj mnie, nie depcz po mnie... Jolu, ulituj się nad człowiekiem—Jolu, bóstwo nieodgadnione, ulituj się nad człowiekiem!...

— Nie mogę litować się—bo to byłaby słabość ducha, droga do zatracenia wszystkiego. Nie pytaj — nie pytaj więcej; każde słowo rani mnie nad wyraz.

Wistocie, oblicze panny Orszańskiej stało się samą boleścią. Znać było, że cierpi nad siły.

Leciuchny, ściszony szmer płynął nad wierzchołkami kołyszących się drzew—pachniało wilgotną sośniną, rozmiękkłym igliwem i jałowcem.

Tamci jeźdźcy musieli być już bardzo daleko—oni stali wciąż wprost siebie zupełnie bez ruchu — konie zdawały się rozumieć dramat, w którym brały udział.

— Muszę pytać—mówił dalej—bo tak każe mi instynkt samozachowawczy, bo muszę żyć. Miłość ta uczyniła ze mnie dziecko, które się boi wszystkiego: nie mam już wcale woli, bo jesteś nią Ty—nie mam nic własnego w swej duszy... Świadomość moja jest Tobą... Kobieto! Kobieto!

Znać było, że posągowa, zdecydowana jego cierpliwość wyczerpuje się, przechodzi w gniew bezskutecznie miażdżony przez wolę. Nawet wargi jego stały się blade—w białej, ściśniętej bólem twarzy nienasycenie i złowrogo świeciły czarne, olśniewające oczy.

Wtenczas panna Orszańska spojrzała nań jak na widmo: usta jej krzywiąc się w gorzkim uśmiechu bezsiły wyszeptaly błagalnie:

— Jedźmy dalej, będziemy więc mówić. Wytlómaczę panu wszystko.

Ruszyli, jadąc blisko, niemal ramię w ramię. Słychać było chrzęst rzemieni u siodła i miarowe uderzenie kopyt wierzchowców. Wiatr rozegnał wełniane, gęste obłoki — jasny lazur panował teraz nad obszarem: pływały w nim strzępy białych chmur, jak porzucone na jeziorze kwiaty... Z góry sączyło się słońce, przez chwilę zdawało im się, że odbywa się rzeczywista siełanka. Zmęczone serca odpoczywały — dusze starały się zadrzeć pamięć i ból. Sekundy te przepadły bez śladu — nielitosna, zimna rzeczywistość panowała jak przedtem.

Wówczas dał się słyszeć głos panny Jolanty.

— Niech pan nie marnuje życia, panie Henryku, lecz odda je istocie, która to oceni: taka się znaleźć kiedyś musi... Cudowna niepamięć, zupełne zapomnienie mojej osoby jest jedynym, jedynym środkiem... Odejść—ja muszę odejść z twoich myśli—wówczas będziesz szczęśliwy.

Słuchał ze schyloną, nieszczęśliwą głową człowieka skazanego na nowe męki. Ona zaś mówiła dalej, wolno i z wielkiem udęczeniem duszy:

— To się prześnić musi i zginąć... Nie należy, więcej dbać o mnie—przeciwnie trzeba się odsunąć daleko, daleko... Trzeba mnie zostawić, zostawić na zawsze. Inaczej być przecież nie może. Gonić szczęście—ach! droga to i bezcelowa, zgoła bezcelowa zabawka. Serce moje nie umie kochać, wierz mi, nie umie kochać... Znasz historię tamtego człowieka: szalał, był miłością i zachwytem, a jednak odeszłam od niego zimna i obojętna... Taki przykład—a już kochałeś mnie wtedy, widzisz... Och! skończ tę powieść serca. Serce! Co za wyraz?..

Umilkła wyczerpana i drżąca—stała się tak blada, że niemal przezrocza.

Ale Klinecki był nienasycony.

— Mów, o mów jeszcze! Mów, i bądź przy mnie.

Wówczas, jakby poddając się naporowi obcej, niezwykłej siły, zaczęła mówić znowu, znowu... Jechali już tak wolno, jak sobie tego życzyły konie.

— Nie można czynić ofiar nad siły, wierz mi... Nie radź się, że tak z tobą mówię, bo wyraz „pan“ byłby tu głupi i mały, a mnie trzeba wielkich słów, żeby cię przekonać, nareszcie przekonać.

Patrzył na jej głowę z profilu, zdręczoną teraz, oko utkwione w przestrzeń, w którym kręciła się łaza powstrzymywana siłą. Głos płynął:

— Byłam zawsze sama i tak już zostanie, zostanie. Jakże mogę skuwać z sobą duszę, której nie uszczęśliwię nigdy... Wybacz, o wybacz!... Są we mnie chwile, że zrywa się jakby wichur i odkrywa marzenie o świecie, w którym spoczęłabym ufna już i spokojna i który byłby szczęściem mojem, weselem serca, nieustanną radością jasnego snu... Ale to mija i to jest tylko baśń. Błagam cię, odejdz i zapomnij—nie mogę... nie mogę... Miłość powinna mieć chwałę doskonałą—powinna być siłą i zwycięstwem. Odejdz, odejdz—zniknij wśród innych ludzi; odnajdź swoje słoneczne, ożywcze dni: wesel się... Jestem cała w smut-

ku i żalu—wszystko jest mi obojętne i obce—gorycz zawiera w sobie życie... Nie wiąż się, nie zajmuj kobietą, która pragnie być sama—obrzydłby ci świat, zniechęciłbyś mnie i odszedł w gniewie.

— Nie odejdę nigdy, bo nie mógłbym wtedy żyć — odpowiedział.

— Chcesz-że iść w Nicość?...

— Egzaltacja dyktuje ci te słowa.

— Ach! Podsuwa je raczej rzeczywistość.

Jechali znów w głębokiem, spadłem nagle milczeniu. Ptaki świergotały między gęstwiną — nad lasem zerwał się wiatr, budząc ucichłe szuny.

— Jestem jak studnia wyschła, jak bezradna pustynia—jakieś nędzne, kuszące widmo, wierz mi: niema już we mnie ani chęci do czegokolwiek. Ta miłość dwóch ludzi kosztowała mnie zawiele. Dawniej bałam się ciebie—dziś ty drżysz, a ja nie mogę tak igrać z duszą. Błagam cię, bądź zupełnie spokojny: odcierp to, i odejdz.

— Jedyne! powróć — dam ci szczęście...

— Okupione kłamstwem!

— Kocham to kłamstwo. Wszystko, co jest tobą. Jest mi tak drogie, jak życie.

— Nie mogę... nie mogę... Przystałam, przestałam istnieć... Wszystko to minęło!

— Powróć! Nie zważaj na nic, otrząśnij się z tych przywidzeń—zerwij wszelkie okowy... Jedyne, ty kochasz... Mów! wszystko zniósę.

Wyjechali teraz na dużą, opuszczoną polanę: powódź światła spływała z wyżyn.

Panna Orszańska odwróciła się bokiem i rzekła:

— Mylisz się — ja poprostu chcę być samą. I tak już na zawsze. Jedno mam tylko marzenie — jedno...

— Powiedz je! powiedz!..

Zatoczyła koniem koło, odsuwając się daleko.

— Ażebyś o mnie zupełnie zapomniał.

Klinecki pobladł znów i, pocierając czoło, wyrwał z siebie pytanie:

— A ty?...

— Ja, oddam się pracy i zniknę z twych oczu na zawsze. Zwróciła konia i poczęła się zlekka oddalać.

Wówczas on, czując, że wymyka mu się z rąk ostatni rąbek nadziei, począł wołać z rozpaczą:

— Jolu! wróć... Wróć, jedyna moja, wróć! wróć!

Usłyszał daleką, przeżalona odpowiedź, jak smętny echo-
wy jęk:

— Nigdy już...

Patrzal zdumionemi, przerażonemi oczyma, jak oddala się,
jadąc leśną ścieżyną. Myślał, że odwróci się, że spojrzy nań
jeszcze łaskawie: wtedy dogoni ją w kilka sekund, pochwyti
w rozręsknione, głodne objęcia — wtenczas, wtenczas...

Łudzająca Maja tchnęła znów odrobinę otuchy w stężale od
ból u serce.

Lecz Jola jechała dalej, zimna i nieporuszona.

Patrzal do ostatniego tchu, do ostatniej iskierki... widział
konną sylwetkę wśród dalekich, gęstych drzew lasu — ścieżynka
zwracała się w bok: znikła już...

Doznawał teraz uczucia, że cały świat zagaśł.

On sam był już tylko cieniem, mknącym we śnie, przez ja-
kiś widmowy, w gorączce widziany las. Myślał, że nieszka tu
już tysiące lat — skończyło się właśnie ciężkie przeraźliwe marze-
nia: wrócił do dawnego stanu — jest sam, wkoło stoją szumiące,
zadumane drzewa... On je poznaje; są to stare, ogromne sosny,
o czerwonej, ślicznej korze i rozwichrzonych koronach. Ota-
cza go polana, prawie okrągła, różowa od wrzosu — złota od sta-
rych, uschłych ziół... Bezmyślnie, zgębiony pustką, skierował
konia w bok — nagle przyszła cała świadomość i ogarnęło go prze-
rażenie nad tem, co się stało.

Dotknął ostrogami czułych boków zwierzęcia. Aide-de-Camp
ruszył galopem.

Drzewa poczęły migać z zawrotną szybkością — zdawały się
uciekać w tył, spłoszone furją jeźdźca i konia. Nikt jeszcze
nie naruszał w tak gwałtowny sposób spokoju jesiennych snów
tego zacisza.

Otuliło go teraz jakoby błękitne powietrze nieświadomości —
niekiedy przedarła się słaba, migotliwa myśl: Aide-de-Camp runie
prosto na drzewo, rozbije głowę o pień... Klinecki przyjmował
to, jako rzecz naturalną: pobłażliwie i lekko. Były chwile, że
widział własnego trupa, porzuconego gdzieś w gąszczu — sztyw-
nego i nieczułego na wszystko.

Tymczasem koń, pobudzany ustawicznie i napoły już oszala-
ły, niósł go na przełaj przez bór — drzewa rzedyły... Na boku, na
pochyłym wzgórzu, zostały zagajniki młode, jeszcze zielone. Zja-
wiło się otwarte, zorane pole...

Klinecki pomyślał, że powinien tak pędzić całe życie — po
żyłach rozplynęła się rozkosz, omdlony wzrok nie odróżniał już

nic: wśród zmaconego chaosu zajaśniało niekiedy imię Joli—i natychmiast, jak odpowiedź, majaczyło pojęcie, że ucieka przed pustką, którejby nie przeżył; że pęd ten jest czemś może poza bytem już — tryumfem nad zagładą, zwycięstwem.

Dalej, dalej!

Ostrogi...

Aide-de-Camp przesadził rów, zarosły dziką jeżyną, zawalony rudym, uschłym jałowcem; przewionął raczej jak motyl.. Kto by to widział, mógłby sądzić, że koń i jeździec są widmem.

Pędzili jeszcze chwilę — i nagle stała się rzecz niespodziewana.

Koń skręcił w miejscu, jak porażony niewidzialną zaporą — stanąwszy piekielnego dęba, wyglądał legendowo.

Klinecki, ogłuszony, leżał w trawie o kilka kroków.

Po jakimś czasie ujrzał nad sobą wielkie, promienne niebo; płynęły po niem majestatyczne, spiętrzone obłoki — nie czuł żadnego bólu, tylko wielkie zmęczenie; uniósł się na ręce, patrząc ciekawie.

Była to mała, zielona jeszcze łączka—zdawa czernił się przebyty las—drugi koniec znikał w niewiadomej oddali, drzewa sterczały już z poza góry. Niedaleko stał piękny Aide-de-Camp, spieniony i sponiewierany.

Klinecki się podniósł. Postąpił bezwiednie nieco naprzód. Tu spojrzął przed siebie i lekko krzyknął...

Łączka obcinała się tuż jak pod linię — dalej była pusta przestrzeń. Podeszedł tam i zobaczył równy nasyp w dole, błyszczące szyny i przeciwny, równie stromy brzeg.

Wtenczas zrozumiał wszystko odrazu.

Śmierć!

Miłosnem, niemal rozkochanem okiem ogarnął piękny, jaśniejący świat.

Uczuł w sobie nietknięte, silne, olśniewające misteryum. Uczuł święte, nienaruszone życie — uczuł je i błogostawił mu.

Dziwny, prawie rozkoszny uśmiech rozświetlał mu usta, kiedy zbliżał się do ulubionego wierchowca; zaplótł dłonie na jasnej, spotniałej szyi — przyłożył twarz do prześlicznego łba o mądrych, rozmarzonych oczach.

— Kochanku mój... kochanku...

Trwali tak dobrą chwilę. Aide-de-Camp drżał całym ciałem — na złotej, szerokiej piersi osiadła biała piana.

Chłodny, ożywczy wiatr niósł wonie ziemi i lasu — słońce zalewało łąkę — kwitły tu drobne dzwoneczki, smukłe ostrożki,

ziółka różne — zdała, po drugiej stronie plantu, mającził domek dróżniczy; widać było kobietę w jaskrawej spódnicy, kręcącą się koło chaty.

Miłość życia napływała do serca coraz cieplejszą falą.

Objął silniej i tkliwiej złocistą szyję:

— Kochanku mój... kochanku...

Złączeni uściskiem, wyczuwali teraz całe piękno istnienia — był to przedziwny pean radosny, w którym człowiek i zwierzę wielbili wszechpotężny cud życia.

Głośny śmiech wyrwał Klineckiego z zadumy.

Wydawał go zsiadający z konia drobniuchny pan Przeclaw Kajus. W tej-że chwili przycwałował także pan Skoryski.

— Na miły Bóg, dyrektorze, jużem drżał o pana! A witaj-że mi z tamtego świata, witaj!...

I Klinecki czuł, że zacny olbrzym całuje go uroczyście, trzymając oburącz. Obok tuż weselił się pan Kajus, gestykulując i krzycząc:

— Co za spryt u bestyi! Co za spryt! Dwa kroki od przepaści — ha, ha, ha! Dyrektorze kochany, żebyś wiedział, jak wyglądałeś zawieszony na szyi tego figlarza — ha, ha, ha, ha, ha!

I maleńki jeździec, przykucnąwszy z ochoty, bił się obiema dłońmi po obciśniętych kolanach.

— Cóż u dyabła? — dopytywał się Skoryski — czy on się zląkł, poniósł?

— Ballada, jak Boga kocham, poemat! — wykrzykiwał Kajus — od dziś wierzę w centaurów! Ha, ha, ha! Co za skok przez rów — pi, pi, — widzieliśmy wszystko, sami ledwo żywi...

— Gdzie? Jak? — zapytał wreszcie Klinecki.

— Stamtąd, dyrektorze, od drogi — wyjechaliśmy właśnie na lewy brzeg lasu, skąd już do umówionego miejsca może pół wiorsty — gdy, wtem: pan Skoryski ręce złoży, jak do pacierza, a ryknie niegorzej od tura: Ratuuj, kto w Boga wierzy — pan Henryk zabija się w biały dzień! Patrzą — a dyrektor dobrodziej sadi na tym utrapieńcze prosto z lasu w przepaść, na plant kolejowy...

— Jezu Chryste! — przyświadczył pan Skoryski — jeszcze mi zimno na tę myśl...

— Kopnęliśmy się galanto, a dyrektor już na podobieństwo jaskółki — fiuut! przez rów — no, myślę sobie, nie połamał nóg: ta bestya i przez plant skoczy... Aż tu, kiedy już doganiamy połowy naszej drogi, wołając najśłodszyimi wyrazy, abyś się dyrektor zatrzymał — nagle, ten szprync — fajt! Otrząśnie pana, jak

gruszkę — a sam lewo w tył... Ha, ha, ha! — szpryncuś szelma — brylant nie koń!

I drobny jowialista począł pieścić pięknego kasztana.

— Nie boli pana nic? — pytał się troskliwie Skoryski.

— Nie. Nic zupełnie — odparł Klinecki z uśmiechem, poczem przeciągnął się rozkosznie i dodał:

— Czuję się bajecznie zdrów.

Pan Kajus zaś spojrzzał na zegarek i krzyknął:

— Ładna historia! Panowie, jesteśmy pobici: godzina druga! Jeżeli nam wszystkiego nie zjedli, to będę naprawdę poetą!

*

*

*

W owym czasie Adryan siedział w Wierzbinkach przy stole w jadalni państwa Kraskowskich. Przyjechał przed godziną — był bohaterem chwili, zarówno dla pani Laurki, uprzejmej gospodyni, jak i dla obojga państwa Orszańskich, którzy tu bawili na wczasach jesiennych.

Staruszek niewymownie był rad z poznania „poety;“ oglądał go chwilami ciekawie, jak osobliwy wyrób — pani Orszańska zaś, uśmiechając się dobrotliwie, admirowała młodzieńczą urodę Ordeńskiego, patrząc nań bez przerwy bardzo jeszcze ładnymi, niebieskimi oczyma.

Pani Laurka była również rada z gościa, który przypominał jej błogie chwile pięknej podróży włoskiej. Adryan musiał mówić za trzech, jeść zaś i pić za czterech, albowiem pan Orszański (który miał zawsze nieporównany apetyt) grzmiącym głosem przymuszał go do tej czynności, mówiąc sentencyjonalnie:

— Kto z Bogiem, Bóg z nim — mówię panu; a kto darami Bożymi gardzi — twarde ma serce, i nie nigdy z niego nie będzie! *A propos* twardzizny: jeszcze kawałeczek wątróbki — Laurusiu, dziecko — twoją kuchnię na wystawę dać! Wątróbnia — nieczem masło; mięciunia — uuum!... Skosztuj-no jeszcze odrobinę, imość — dodał, zwracając się do żony.

— Doskonała, duszo kochana, ale mam dosyć...

— Noo, dziuńdzio — ot: panie, na koniec widelca, aby domu, gdzie podano, nie obrazić. Panie Adryanie kochany, pociesz starego dla kompanii — pół plasterka! Jak mnie kochasz!...

Talerz Adryana napełnił się poraz już nieobliczalny.

— Wicuś, porter! — zaopiniował patriarcha.

Służący nalewał.

Adryan bawił się wyśmienicie.

— Powiadam panu—ciągnął pan Orszański—mała to szkoda, że wszyscy są teraz w lesie. A spokój przy jedzeniu — warunek kardynalny! Już ja im tam, panie dobrodziejku, nie zazdroszczę: oj, najeździł się człowiek, panie dobrodziejku, ho, ho! I przez rowy, panie—i tak, panie—i siak, panie! Ho, ho—niczem pan Henryk; ale teraz pora spocząć—nieprawdaż? Człowiek stary, a starość, panie Adryanie... Przejdźmy do gruszek.

I wielkie westchnienie rozdarło pierś wielbiciela miękkiej wątróbki.

— Jak to pan pięknie powiada, panie dobrodziejku: „w jesieni tęsknota — panie — silna i świeża i młoda — jak wiosna...“ Nieprawdaż? A co?... Pan poeta dziwi się, że znam jego książki?...

— Wistocie, nie przypuszczałem—tłumaczył się Adryan.

— Mąż wszystko, proszę pana, co się poezji tyczy, czyta, gromadzi, nieraz cytuje, jak teraz—objaśniła pani Orszańska.

Pan zaś dodał:

— Ja was, modernistów, panie, cenię...

Adryan usiłował się bronić:

— Nie mam zaszczytu należeć do żadnych mo...

— Nnno, no, no! Potem o tem, panie kochany: ja was cenię, bo przez was wiele z piękności formy nalało się do wiersza polskiego... A nie brak i myśli, nie brak... Znakomite kongresówki!

To ostatnie stosowało się do piastowanej przez patriarchę gruszki.

— Niech pan sobie wyobrazi — mówiła pani Laurka — że ojciec przywiózł tu „Boginię Morza“ i studjuje wieczorami...

Adryan skłonił się w kierunku pilnego czytelnika, ten zaś tłumaczył się:

— Bo lubię, panie, skoro poznaję człowieka, rozmawiać z jego duszą. A tam, panie, duszy obfitość — w tej „Bogini.“ Niektóre miejsca są dla mnie ciemne — ale całość piękna. Ja, panie dobrodziejku, sam tego... niedoszły jestem, jakże tu powiedzieć, żeby imości tego... „muz kochanek...“ Ale się opamiętał, ho, ho — wróciłem na rolę, jak ojcowie, tak panie, tak: tradycya, kraj, obowiązki przedewszystkiem!

Westchnął ciężko, z emfazą — i dodał:

— Ale Muzy się pomściły — bo przez nie poszły Markocice.

Pokiwał głową, a małżonka poszła zaraz za jego przykładem. Pani Laurka chichotała.

— Ojciec zawsze zjedzie na Markocice. I skąd? Z Parnasu!...

— Oj, z Parnasu, z Parnasu!—zająknął ojciec—Trzysta włók, moi państwo drodzy, nie licząc łąk, które były przednie, a co za las; fiu, fiu!... Żydek, panie Adryanie, co u mnie przy dworze sad trzymał, a potem moim budulcem handlował; dziś, panie, karetami—po Ostendach, Rivierach, panie, córki za hrabiów... A ja siedzę z imością w Jarocinku na trzech włókach i jabłek pilnuję. Filozofia i poezya, drogi panie Adryanie, zgubiły mnie. Przyjeżdżam ja, panie, z tego Paryża; młodziuteńki filozof, ogromnie wzniosły poeta: do dziedzica, jak w dym, i ten, i ów—mały, duży: co siał, gdzie orać; jak, co sprzedać... Rany Boskie! Onie miałem — przychodzi karbowy, że go rządca sprął, szuka sprawiedliwości: jakże tu mu filozofów, panie, cytować—albo na lutni kwilić? Umykałem, ile mogłem. Ot — marność wszystko — przynajmniej to mam, że się teraz filozoficznie na swoich trzech włókach pocieszam... Podobnoś, kochany panie, coś tam teraz odziedziczył? Oj, strzeż, strzeż się—boś poeta: pamiętaj, panie dobrodzieju, że cię stary, doświadczony filozof ostrzega!

— Moje dziedzictwo jest tak szczupłe, że łatwo niem zarządzić, nawet pocie.

— Wiem, domyślał się, panie. Znałem nieboszczkę, pannę Izabellę, dzielna była niewiasta.

— Mało znałem ciotkę, ale mam tę samą o niej opinię. Byłem prawdziwie wzruszony jej pamięcią.

— Myśmy się też szczerze cieszyli — bo pan masz w nas przyjaciół, ho, ho — *les amis de nos amis*... — a przecież pan Henryk to nasz stary, kochany sąsiad. Zawsze to, panie, sukcesyjka, choćby najmniejsza — życie umili! A cóż bo, panie, jest życie? Chwila, panie dobrodzieju, dymek, nie... Bo to proszę państwa, co nas Kościół naucza, że to niby dusza z ciała, tego — wedle zasługi — że to, panie, nie koniec, że to czasem lepiej... Owszem, to jest bardzo piękne, i należy w to wierzyć; tak, panie, człowiek sobie od dziecka mówi, mówi i niby już wszystko dobrze... Ale pomyśl tak pan sobie: życie, jest to przecież wielkie, niezaprzeczone piękno, tyle radości, uciech, choćby smutków, zasług, czy grzechów — cały ten, panie, dramat, góra najrozmaitszych wrażeń, konsekwencyj, związków, wpływów... A potem, przychodzi taki momencik: ppszytk!... i wszystko się skończyło... Nigdy tego nie lubiłem i nie mogę się, panie dobrodzieju, przyzwyczaić...

I znów westchnął pan Orszański.

Śniadanie kończyło się, poczęto wstawać. Adryan, który pochłaniał wszystkie słowa ofiary filozofii, bawił się znakomicie. Był ożywiony i wesół: wszczął się leciutki dyskurs na tle wspomnień włoskich, którym państwo Orszańscy przysłuchiwali się z zajęciem.

Wtem za drzwiami uczynił się jakiś ruch, po chwili usłyszano szybkie, nerwowe kroki.

Pani Laurka rzuciła spojrzenie w stronę służącego. Wicuf pospieszył otworzyć.

Do pokoju weszła młoda, wysmukła panna, o bardzo bladej, przesłoniczej twarzy, ubrana była w kostyum czarny do konia.

Adryan spojrzał i zadziwił się.

Widział ją już raz... Jawiła mu się we snach ta głowa wyniosła dumnie — nie mógł dotąd zapomnieć krótkiego, nikłego jak sen spotkania.

Tymczasem przezacny patriarchy szastał się już w wysoce szarmancki i równie zamierzchły sposób.

— A, a, a, quelle surprise! Pozwól, ma fille: oto jest pan Ordęski Adryan, szlachcic i poeta, autor pięknych książek, podróżnik, panie—*voyageur et amant des Muses!* Moja młodsza córka — Jola, panie dobrodzieju.

Adryan był dość silnie zmięszany: imię Jola uderzyło go jak nagły błysk... Oryginalna w swoim rodzaju prezentacya, dość pogardliwy wyraz panny, dopełniły resztę.

Wszyscy byli poruszeni jej nagłym powrotem. Lecz sportsmenka wytłómaczyła się łatwo:

— Chciałam jechać sama i zabłądziłam, wolałam się wrócić, znalazłszy znajomą ścieżkę.

Pan Orszański nie mógł wyjść ze zdumienia.

— Jolusiu, dziecko, z twoim rozumkiem, zabłądzić?... Nie dać sobie rady?... Eeee — niemożliwe, panie!

— Mój rozumek zginął w lesie, ojczy — mówiła miękko — całując poczciwości oblicze.

— Oj ty, ty — pieścizotko moja, dumna Minerwo, smukła Dyano, najbardziej dziesiąta Muzo — dziękuję ci z całej duszy, żeś wróciła, moja córeczko, bo cię mam znowu, a już, panie, nie na żarty tęskniłem!

— Ojciec dla Joli sprowadził zaraz cały Olimp — śmiała się pani Kraskowska — a ja jej przedewszystkiem dam śniadanie; chodź, Jolinka!

— Nic nie będę jadła, Laurko, głowa mnie bardzo boli ze zmęczenia — pójdę się przebrać; państwo wybaczą...

— Idź, kochanie, idź—a powróć prędko, przy gawędce przejdzie ci ból głowy, jak ręką odjął!

Siostry odeszły. Adryan myślał w tej chwili: owe „niezwykłe i urodziwe”—ach, więc to one obie! Poznaje je wreszcie, widzi razem... Były w zasadzie podobne — lecz pani Laurka była tem wobec siostry, czem jest niezła kopia wobec niedoścignionych właściwości oryginału.

Twarzy panny Joli Orszańskiej nie zapominało się nigdy. Czuł, że ogarnia go marzenie o tej dziwnej kobiecie...

Już samo jej imię, rzucone wtenczas na wieży Giotta, zrobiło na nim niezapomniane wrażenie.

Był zaniepokojony i nieswój.

Nie mógł, mimo wysiłków woli, oderwać myśli od wreszcie poznanej. Jej postać wydała mu się żywą tragedją. Ten wzrok wyniosły, dunny—z chwilami niezgłębionej tęsknoty, twarz blada, jakby skupiona w sobie, wsłuchana—usta tak dziwnie piękne, jak czarowne obietnice szczęścia... Widział ją ciągle.

To była właśnie zupełnie ta sama, którą wyobrażał sobie wtenczas, daleko, w jednej chwili — usłyszawszy tylko jej imię...

Zaś pan Orszański brzęczał mu nad uchem najrozmaitsze historye, okraszone pełnemi wdzięku cytatai, nawskroś przesiąknięte polotem, albowiem śniadanie wprowadziło mu ducha na jasne drogi; a obecność Adryana i nagły powrót córki obudziły w nim znowu dawny gest romantyczny. Adryan słuchał pobłaźliwie, czekając pojawienia się Joli. Ciekawość poznania tej kobiety i zbliżenia się do niej wzięła górę nad wszystkim. W owej chwili zamknęło się wszystko znane już i odczute w głębiach duszy — zamilkły naraz wszystkie najdalsze i bliskie echa: wśród ciszy i zupełnej pustki spływało nań niespodziane marzenie.

Zeszło nań coś jak silna, nie dająca się przejąć mgła — posłuszny, natychmiastowy sen, wywołany przez czary. Znalazł się jakby w odwiecznym, nieprzeniknionym lesie, wydało mu się, że czeka już tak całe życie... Stanie się przecież teraz coś — przybliży się konieczność, nieznana i przemiała...

Pan Orszański ujął go pod ramię potoczystym, zaiste zachwycającym ruchem galanta z przed pięćdziesięciu laty, posuwistym, szastanym krokiem prowadził na obszerny ganek, raczej werandę, skąd roztaczał się widok na białą drogę pnącą się w górę na tle czerniących się lasów, na kawał pól — małą rzeczkę w dolinie i ogród.

— *Regardez!*

Adryan usłuchał rozkazu. Zasiedli obaj na wygodnych kuszowych fotelach. Pan Orszański wydobyl cygarnicę—lecz poeta nie był usposobiony, więc staruszek zapalił cygaro samotnie. A zgasiwszy zapałkę i puszcżając pierwszy kłęb wonnego dymu, rzekł:

— Szczęście jest tylko w miłości.

Adryan był odrobinę zdumiony. Romantyk filozofował:

— A czemże jest szczęście? Zupełnem poznaniem Piękną. Ergo — kochany mój panie — przez Miłość do Piękną.

Zaś kochany pan kiwał głową na znak zgody. Siedział tyłem do drzwi — czując nerwowy dreszcz na myśl, że już nadchodzi ta, której oczekiwał wszystkimi siłami duszy. Ale niedoszły kochanek muz był niestrudzony.

— Ponieważ, panie dobrodzieju, powiedział Faust, a raczej wielki Goethe, że *grau ist jede Theorie* — więc tezę moją poprę zaraz przykładem.

Westchnął z nieporównaną emfazą i jakiś czas palił swoje cygaro w milczeniu. Cudny dzień jesienny wylęcał się nad światem. Adryan stracił nadzieję, żeby ktokolwiek wszedł dziś na utrapioną werandę.

— Wyobraż pan sobie, że m był kiedyś młody i zuch — rozpoczął melancholijnie pan Orszański. — Było to temu lat... mnno! dajmy pokój latom (ponieważ tu, jak pan później zobaczy, w grę wchodzi *dama* — więc lepiej nie obliczajmy). Ale to było — mówiąc między nami — już dawno. Sławnie jeździłem konno, mój kochany panie — ha, ha, ha... Na całą okolicę, panie, na całą okolicę! Ale to tylko częściowo do rzeczy należy, walmy więc odrazu dalej, nieprawdaż?... Piękny, jesienny dzień, jak ten. Ona—prześliczna kobieta (dziś już takich niema!); pędziliśmy przez pola, wiatr gwizdał w uszach... Okolica górzysta, wąwóz, panie dobrodzieju, nie rzadka rzecz: jak dziś pamiętam, wspaniały obryw piasku, skąd sterczały korzenie starych sosen, jak morskie potwory... Leżało tam jeszcze od burzy w lesie obalone drzewo—ogromne, zjeżone korzenie, straszne, podobne do martwego olbrzyma. Pędziliśmy tam wprost... Było to istne szaleństwo, ale takie refleksy przychodzą dopiero w moim wieku... Spadłem... Cud, że szkapą wyszła z życiem... Leżałem pod strasznym pniem, jak nędzna szyszka, nieruchomy i bezsilny. Nagle, panie, zjawia się nademną w powietrzu koń-dziw, na nim *ona*—twarzyczka w ogniach, błyskawice w oku. Pamiętasz, jak mówi Aryost: *Quello ippogriffo, strange e grande augello la porta via*... Jak teraz, widzę nad sobą brzuch koński w popręgach, wzniesione, rozsądzone szeroko

kopyta, spieniony pysk, widzę z dołu tę piękną, najdroższą twarz, sprężony cudny tors niewieści, ramiona przywarte silnie... Znikła... Cóż to za chwila! Błogosławiłem Boga i cudny świat — słyszałem jej dzwiczny głos pełen niepokoju; szczęśliwie, bez szwanku przebyła przeszkodę; żyła—zdrowa i cała; śmiało się niebo i ziemia—późny, jesienny motyl o purpurowo-złoty skrzydełkach usiadł mi na piersiach... Byłem zupełnie zdrętwiały, nieruchomy — oczy tylko wielbiły nieobjęte Piękno Boże... Wtedy, uważasz pan, całą głębią, jak to mówią — bezwzględnie byłem szczęśliwy. Kochałem i odczułem całe Piękno Miłości — *l'amour héroïque* — dzisiaj się z tego śmiejecie...

Adryanowi podobała się ta stara historia.

Zapytał jeszcze.

— A co się stało z damą?

— Z damą? To już, kochany mój panie, nie wchodzi w zakres mojej przygody... Powiem ci tylko, że mnie odnalazła, że widziałem tę drogą twarz schyloną nad sobą, tuż, tuż... i — że ona mnie właśnie wcale nie kochała. *Ce sont des choses de memoires*—spojrzałem wtenczas — jak to wy teraz mówicie — „w twarz tajemnicy.“ Zawsze, mój drogi, miałem skłonności poetyczne, od dziecka — a wtenczas przekonałem się, że — mówiąc między nami — poezya jest wszystkim... reszta: dodatek.

Westchnął, jak miech. Z cygara został tylko ogarek. Adryan patrzył na tego człowieka starego, różowego, okrągłego, o dużej, jowialnej twarzy, pokrytej siecią zmarszczek. Jednak i nad tym, niegdyś, zamglilo się przestworne marzenie cudu — a ponsowo-złoty motyl spoczywał na jego piersi, nucąc hymn życia, wzniosły pean Miłości i Piękna.

Myślał jeszcze o tem, kiedy weszły panie.

Nareszcie! Adryan zamienił się cały we wzrok.

Wydała mu się jeszcze wyższa i bledsza. Niewiadomo czemu zdawało mu się teraz, że taką właśnie była tamta, przelatująca nad leżącym w rowie jeźdźcem.

Ponsowo-złoty motyl...

Szczegół ten powracał, jak motyw muzyczny.

Ciemna wykwintna suknia obcisła tors smukły, dumnie sklepiony. Była to pani bardzo chłodna, zamknięta w sobie — jej lekko zmarszczone czoło panowało nad myślą ustawicznie skupioną, usta miały grymas zniechęcenia i apatyi. Dusza tej kobiety musiała zawierać świąty... Czuł to w jej głębokim, dziwnie bolesnem spojrzeniu, w każdym jej ruchu i słowie: w niewidzialnym, niezwykczonym nimbie, który się zdawał całą ją otaczać i wszyst-

ko, leżące w jego promieniu, ogarniać. Adryan czuł, że oczy jej nie widzą teraz nic i nikogo. Pani Laurka usiłowała podtrzymać rozmowę, która dziwnie nie szła.

— Jakże, Jolinko, głowa? — zapytał pan Orszański.

— Boli mnie, ojcze.

I ojciec uznał za stosowne westchnąć z całej duszy.

— Zazdroszczę pani spaceru w lesie—rzekł wreszcie Adryan, aby coś powiedzieć—taka urocza jesień. Ogromnie lubię las: ma on w sobie ciszę świątyni i szum morza.

Jola uśmiechnęła się blade.

— Mój spacer nie należał do miłych, zbłąkałam się i musiałam wrócić. Nie było tam ani świątyni, ani morza—tylko niepokój pustki, która mnie wreszcie wyrzuciła ku domowi.

— Taka cudowność, jak las, nigdy nie jest pustką.

— Są chwile, że cały świat jest pustką.

— Ach, tak...

Zamilkła stanowczo.

Czuł, że doświadcza tego, co mówiła — właśnie *teraz*; jego obecność nie czyniła na niej najmniejszego wrażenia. On zaś słyszał krzyżujące się dyalogi, odpowiadał na zapytania pani Laurki, pani Orszańskiej, jej małżonka, lecz duszą przywarł przy myślach tamtej.

Począł znów mówić cicho:

— A jednak widziałem panią już raz na stanowisku bardzo dalekiem od mizantropii...

— Kiedyż? — zapytała głosem zmęczonym do ostatka.

— Niedawno. Było to w Warszawie, na dalekiej, biednej i brudnej ulicy: widziałem tam opiekunkę nędzarzy, miałem szczęście odstąpić swojej dorożki dla młodego, chorego chłopca.

— Ach. Więc to był pan?

Wyrzekła to niemal wzgardliwie. Rozmowa była stanowczo wyczerpaną.

Patrzyła w przestrzeń oczami, które się ustawicznie szklily—myślał, że dla takiego wzroku idzie się na śmierć z piosenką na ustach, oraz że oddałby pół życia, aby odjąć od niej ten ból. Myśli te były nawskroś nowe i dziwne go; lecz nie można było mieć teraz innych — wysnuwały się wprost z duszy, nieuniknione i pewne, wypełniły przestrzeń; stały się atmosferą—dziwnem powietrzem serca...

W godzinę potem powróciła służba z lasu z przyborami od sielankowego śniadania. Rozeszły się niewyraźne wieści, jakoby

jeden z panów miał niebezpieczną przygodę z koniem — podobno Klinecki.

— Patrzaj pan—wykrzyknął pan Orszański—coś w tem jest, moje opowiadanie, panie dobrodzieju, aaa — chwala Bogu, że podobno nic ostatecznie...

Adryan patrzył, lecz na twarz panny Joli, która stała się biała, jak marmur.

Nagły błysk rozświecił mu duszę — poczęła się w nią wsączać gorycz, zupełnie dotąd nieznaną.

Jakowys cień spowinał mu serce — zginęły w niem wszystkie radosne pieśni.

Czemuż to tamten człowiek?...

Nieruchomiato w nim wszystko — stawało się znowu jakimś śnieżnym, żałośnie zadumanym posągami.

•

*

*

*

Adryan siedział znowu w Warszawie, sprawy jego wlokły się leniwo, bez energii. Sądził, że zostanie tu jeszcze przez zimę. Wszedł teraz w dziwny świat. Wprawdzie nie rozpaczliwej, ale dość mocnej apatyi. Obojętniał, przypatrywał się długimi chwilami widowisku życia.

W kawiarni, do której wszedł tego wieczoru, długiej, wąskiej szyi pełnej zaduchu, dymu, ludzi mniej lub więcej znudzonych, brzydko ubranych, banalnych kokot, artystów lub tych, którzy ich z powodzeniem udawali—w kącie, za kulistym oleandrem, tyłem do lustra, z lekko kołyszącym się nad głową napisem: „dzisiaj kaczka na gorąco,“ siedział Władek Tyniec, rozparty i wysoce wzgardliwy.

Adryan zaledwie go poznał, gdyż malarz, który uprzednio był po aktorsku, a raczej po angielsku, gładko ogolony bez cienia zarostu—zapaścił teraz małe, komiczne, poprzytulane w kącikach ust, wąsy, przez co twarz nabrała innego zgoła wyrazu, straciła sztuczną surowość, stając się poczeiwie zgnębioną.

Tyniec, ujrawszy Adryana, uradował się na krótką chwilę.

— Chodź, siadaj! jest tu zrobione doskonałe salami z ludzi—będziemy we środku: rozplyniemy się w srodze uszmińkowanym kosmosie — człowiek uczy się tu różnych rzeczy, jest to knajpa

kochanku, gdzie tani panteizm, wzniosłe mrzonki o wszechmaterii wydawane są na porcyę łatwe do strawienia...

— Zawsze wściekle filozofujesz.

— Zawsze. Łaknę filozofii, jak koniecznego napoju, albowiem jest to jedyna pociecha ludzi, którzy stali się niepotrzebni sobie samym. Nudzi mnie ten idyota Tyniec, który we mnie siedzi i jest—niestety—zawsze mną...

— Gdzieś ty był? Dawno wróciłeś?

— Tak, włóczyłem się w sposób głupi i lekkomyślny, a teraz rzeczywiście nie wiem, co zrobić ze sobą. Jestem, jak to mówią, w przykrych interesach. Ludzie, psia-krew, umieją wszystko ślicznie nazwać—jest to gatunek mały fantazyujących na komendę.

— Czemużeś, Władku, nie powiedział—byłbym zaraz...

— Wstrzymaj szlachetny gest, dumny i tkliwy bankierze—poradzę sobie jeszcze; kiedyś, przed laty, kiedy jeszcze byłem inny, to jest na inny sposób głupi, jak wiesz—malowałem duże i ładne obrazy: otóż mam takich śliczności cztery sztuki, wielkie jak ściana: tytuł—cztery pory roku. Treść: wiosna, lato, jesień, zima. Są to dekoracye, w braku innych niezgorsze—nie miałem co z tem uczynić... Obecnie sprzedaję mój panie—i stąd będę miał znów...

— A cóż robota owa jesienna—kościół?

— Z kościoła nic, mój złociutki. Podkupiło mnie jedno bydle—ma zrobić za połowę mojej ceny. Niech pacykuje—poradzę sobie.

Znać było, że Tyniec kłamie—a w przeciwieństwie do zuchwale głoszonych teoryj ogarnia go coś rozpaczliwego. W pewnych chwilach siłą trzymana maska traciła swoją powagę—szła w zapomnienie: wtenczas na zmiętą, zbolalą twarz wypływało zgnębienie, kąciki ust ku dołowi, a biedne, spłoszone oczy, przybierały wyraz dziecinnej trwogi.

Adryan przysunął się doń miękkiem, zyczliwym ruchem.

— Władku, licz na mnie. Pamiętaj, że całym sercem...

— Tylko nie szastaj sercem, mój drogi. Licho wie, może z tego wylezę... Dowiem się w tych dniach; coś się stanie...

— Z czem?

— Ze mną, ze wszystkim, z całym światem. Zagram jeszcze raz...

— Zagrasz?... Ty?!

— Na lutni, na lutni—jeżeli chcesz... Dziękuję ci, mój stary, bądź dobrej myśli... Późno już. Pójdę... Zostajesz jeszcze?...

— Muszę. Umówiłem się. Pamiętaj, Władku: mieszkam niedaleko — wiesz... Pamiętaj!

— Dobrze, dobrze, kochanku. Dobranoc, mój miły!

Adryan patrzył za nim długo, jak przygarbiony, zły — z wyrazem głuchej nienawiści torował sobie drogę wśród młodych lalusiów o twarzach bezdennie głupich, postrojonych kobiet, ohydnej, spoconej służby, popychających się chłopców „od gazet“ i „od śmieci“ przeróżnych ludzi, wchodzących coraz gęstszymi falami — aż znikł wreszcie w tem ruchomem cielsku głów, paltotów, kapeluszy, jaskrawych okryć, puszystych boa, pleców, ramion, półtorsów, owianych kłębamii dymu...

W kawiarni było teraz nieznośnie gorąco i duszno. Gdzieś, w oddali, na ukrytej estradzie kwiliła orkiestra. Te okrawki taniej, sponiewieranej muzyki, postrzępione w gwarze tysiąca rozmów, brzęku naczyń — zmieszane z dymem, zaduchem, wyziewami rozgrzanych ciał, odorem gorących potraw — sprawiały wrażenie gorączkowego snu, działały rozpaczliwie na nerwy. Tyłem do Adryana siedział pan w meloniku zsuniętym figlarnie na tył głowy: młodzieniec ten zabawiał całe towarzystwo, siedzące przy dwóch zestawionych razem stolikach, a złożone z trzech bardzo wesołych dam, dwóch podstarzałych jegomościów i ostentacyjnie zaniechanego literata. Adryan słuchał mimo chęci dowcipów młodego pana i robiło mu się słabo. Naprzeciw olśniewająca francuska udawała, że czyta *Tempsa* — właściwem jej zajęciem była obserwacja pozornie poważnego starca, który palił cygaro i patrzył na nią z pod rzęs skromnie spuszczonej. Naokoło pełno było mężczyzn porozpieranych niedbale z minami zdobywców — kokot krygujących się, ciągnących kawę i papierosy — oglądających wzajemnie swoje nowe kapelusze i palta. Po kątach, pod kulistemi laurami tały się gromadki młodzieży spoufalonej ze sztuką i literaturą, z życiem wśród knajp — które miało dusze pobudzać i żywić.

Adryan starał się nic nie widzieć i nie słyszeć — świat ten nużył go nad wyraz.

Z początku myśl o Joli wydawała mu się — tutaj — prawie bluźnierstwem, lecz z wolna objęła go zadumę. Szaro, bezbarwnie przesunęły się już długie tygodnie, jak powrócił z Wierzbinek. Widział ciągle niedające się ukryć, przemocą dławione łzy w niezapomnianych oczach. Wezuwał się całą duszą w to dziwne, nieukojone cierpienie — wzbierała w nim litość, pełna poświętnej mocy, raczej zgroza, która każe wybawiać i ratować, wstawiała nowa, chyża i nieodzowna trwoga o tę obcą kobietę, której niedola

musiała być zburzona i zabita, albowiem dzieje się piekielna krzywda czemuś nieludzko jasnemu i niosącemu szczęście... Adryan wyrozumiewał dramat między nią a Klineckim—a myśl, która się już nie mogła oderwać od Joli, czyściła się w tem pojęciu, jak w źródle.

Wydawało się, że miewał długie godziny marzeń ofiarnych i pełnych lotu—wtenczas dusza pogrążała się w ciężkich, wezbranych męką rozkoszy, wizjach poświęcenia bez miary... Nie cofnęłyby się przed niczem, coby mogło przysporzyć szczęście, wyzwolić z bolesnych udręczeń w przedziwne, niedające się nigdy zapomnieć istnienie.

Były też króciuchne momenty, w których zrywała się w nim mistyczna, śmieszna i cudnie piękna odwaga legend: wówczas postanawiał ją zbawić nieodwołalnie, piorunująco i bezinteresownie, jak szlachetny, baśniowy rycerz.

I tak, gotowy już, oczyszczony, wzniosły w swem poświęceniu — szedł znów w białej szacie katechumena do świątyni pokory, wyznań samotnych i wiekuistej odtąd tęsknoty...

Lecz nagle zjawione imię: Jola—przeszywało błogą, ukojną ciszę ofiary—wstawała chyża bardziej niż myśl sama, wszechwycięska, niezmierzona już burza: orkan wszechmocny, wielki i nieobjęty wir wirów.

Wtenczas wałyły się w proch z trzaskiem wszystkie, wszystkie kolumny... Zagłada obejmowała te szczytne, pracowicie wznoszone światy. Nie istniał już kompromis, boska rozkosz żywiołu tuliła duszę i niosła jak dziecko.

Ale i te chwile mijały—mityczny rycerz ukazywał się znów nietknięty i promienny, a nad głową u długiej włóczni łagodny wiatr rozwijał biały nieskalany proporzec: tylko godło okrywające pierś — serce czerwone i krwawe paliło się jak rubin ognisty.

Adryan ocknął się i spojrzął po otoczeniu.

Wesołe towarzystwo opuściło już dawno zestawione poufnie stoły. Olśniewająca mademoiselle siedziała tuż przy szlachetnie marzącym starcu, który zapalał nowe, grube cygaro. Przed stolikiem Adryana zatrzymał się niski, spocony brunet.

Poeta poznał, że to jest Nagiecki, adwokat.

— Aa, kochanego pana... Rzadki gość! Pozwoli pan, przysiądziemy się... Panowie się nie?...

Uczynił niepewny ruch w tył, ukazał się człowiek rosty, o wielkiem brzuchu i lekceważącym spojrzeniu.

— Pan Ordęski, pan prezes.

— Miło mi... — rzekł tamten.

Rozsiedli się.

— Cóż kochanego pana zapędziło tu, do nas—w centrum życia Warszawki? Podle — co?

— Zaszedłem, mój mecenasie; czekam na kogoś.

— Ach, randula, rozumiem—czasem to bywa dobre. Gdybym ja miał pańskie lata, panie Adryanie kochany!...

— Nie możesz pan narzekać—zaopiniował prezes—wyglądasz panie Eugeniuszu, jak pacholę.

— Ha, ha,—w łaskawych oczach pana szanownego. Ruina, ruina zupełna. Dawniej przebomblował człowiek cztery noce z rządu i nic. Teraz po jednej katzenjamer na cały tydzień... Smutne konsekwencye starości.

I mecenas skulił się, kiwając żałośnie głową nad podaną mu filiżanką czarnej kawy.

— Cóż? w literaturze zastój—zagadnął po chwili—w sztuce zastój?... Wojna jest obecnie wszystkim — nie ma wartości, co nie pochodzi z Mandżuryi. A propos—widział prezes aktualizacye malarskie u Krywulta?

— Aha, widziałem. Tak, to trochę ożywia — jak bulwarowa piosenka. Wiszą tam też jakieś kolosy Tyńca — tegi to dekorator.

— A, Władka Tyńca, złoty chłopiec, znam go. Podobno jest z nim bardzo krucho, chciałby to stopić. Ale któż tam dziś... chyba prezes do swojej galerii?

— Przedewszystkiem cena jest słona: poza tem talent Tyńca śledzę oddawna—robi wyraźne postępy—ale te rzeczy nie są jeszcze dociągnięte jak należy; chociaż rozmach, panie, jest i duża potęga koloru. Tacy ludzie się marnują tutaj, niema poparcia, niema do sztuki miłości—bieda wszędzie, a będzie jeszcze gorzej, zobaczycie, panowie.

— Nie ulega kwestyi. Tyniec mnie prosił swojego czasu, żebym wkręcił komu te historye... Klientela, coś, tego—pojmuje prezes — próbowałem — ciężko. Mam jeszcze na myśli bogatego pana: *może* i powinien... Wie pan: Staroski buduje teraz pałac w Obidówce, miałby gdzie zawiesić. Ale to z nimi trudno, arystokracja ma specjalne gusta...

— Konie, psy, sceny sportowe.

— Kobiетка, panie, kobietka! Staroski jest kawaler, leci na to—odrobina pornografii, smaczek...

— Pzecież w dekoracyach Tyńca są właśnie nagości, nie powiem, żeby dobrze narysowane, ale są.

— Prezesie, archaniele dobrodzieju, to nie to, co stanowi miły smaczek, to jest *l'art pure* — rzecz obca w naszym kraju, trudno.

— A pan widział te, te „Cztery pory roku?” — zapytał prezes w kierunku Adryana.

— Nie jeszcze, muszę zobaczyć, bardzo cenię talent Tyńca, jest on może jedyny.

— Tak, bez wątpienia, ale jest na złej drodze, zamało robi, przytem dziwnie upadł na duchu.

— No, nic dziwnego — objaśniał mecenas, podnioswszy wysoko brwi ponad binokle — tragedia miłosna, stara rzecz — takie historie niszczą ludzi ze wszystkim.

Adryan spojrział ciekawie.

— Nie wie pan? Tak, to niby nie było głośne, ale wszyscy o tem dobrze wiedzą.

— Nic nie wiem, nie byłem długo w kraju.

— On się kochał, proszę pana, szalenie. Zdawało się nawet, że będzie maryaż. Panna, rzeczywiście, prześliczna, wyjątkowy typ, coś imponującego. Tymczasem nic z tego... Musi pan znać, bo to gdzieś w niedalekiem sąsiedztwie dyrektora Klinckiego, pańskiego przyjaciela — państwo Orszańscy...

Adryan był ogłuszony. Patrzył w same oczy drobnego mecenasa, nie nie rozumiejąc.

— Co panu jest? Gorąco tu, prawda — a miły jest ten wentyl...

I mecenas, oglądając się w tył, ujrzał nagle przed sobą wysoką, zgrabną dziewczynę w wspaniałym saku i kapeluszu z kaskadą pióropuszków.

— Aaa! — krzyknął, przechylił się i objawszy wpół, przyciągnął do siebie — jak się masz, Lindka! co za strój, któż to ci kupił, elegantko?

Piękność wyslizgnęła się z objęć, przyczem musnęła sobą grube kolana dużego prezesa, który poczerwieniał apoplektycznie.

— Nie uciekaj, pierchliwa przepiórko! — wołał roznamietniony pogromca — chyba, że kto...

— Właśnie, że ja — odpowiedział młodzieniec w dużym czarnym kapeluszu, wyrosły, jak zjawisko. Lecz mecenas już się z nim witał.

— Nie wiedziałem, mistrzu, wieszuję, wieszuję — ja tylko tak, uważasz, z przywiązania, stary opiekun...

I powtórnie ogarnął ramieniem piękność.

Tym razem nie broniła się — ukarminowane, mięsiste wargi rozchyliły się życzliwie, ukazując duże, zdrowe zęby, bardzo błyszczące i równe. Odurzająca woń mocnych perfum biła z niej, jak narkotyk. Mecenas był w zachwycie — wyściubiwszy małą czar-niawą głowę o posklejanych włosach z poza biodra dziewczyny, mrugał na Adryana i wołał:

— Mistrz tu obecny umie się bawić, mądrzejszy jest od tego całego Tyńca — przedstawiam panów... pan...

Nazwisko zginęło w gwarze, mistrz wyciągnął ku Adryanowi dłoń w pięknej rękawiczce, mówiąc:

— Co? Tyniec? — To skończony idyota, kretyn.

— Tyniec, to mój przyjaciel — odpowiedział Adryan, nie zwracając nań najmniejszej uwagi. I podniósł się, albowiem tejże chwili dojrzał, że od wejścia przedziera się Klinecki z teką pod pachą.

Spotkali się na środku kawiarni.

— Dziękuję ci z całej duszy, żeś nareszcie przyszedł—rzekł Adryan, witając się — strasznie tutaj. Chodźmy.

Wydostali się z trudem. Był chłodny wieczór jesienny. Adryan odetchnął pełną piersią.

Na ulicy panowała już pustka. Przy chodnikach, niedaleko znanych restauracyj stały rzędy dorożek — woźnice posiadali z kozłów, gawędząc w grupach. Snuło się mnóstwo zapóźnionych mężczyzn—publicznych kobiet — chłopców, sprzedających kwiaty, gazety, papierosy... Z otwartych drzwi baru, który mijali, buchała mdły zaduch piwa, wódek, zakąsek, dymu... Dawały się słyszeć głośne zaczepki, ohydne koncepty dorożkarzy — dyalogi, mogące przyprowadzić o torsye. Klinecki szedł zamyślony. Nagle rzekł:

— Cóż, Adryanku: Babilon?

Lecz Adryan nie słyszał już. Przymknął w pół oczy i szedł. W głowie huczał mu dramat, którego wszystkie nici świeżo zostały odkryte. To imię, słyszane na tle kawiarni, wśród scen, które mijali...

Listy tamtej, dalekiej, jedynej—listy Stelli paliły mu piersi: nosił przy sobie te drogie, święte dowody.

Klinecki, Tyniec—to byli bohaterowie; ludzie o prawej—nie-szczęśliwej wprawdzie — ale jaśniejącej, szczerze oddanej tarczy.

A on? — Amant lekkomyślny i zepsuty — wiwisektor serca, literat-analityk, idący za kaprysem jednodominutowych wrażeń... Czuł dla siebie wzgardę i gwałtowną chęć naprawienia wszystkiego zła...

Poddeptać wszystko, zdławić, zabić na zawsze, jako rycerze smoki dławili, tryumfując w cnocie i chwale wiernego serca!...

Wyrwać się stąd, uciekać — porzucić ten zły, biedny, nieszczęśny, splątany w dramatach duszy ostep dziki...

Tam — daleko — gdzie ramiona słodkie czekają — dusza czy sta — serce bez skazy...

Nie opuszczaj Miłości i bierz już na zawsze Duszę-żebraczkę.

Doznał głębokiej ulgi, kiedy na rogu poprzecznej uliczki dojrzał znajomy sobie powozik fabryczny.

ANTONI GAWIŃSKI.

REWOLUCYA PERSKA

i

współzawodnictwo angielsko-rosyjskie.

Persya zasługuje na naszą uwagę z różnych punktów widzenia. Polityk widzi tu dla Rosyi jedyną już dzisiaj drogę do oceanu, a dla Anglii bufor ochronny przed najazdem na Indye. Historyk, lingwista, antropolog, esteta, filozof, znajduje tu, każdy dla siebie, niewyczerpane źródło badań. Na olbrzymiej wyżynie Iranu od wieków różne narody i rasy, kolejno się wypierając, tworzyły największe i najpotężniejsze państwa, posiadające znaczenie światowe. Ruiny Persepolisu datują od czasów Achemenidów; skały, rzeźbione w górach, zachowują wspomnienia Daryusza, Sassanidów i Tamerlana; meczety i grobowce świadczą o męczeństwie potomków Alego i świetności dynastji Sefidów. Tutaj żył i działał Zoroaster (Zaratustra), przepowiadając zwycięstwo Ormuzda; tutaj żył i działał Firdusi, dając światu wspaniałe epos narodowe; tutaj mieszka najpiękniejszy na świecie typ aryjski, przysięgając na dwunastu *imamów* i zwracając swe modły ku świętej Mekce.

Od dwu wieków nic się w tym kraju Cyrusów i Kserksesów nie zmieniło. Podróżnik europejski, który przebiega Iran w naszych czasach, znajduje prawie wszystko w takim stanie, jak go opisał w końcu XVII stulecia Francuz Chardin, tylko ku starości pochylone i do upadku. Zresztą Europa mało się Persyą zajmowała. Pozostawiono ją poszukiwaniom orientalistów i archeologów, oraz niestrudzonemu, wciąż czujnemu, a cały wiek ostatni trwającemu współzawodnictwu angielsko-rosyjskiemu. Dopiero

umowa angielsko-rosyjska z r. 1907 i rewolucya perska wprowadziły sprawę perską do dziedziny polityki ogólnej, zwracając na stan, położenie międzynarodowe, przyszłość tego kraju teraz już powszechną uwagę. Niewątpliwie bowiem na wyżynie irańskiej rozgrywają się obecnie wypadki, które z jednej strony muszą mieć stanowcze, lubo nie doraźne jeszcze, znaczenie dla polityki światowej Rosyi i Anglii, z drugiej zaś, mogą oddziaływać na obudzenie się do nowego życia ludów muzułmańskich, zarówno samodzielnych, jak będących pod panowaniem Rosyi i Anglii. Wszystko to sprawia, że na wypadki perskie zwraca się uwaga ludzi, interesujących się zagadnieniami politycznymi doniosłości światowej.

I.

Jeden z ostatnich i bardzo kompetentnych podróżników po Iranie, major angielski Sykes, maluje nader ciemny obraz przyrody Persyi współczesnej. „Jestem zdania — pisał on przed paru laty — że wskutek wojen eksterminacyjnych, od których Persya cierpiała, granice pustyń rozszerzyły się. Persya jest pustynią z wioskami, oddzielonemi jedna od drugiej przestrzeniami kilkomiłowemi i z trudem utrzymywanemi przy życiu za pomocą irygacyi. Gdy wody zbraknie, wieśniacy ustępują; odwrotnie, gdy wieśniacy zostali zabici (w wojnie lub rozboju), kanały psują się, wody braknie i pustynia powiększa się. Poza pustynią „przekleątą“ Lut (albo Lot — według Réclus najstraszniejszą pustynią na świecie, wobec której niczem są Gobi i Kizil-Kun) jest wiele okolic w Persyi, gdzie podczas kilku etapów (t. zn. stu kilkudziesięciu wiorst) nie napotyka się wiosek. Wszystkie te pustynie w miniaturze odtwarzają rysy całości. Winiennem dodać, że, jak wszystko wskazuje, deszcze są coraz rzadsze. Przyczyną i jednocześnie skutkiem tego faktu jest, że kraj prawie pozbawiony drzew. Dwa więc nieodzowne warunki odrodzenia Persyi—to woda i zalesienie.“¹⁾

W niektórych miejscowościach wieśniacy muszą sobie wydobywać wodę za pomocą studni, drążonych na głębokości do 120 metrów. I nie można nie podziwiać cierpliwości tych ludzi, zmuszo-

¹⁾ Cytuję według przekładu francuskiego p. t. *A travers la Perse orientale*, str. 32.

nych do zapewnienia sobie istnienia tak wielkimi wysiłkami. Co się tyczy kanałów, to często wielki deszcz albo trąba piaszczysta rujnuje je, tak, że trzeba przedsiębrać nowy trud budowania nowych kanałów i szukania nowych źródeł. Szczególnie opłakany (i coraz gorszy) jest stan rzeczy na południo-wschodzie Persyi, gdzie susze, brak wód i drzew, wiatry, niosące piaski nawet z Arabii, prawie uniemożliwiają wszelką kulturę i ludność prowadzi tam życie takie, jak za czasów opisanych w księgach Ilioba.

Wogóle Iran biedny jest pod względem wód; z wyjątkiem dwu wielkich rzek, z których jedna tylko jest spławna, prawie wszystkie pozostałe są potokami górskimi, tylko na wiosnę mającemi wodę, ale wówczas istotnie przeradzającemi cudownie całą okolicę.

W najlepszem położeniu pod względem przyrody znajdują się okręgi nadmorskie, Kaspijskie i Perskie. Azarbejdżan, Gilan i Mazanderan są niezmiernie bogate w roślinność, niektóre okolice przypominają najpiękniejsze kraje na świecie, i mają klimat umiarkowany i przyjemny, lubo nie wszędzie (z powodu nadmiaru wilgoci) zdrowy. Za najzdrowszą miejscowość w Persyi uważa się okolice jeziora Urmyi, w Azarbejdżanie, a następnie okolice Ispahanu i Hamadanu.

W Persyi niema spisów ludności, niepodobna więc dokładnie oznaczyć liczby mieszkańców. Rittich na r. 1895 określał ją na 8,200,000 ludzi, w *Geographisch-Statistische Tabellen* Hübnera na r. 1908 znajdują cyfrę 9,500,000. Wobec ogólnej przestrzeni Persyi 1,645,000 kil. kw., wypadnie w ten sposób zaledwie 5.8 mieszkańców na kilometr kw. Ale gdy wyłączymy z rachunku pustynie bezludne Kermanu, Chorassanu i Mekranu, a także inne miejscowości, prawie zupełnie niezaludnione z powodów klimatycznych lub innych, to przeciętna ilość mieszkańców na kilometr kw. powiększy się znacznie, niekiedy pięciokrotnie. Z tej ogólnej cyfry około dziewięciu milionów na mieszkańców miast przypadnie przeszło 2 mil., na wieśniaków około 4 mil., a na nomadów około 3 milionów.

Skład etnograficzny tej ludności jest nader rozmaity, co łatwo zrozumieć, biorąc pod uwagę niesłychanie skomplikowane i bogate w wypadki dzieje Persyi od najdawniejszych czasów. W każdym razie można ustanowić następujące główne szczepy: Persowie czyli właściwi Irańczycy (według tablic Hübnera—5.2 milionów), Turko-tatarzy, Kurdowie, Arabowie, oraz plemiona Luryjskie. Właściwi Persowie rozproszeni są po całej wyżynie, ale głównie ześrodkowują się w prowincjach Tursistanie, Kerma-

nie, Irak-Adżmi, Gilanie i Mazanderanie. Głośna dzisiaj z powodu działalności Sattar-chana i rewolucjonistów prowincya Azarbejdżan zaludniona jest głównie przez szczerp turecko-tatarski (który dał Persyi panującą dziś dynastyę Kadżarów).

Prawie wszyscy badacze, podróżnicy i mieszkający w Persyi Europejczycy oddają przymiotom kulturalnym Persów wysokie pochwały. P. Rittich pisze: ¹⁾ „Persowie są z natury utalentowani i wszechstronnie uzdolnieni.“ P. Aubin ²⁾ utrzymuje, że: „pod ruinami pozostały ślady kultury pełnej sławy, inteligencji subtelnej, patryotyzmu płomiennego i — rzecz rzadka na ziemi muzułmańskiej—narodowości uświadomionej i zjednoczonej.“ Major Sykes stwierdza: „Persowie są wogóle nadzwyczaj uprzejmi i inteligentni, a ich zdolność ripostowania jest przysłowiowa. Francuz z grzeczności i z upodobania do komplimentu, jest Anglikiem, gdy umie wybornie spożytkować pieniądze na zakup pożywienia i ubrania.“ Nawet u Beludżów, u których autor dojrzał „nadzwyczajne próżniactwo,“ znajduje on jednak „wyjątkową uczciwość.“ Zresztą dodaje także, że wydaje mu się, iż „Tamerlan i szach-Ruk zadali trwałą cios cywilizacji perskiej, cios, który zmienił bieg historii.“ P. Łomnickij ³⁾ pisze: „Wogóle wszyscy Persowie, z każdej klasy, są utalentowani, grzeczni, zrównoważeni i umiarkowani; mnóstwo przywar w ich charakterze objaśnić można krańcową nędzą ludności obrabowanej, oddaleniem od Europy i izolowanem życiem Wschodu. Nędza, samowola silniejszych i zamknięte życie zrodziły wielki egoizm i oschłość charakteru; dawny duch wojowniczy Persów znikł bez śladu i obecny Pers jest jedynie urzędnikiem lub drobnym kupcem.“ A w innym miejscu: „Można śmiało powiedzieć, że gdyby Konstantynopol był w rękach Persów, Persya stałaby się oddawna krajem cywilizowanym. Persowie mają z natury i dzięki swej starożytnej kulturze wszystkie dane do przyswojenia sobie kultury zachodniej.“ ⁴⁾

Czysty antropologicznie typ perski zachował się jedynie w centralnych i wschodnich częściach Iranu, bardziej izolowa-

¹⁾ P. A. Rittich *Politiko-statisticeskij oczerk Piersii*, Petersburg, 1896.

²⁾ *La Perse d'aujourd'hui*, Paris, 1908. Pseudonim Aubin'a ukrywa podobno posła francuskiego, p. Descos.

³⁾ *Piersia i Piersy*, Petersburg, 1902.

⁴⁾ Najmniej optymistycznie wyraża się o charakterze Persów p. Marya Ratuld-Rakowska, autorka interesujących wrażeń z Persyi („Podróż Polki do Persyi,“ *Biblioteka dzieł wyborowych* №№ 340 i 341, r. 1904), która przebyła w tym kraju dwa lata 1894 — 1896.

nych z natury, szczególnie w plemienu Partów czyli Gwebrow, których drobna pozostałość, około 8,000, zamieszkuje jeszcze okolicę Jezdu, wyznając prastarą religię Zoroastra.

Szczepy turecko-tatarskie są, po Persach, najsilniejsze liczebnie (około 1 miliona) i zajmują prawie cały północny zachód, a w szczególności Azarbejdżan. Fizycznie i umysłowo zbliżają się oni bardziej do sąsiednich Turków, od Persów są mniej zdolni, ale za to bardziej wojowniczy (z nich kompletuje się prawie cała armia perska), poza tem, dzięki wspólnej religii szyickiej, mają poczucie narodowe perskie i pozuwają się do zupełnej solidarności z Persami. Jedno z ich plemion, Kadżarowie, liczące około 20,000 rodzin, zajmuje ważne stanowisko w państwie, gdy bowiem dostarczyli Persyi dynastyi, korzystają z przywilejów przy powoływaniu na służbę państwową i t. p.

Kurdów liczą w Persyi około 100,000, a więc znacznie mniej, niż jest ich w Turcyi. Jest to prawie zupełnie po dawnemu, jak było za czasów Herodota, lud koczowniczy, zajmujący się rozbojem i łupiestwem, mało przygotowany do życia nowoczesnego. Ponieważ przytem Kurdowie nie są szyitami, jak olbrzymia większość mieszkańców Persyi, lecz przeważnie sunitami, więc ta okoliczność jeszcze bardziej utrudnia ich przystosowanie się do trybu życia i uczuć większości mieszkańców. Część Kurdów wyznaje religię chrześcijańską.

Plemiona Luryjskie koczują na południu Kurdów i zajmują obszerną przestrzeń, zwaną Lurystanem, chociaż znaleźć ich można także w Iraku i Farsistanie. Lurowie są niewątpliwie pochodzenia aryjskiego i język ich jest właściwie narzeczem perskiem. Liczebność ich dochodzi do 2 milionów. Jedno z plemion luryjskich, Bachtjarowie, stało się w tych oto ostatnich czasach w prasie europejskiej popularne wskutek wojowniczego wystąpienia jego chana, który skorzystał z rewolucyi w Persyi, zagarnął prowincyę Ispahan i ogłosił się „niezależnym od szacha szachów.“ Znosi się tam zatem może na równie wytrwały ruch rewolucyjny, jak w Azarbejdżanie.

Poza tymi głównymi mieszkańcami Persyi wspomnieć należy o Arabach, wiodących najchętniej życie rozbójników i piratów (jest ich z górą 200 tys.), o Beludżach, także łupieżcach, prowadzących wieczne kłopoty rządowi perskiemu, i o niewiele lepszych, lubo za to mniej licznych, Turkomonach. Innych narodów, jak Cyganów, Ormian (Armeńczyków), Żydów, jest w Persyi ogółem zaledwie jakieś 200,000. Lecz gdy Ormianie są dosyć oświeceni, zamożni, ruchliwi i pracowici i dlatego cieszą się po-

ważnem stanowiskiem, to tego nie można powiedzieć o Żydach perskich, którymi tu pogardzają w najwyższym stopniu, nie dając im dostępu nawet do szkół perskich, tak że naogół sytuacja Żydów w Persyi nie należy do wesołych.

Ogromną rolę w sprawie utworzenia się *narodowości* perskiej odegrał kult *szyicki*.

Starożytność znała narodowość irańską, aryjską z rasy, mazdejską z religii. Grecy podbili ją pod Aleksandrem Macedońskim; pod Partami i Sassanidami wystąpiły wpływy semickie; w VII wieku podbój arabski zrobił z przeszłości *tabula rasa*: nie było nigdy klęski narodowej tak zupełnej; ¹⁾ religia, język i rasa zniknęły w kataklizmie. Później Iran dostawał się pod różne dynastye, Seldżukowie i Mongołowie nastąpili po Arabach, Dżyngis-chan i Tamerlan przeszli przez Iran wichrem niszczycielskim. Swoją drogą Persya mimo wszystko żyła; jej wpływ narzucił się Abassydom; jej kultura przepoiła, w Bagdadzie, nową cywilizacyę muzułmańską; Firdusi wywalczał prawo do życia narzeczemu perskiemu. Jednak Irańczycy byli za wrażliwi i za rozproszeni, aby odrodzić się zupełnie narodowo i mieć zdolność asymilowania wśród siebie żywiołów obcych. Dopiero szyityzm dał wyraz tej narodowości i idea perska wcieliła się pod formą religijną. ²⁾

Jak wiadomo, różnica kultu szyickiego od sunickiego polega na tem, że: 1) szyici za bezpośredniego następcę Mahometa uważają Alego, nazywając go pierwszym *imamem*, t. j. osobą, w której rękach ześrodkowana jest cała władza świecka i duchowna. Wskutek tego nie uznają oni *Kalifów*; 2) wiara w 12 *imamów* powinna być podstawą muzułmanizmu; 3) Koran obecny jest skażony przez pierwszych trzech Kalifów; prawdziwy zginął; 4) szyici nie uznają tych miejsc w Koranie, gdzie jest mowa o Bogu, jako stwórcy dobrego i złego, przyznają Bogu jedynie dobro; wogóle sunici trzymają się w tłumaczeniu Koranu więcej litery tekstów, gdy szyici tłumaczą go *mistycznie*, uważając wiele rzeczy za alegoryę; 5) szyici mniej odprawiają modłów; pielgrzymują do Mekki, ale także do grobów Alego i Husseina, do Kerbeli, Nedżefu i t. d.

Kult muzułmański wogóle jest nadzwyczaj prosty; kult szyicki posuwa tę prostotę jeszcze dalej. Gdy *imam* jest nieobecny, ludzie mówią sobie, że byłoby bezużytecznem tracić czas na nie-

¹⁾ P. Aubin, l. c. str. 149 i 150.

²⁾ Według *Tabellen Hübnera* szyitów jest w Persyi 8,5 milionów, sunitów tylko 800,000.

potrzebne modły. Meczety są w ruinach, szach po piątkach nie fatyguje się udawać uroczyście do meczetu, jak to czynią wszyscy inni książęta Islamu; tylko derwisze przebiegają kraj i głoszą sławę Allaha, Mahometa, Alego, Fatmy, Hasana i Husseina i tylko pielgrzymki pobożne są bardzo dobrze widziane i niemal obowiązujące.

W tem morzu prawowiernego Islamu herezya szyicka jest jakby wyspą, ograniczoną na terytoryum perskiem.¹⁾ Religia w ten sposób złączyła się jakby z narodowością i stała się cementem, spajającym wszystkie ludy, zamieszkałe pod berłem szacha szachów. Powoli z tradycyj religijnych (męczeńskiej śmierci Alego i t. p.) uczyniono tradycje narodowe; żałoba religijna jest żałobą patryotyczną. Rozpowszechnione w Persyi przedstawienia teatralno-religijne są czynnikiem pobudzania uczuć patryotycznych. Szyityzm odrodził narodowość.

Takie są elementy życia współczesnego Persyi i Persów. Jakże one nam się przedstawiają pod kątem widzenia cywilizacji europejskiej i naszych pojęć o kulturze materialnej i duchowej?

P. Aubin z podróży swej w r. 1907 wyniósł takie wrażenie: „Bez troskliwość mieszkańców, mała wartość materiałów dają we wszystkich krajach Wschodu ten sam widok ruiny; *nigdzie to wrażenie nie jest żywsze, jak na wyżynie Irańskiej*; domy wałają się, ulice są puste, majoliki opadają z meczetów i grobowców. Zdaje się, że lud irański stanął na ostatnim stopniu upadku i nędzy.“ Nicinaczej charakteryzują współczesną Persyę inni jej bezpośredni badacze.²⁾

Zdaje się jednak, że to nie jest dekadencja rasy i narodu, lecz zwyrodnienie i upadek pewnego typu państwowości. A jeśli tak, to dzisiejsze odrodzeniowe usiłowania Persów, ujawnione z pewną siłą i niewątpliwą wytrwałością, posiadałyby widoki powodzenia.

Jakkolwiek szach nie jest, na podobieństwo kalifa tureckiego i szeryfa marokańskiego, nosicielem władzy religijnej, władza jego jednak była do ostatnich czasów zgoła nieograniczona. Tymczasem ostatnie stulecie nie miało utalentowanych i dzielnych władców absolutnych. Szach z wysokości swego tronu wydawał się poddanym zjawiskiem nadludzkim, od którego pochodziła wszelka władza. Jego dwór miał tylko dworaków, schylonych przed majestatem monarszym. Między niemi, gdy zbrakło książąt

¹⁾ Są szyici i poza Persyą, np. w Arabii i Indyach, ale nie tak liczni.

²⁾ P. Ratuld-Rakowska pisze: „Persya szybkim krokiem dąży do upadku. Właściwiej byłoby powiedzieć, że jest w nim pogrążona beznadziejnie,“ L. c. Część II, str. 16.

Kadżarów, fantazyja królewska, nie oglądając się na wiek i zdolności, wybierała satrapów, zobowiązanych do rządzenia prowincjami. Lud irański bez szemrania poddawał się temu losowi, a posłuch był tak wielki, że porządek utrzymywał się sam przez się; armia była jedynie na papierze, policya w osobie garści włóczęgów. Żadnej administracyi: niezliczeni ministrowie posiadali tylko tytuły naczelników departamentów, które nie istniały, a ich urzędnicy na prowincyi piastowali jedynie synekury.¹⁾ Włóścianin płacił podatek, lecz było przyjęte, że pieniądze nie dochodziły do skarbu; *piszkesh* (podarunek, rodzaj „łapówki“) służył do kaputowania zarówno dygnitarzy, jak samego Szacha, zawsze lubiącego podarki. *Hakimowie* (generał-gubernatorowie), często chłopcy 18-letni, zwykle nie mieszkali w swych prowincjach, lecz rezydowali w Teheranie. Sposób zbierania podatków był taki, że kontrybuent musiał często płacić dziesięćkroć więcej, niż się od niego należało. Sądownictwo bez prawa pisanego, lub oparte na przestarzałym *szaryacie*, było do wzięcia dla każdego, kto płacił. Wykup od kary stał się zjawiskiem codziennem. Wskutek tego stało się, że kara nie była piętnem dla tego, który ją ponosił: niejaki Rachim-chan zajmował się naprzód łupiestwem na drogach publicznych, później był skazany na śmierć i ułaskawiony, a zakończył karierę na gubernatorstwie w Ispahanie.

W takim samym stanie; jak cała administracya, znajduje się także armia. Wobec braku pieniędzy i innych przyczyn instruktorowie zagraniczni, kolejno powoływani z różnych państw, nie w tym kierunku nie mogli zdziałać. Niby są tam jakieś szkoły wojskowe, ale niczego nie uczą i prawie nie wypuszczają oficerów. Dla otrzymania stopnia oficera nie potrzeba nawet umieć czytać i pisać. Posuwanie się w hierarchii wojskowej zależy jedynie od pieniędzy i stosunków osobistych. Rozumie się, że tacy oficerowie zajmują się tylko okradaniem skarbu i swych żołnierzy. Różni autorowie podają różne cyfry liczebności armii perskiej (przeciętnie około 30 tysięcy żołnierzy), ale bawienie się w statystykę byłoby tu prózną stratą czasu. Oprócz brygady kozackiej pułk. Lachowa, a poprzednio gen. Kosagowskiego (o której będzie mowa dalej), niema w Persyi ani jednego oddziału, wyćwiczonego po europejsku. Wbrew tradycjom tureckim, które w sąsiednim państwie umiały wytworzyć państwo militarne, dynastya Kadżarów nawet i pod tym względem okazała niedołęstwo zupełne.

¹⁾ „Ministerstwa“ nie mają nawet archiwów, a „kancelaryę“ stanowi często jeden sekretarz, mający przy sobie worek skórzany na dokumenty.

Z dzisiejszej rodziny panującej jest obecnie, jak się zdaje, jeden tylko człowiek, zdolny do opanowania sytuacji i może do podjęcia dzieła odrodzenia Persyi, mianowicie energiczny i świątły Zilli-sułtan, były gubernator Ispahanu, wuj obecnego szacha, ale jest on w niełasce, zresztą mógłby dojść do władzy tylko na mocy zamachu stanu, na co mu ani Rosya, ani może ludność miejscowa nie pozwolą, lubo, podobno, ta ostatnia uważa go za nadzieję przyszłej samodzielności i wielkości Persyi.

II.

Ludność Iranu zajmuje się głównie rolnictwem i hodowlą bydła. Ilość rolników ma wynosić około 40% ogółu ludności, a ilość hodowców była około 30%. Ziemi, zdatnej pod uprawę, jest bardzo niewiele; według Réclus obszar jej wynosi zaledwie $\frac{1}{50}$ całego terytorium perskiego. Bez względu na tak niewielką przestrzeń gruntów urodzajnych, których warunki pogarszane są jeszcze wskutek panujących tu większą część roku upałów i braku wody, produkty, otrzymywane tu, są wielce różnorodne i rodzą się obficie, mianowicie dzięki sztuczemu nawodnianiu i irygacji, istniejącej w Persyi od najdawniejszych czasów i utrzymywanej obecnie zarówno przez sam rząd, jak i przez ludność.¹⁾

Głównym właścicielem ziemskim w Persyi jest skarb. Do niego należą ogromne przestrzenie ziemi, uprawianej przez włościan, których położenie zbliża się do położenia włościan w Europie w czasach poddaństwa. Część tych gruntów oddana jest osobom pojedynczym za zasługi państwowe, inna część — plemionom koczowniczym wzamian za obowiązek dostarczania konnicy. Co się tyczy systemu rolnictwa, to przeważa wielka własność ziemska. Bardzo znaczne przestrzenie ziemi należą także do meczetów, medresów i wogóle do duchowieństwa. Cudzoziemcy nie mają prawa nabywać ziemi. W rolnictwie prywatnem przeważa system dzierżawny, przyczem najczęściej tenuta wypłacana jest w naturze.

Zboże najlepiej udaje się w Azarbejdżanie i Kurdystanie. Produkcya pszenicy i jęczmienia zupełnie wystarcza na potrzeby

¹⁾ P. Rittich, l. c. str. 78 i nast. Istnieje w Persyi specjalna komisya państwowa, rozpatrująca sprawy irygacji. Przewodniczy jej *Mirab*, co znaczy „książe wód.”

kraju, a wywozić tych produktów niema potrzeby; wszakże, wskutek braku komunikacji i wszelkich danych o urodzajach, pograniczne prowincje często sprzedają zboże na eksport, wywołując w ten sposób w prowincjach wewnętrznych głód, kończący się niekiedy nawet lokalnymi powstaniem.

Jarzy ny i owoce rodzą się w Persyi wybornie i dają ogromne rezultaty. Przytem jest tu ich wielka różnorodność i w tak wysokim gatunku, że mogą skutecznie konkurować na rynkach światowych. Do nich zaliczyć trzeba t. zw. arbuzy i dynie, winogrona, pomarańcze, cytryny, granaty, orzechy, brzoskwinie. Znaczna i dobra jest produkcya ryżu (duży eksport do Rosyi). Persya uprawia także wiele roślin przemysłowych i handlowych, przedewszystkiem tytoń i opium, którego wywóz szybko powiększa się z roku na rok, zwłaszcza do Chin, grożąc nawet współzawodnictwem opium indyjskiemu. Buraki cukrowe mogłyby się dobrze udawać, ale wytwórczość cukru stoi na nader niskim poziomie i Persya spożywa przeważnie cukier z państwa rosyjskiego, mniej z Francyi. Produkcya jedwabiu kwitła oddawna w Persyi, przez jakiś czas upadła, teraz zaś, przy zastosowaniu nowych systemów (pasteurowskiego) znowu się podnosi i stanowi poważną gałąź handlu: w r. 1896 do jednej tylko Rosyi wywieziono około 300 pudów jedwabiu surowego. W całej Persyi zachodniej zajmują się włóścianie uprawą bawełny, dosyć jeszcze prymitywną, ale także powoli podnoszącą się. P. Tomara, autor studyum w języku rosyjskim o stanie ekonomicznym Persyi, radzi przedsiębiorcom rosyjskim zwrócić uwagę na tę gałąź, i, zaopatrując Persów w amerykańskie nasiona bawełny, kupować od nich urodzaj. Ważnym przedmiotem wywozu, zwłaszcza do krajów mahometańskich, są rośliny farbiarskie, różne gummy i t. d.

Hodowla bydła stoi w Persyi daleko lepiej, niż rolnictwo, i lud nomadów w tym kierunku przykłada istotnie dużo starań, aby ulepszyć rasy koni, wielbłądów, owiec, kóz i t. d. Kilka ras koni, zwłaszcza turkmeńska, może współzawodniczyć z najlepszymi w świecie.

Mineralne bogactwa są w Persyi obfite, szczególnie miedź, ołów, węgiel kamienny i żelazo. Węgiel kamienny odkryto niedawno i wydobywanie go odbywa się w sposób nader pierwotny, przyczem fatalny stan komunikacji także powstrzymuje rozwój tego przemysłu. P. Łomnickij, który zwiedził północną Persyę w towarzystwie specjalisty, p. Kurmakowa, pisze, że jeśli na brzegu Mazanderańskim będą znalezione dostateczne pokłady rudy żelaznej i węgla kamiennego, to ta część prowincyi stanie się

jednym z najważniejszych centrów przemysłowych na południu morza Kaspijskiego. „Takie centrum przemysłowe, ze swej strony, popchnie naprzód produkcję przemysłową Kaukazu, która nie mogła się rozwinąć wobec braku na Kaukazie tych gatunków węgla kamiennego, któreby mogły dawać koks. Tymczasem wszystko każe przypuszczać, że na Mazanderanie znajdzie się dobrze koksujący się węgiel. Dajcie Kaukazowi koks, a w ciągu kilku lat Kaukaz stanie się wielkim centrum przemysłowym.“¹⁾ Kompania angielska *Mining Rights* próbowała eksploatować węgiel, ale na razie nie miała powodzenia wskutek kosztów produkcji. Tak samo ma być Persya bogata w naftę, mianowicie na wybrzeżach zatoki Perskiej, a i nie tylko tam. Według wiadomości *Journal des Débats* ²⁾ w r. 1902 pewien kapitalista angielski otrzymał koncesję na eksploatację nafty w prowincyi Ardilan, w Persyi zachodniej, niedaleko od granicy tureckiej. Zresztą, według p. Tomary, badań nad naftą w Persyi jeszcze należycie nie przedsiębrano.

Wielka część ludności zajmuje się (w formie przemysłu domowego) wyrobem materyj jedwabnych i bawełnianych, dywanów oraz przedmiotów ze złota i srebra. Wartość tych wyrobów jest oceniona przez cały świat; mimo to produkcya ta nie daje ludności większych zarobków i nie przyczynia się do wzrostu zamożności kraju. Ogromną konkurencyę sprawia tu przemysł fabryczny europejski. Dotychczasowe zaś próby zaprowadzenia w Persyi przemysłu fabrycznego nie miały powodzenia, głównie wskutek złych warunków fiskalnych, drożyzny paliwa i t. p.

Spory handel prowadzi Persya drzewem, którego obfitość w Mazanderanie i Gilanie jest znaczna. Zwłaszcza cenne są drzewa orzechowe i palmowe. Gospodarka w tej gałęzi odbywa się prawdziwie rabunkowa, tak, że jeśli się nic pod tym względem nie zmieni, to Persyi grozić będzie z czasem nie tylko brak drzewa, ale i zmniejszenie urodzajności gruntów. Niektórzy badacze Persyi — jak to już cytowałem wyżej — przypisują rozszerzanie się terytoryów pustynnych właśnie zupełnemu wycięciu lasów, szczególnie niebezpiecznemu wobec braku większych rzek i wogóle wód wewnętrznych.

Handel zagraniczny Persyi nie jest rozwinięty. Przeszkodą do jego rozwoju, zarówno wewnętrznego, jak zewnętrznego, jest

¹⁾ S. Lomnickij: *Pieraja i Piersy*, Petersburg, 1902, str. 368 i 369.

²⁾ Cyt. u generała Kraher'a *Die Beziehungen Russlands zu Persien*, Leipzig, 1903, str. 57.

przedewszystkiem bardzo zły stan dróg i mostów. Cały handel Persyi prowadzi się za pośrednictwem karawan, złożonych często z kilkuset wielbłądów lub mułów. Kolei żelaznych w Persyi niema zupełnie (tylko 13 kilometrów podjazdowej kolejki na użytek szacha i pielgrzymów). Drogi bite zaś są znośne tylko tak zwane królewskie („szachowe“); inne — górskie, są wprost niebezpieczne.

Główne drogi handlowe, służące dla handlu międzynarodowego, mogą być podzielone na trzy grupy.

W pierwszej grupie, północno-zachodniej, mają ważne znaczenie drogi: 1) Tyflis—Dżulfa—Tebris i 2) Trapezunt—Erzerum—Choj—Tebris. Pierwsza może być nazwana rosyjską, bo ma znaczenie tylko dla Rosyi, druga — angielską.

W drugiej grupie, północnej i północno-wschodniej, którą można także śmiało nazwać rosyjską, bo ma znaczenie jedynie dla Rosyi, wyróżniają się drogi: 1) Enzeli—Kazwin—Teheran i 2) Meszhed — Teheran. Trudności pierwszej drogi skłoniły kupca moskiewskiego, Polakowa, do wystarania się od szacha o koncesyę na szosę w tym samym kierunku. Badania pierwiastkowe prowadzili inżynierowie rządowi rosyjscy i sztabs-kapitan Glinojcki.

Trzecia grupa południowych i południowo-zachodnich dróg handlowych znajduje się w sferze wpływów angielskich. Ich punktami wyjścia są porty nad zatoką Perską: Buszír, Bender-Abbas, Mohamerra i Bazra. Droga handlowa z Mohamerry zajmowała w r. 1888 wszystkie umysły i miała być tą drogą, którą można było zadać handlowi rosyjskiemu w Persyi zupełną porażkę. Wskutek jednak starań rosyjskich, przeprowadzenie tej drogi, według systemu „królewskiego“, na całej przestrzeni zostało zaniechane i obecnie funkcjonuje tylko jej część.

Rozpatrując handel, nie można pominąć milczeniem istnienia w Persyi kilku banków zagranicznych (trzech rosyjskich), z których angielski, bar. Reutera, posiada olbrzymie wpływy i znaczenie.

Ogólny handel zewnętrzny Persyi sięgał w r. 1905 - 1906 wartości 244.7 milionów marek ¹⁾, z czego na wwóz przypadało 139.2, na wywóz zaś 105.5 mil. marek. Bilans zatem handlowy Persyi nie przedstawia się korzystnie. ²⁾ Persya prowadzi han-

¹⁾ Według Hübnera: *Geographisch-statistische Tabellen*, na r. 1908, str. 36.

²⁾ W r. 1895, według *Almanach de Gotha*, wywóz 78 milionów franków, wwóz 132 mil. franków.

del z wielu państwami europejskimi (Rosyą, Anglią, Austryą, Francją, Niemcami), a także z azyatyckimi (Turcją, Afganistanem, Bucharą, Indyanami), a co się tyczy Europy, to do r. 1885 miała ona nader dogodny zbył towarów przez port Poti, skąd przez Tyflis na Tebris albo Baku—morze Kaspijskie—Reszt sprzedawała korzystnie swe towary. Lecz w r. 1885 rząd rosyjski zamknął tę drogę Europie, która spróbowała urządzić drogę handlową przez Turcję, lecz tutaj brak dobrych komunikacyj i wewnętrzne warunki celne nie pozwoliły jej rozwinąć się; jej miejsce zajęła Rosya, która od tego czasu zwróciła poważną uwagę na stosunki z Persyą ¹⁾.

Okolo r. 1850 prawie cały handel zewnętrzny Persyi był w rękach Anglii, której towary nie miały niemal żadnej konkurencji na rynkach perskich; od tego czasu przemysł rosyjski zaczął stopniowo podbijać z początku rynki północne, sąsiadujące z krajem Zakaukaskim, a następnie posuwał się coraz dalej. Sprzyjała temu i wygodna względem Persyi pozycja geograficzna Rosyi, mającej wyborne drogi zbytu zarówno od granicy kaukaskiej, jak wskutek przeprowadzenia kolei zakaspijskiej. Anglia znajdowała się w warunkach nieskończenie gorszych; jej stosunki handlowe były powstrzymywane przez złe drogi, wiodące od zatoki Perskiej. Obecnie handel rosyjski znajduje się w Persyi w pełnym rozkwicie i stanął już mocną stopą. W r. 1889 lord Curzon oceniał handel Anglii i Indyj z Persyą na 75 milionów franków, handel Rosyi na 50 mil. fr. W r. 1901—1902, według statystyk, sporządzonych przez belgijskich urzędników celnych, handel angielski oceniono na 59 milionów, rosyjski na 96 mil. fr. Postęp więc ze strony Rosyi już był ogromny. Ale to nie koniec. W r. 1905—1906, po zawarciu traktatu rosyjsko-perskiego, te same statystyki podniosły handel rosyjski do 170 milionów, gdy angielski dosięgnął zaledwie 70 mil. franków ²⁾.

Główne artykuły wywozu z Rosyi do Azarbejdżanu są: rafinada cukrowa i piasek cukrowy, płótna, wyroby fajansowe, porcelanowe i szklane, wyroby metalowe i metal surowy, nafta, także świece, zboże i t. d. Głównie jednak cukier, nafta i wyroby bawełniane; te trzy artykuły są już tam prawie bez konkurencji. Wyroby bawełniane z Królestwa Polskiego stanowią 25^o „ ogółu sprzedawanych w Persyi; żelazo i wyroby żelazne dostarczają

¹⁾ P. Rittich, l. c. Także Krahmer, l. c.

²⁾ P. Aubin *La Perse d'aujourd'hui*, Paris, 1908, str. 221.

Ural (42%), oraz gubernie południowe i Królestwo Polskie (58%); cukier idzie prawie wyłącznie z okręgu kijowskiego i charkowskiego. ¹⁾

Trzeba jednak zaznaczyć, że Rosya znajduje się tymczasem o tyle w gorszym położeniu, iż rosyjski wywóz z Persyi jest wciąż jeszcze większy od importu, gdy z Anglią rzecz się ma odwrotnie: wywozi ona z Persyi prawie dwa razy mniej, niż tam wwozi.

Ogromne postępy handlu rosyjskiego w Persyi pobudziły wielu przedsiębiorców i mężów stanu rosyjskich do wystąpienia z projektami budowy kolei w Persyi i dalszej sieci dróg bitych. Przykład kolei Zakaspijskiej, która wpłynęła nader ożywiająco na stosunki handlowe persko-rosyjskie, działał pod tym względem zachęcająco. P. Rittich proponował połączenie Baku albo Batumu koleją z Dżulfą, a także ulepszenie żeglugi na morzu Kaspijskiem, która pozostawia b. wiele do życzenia.

Kto chce mieć wpływ polityczny lub handlowy na dany kraj o charakterze kolonialnym, musi dążyć do posiadania lub opanowania kolei. Rozumiały to oddawna i Anglia i Rosya. Baron Reuter, Anglik, otrzymał w r. 1872 koncesyę na budowę kolei od morza Kaspijskiego do zatoki Perskiej. W r. 1878 rząd rosyjski wziął gorliwy udział w opracowywanym przez generała Folkenhagen projekcie kolei od Dżulfy do Tebrisu. W tym samym roku bank Alleon otrzymał koncesyę na kolej Reszt-Teheran. Wszystkie te koncesye, z powodów politycznych, nie zostały spożytkowane i straciły moc swoją. Ostatnimi koncesyonaryuszami rosyjskimi byli Chomiadow, Tektianow, Korf i inż. Pałaszowski, którzy mieli budować linię od Resztu do Czahbaru, na oceanie Indyjskim. I to przedsięwzięcie nie doszło do skutku. Traktat handlowy persko-rosyjski zobowiązuje obecnie Persyę do nieudzielania aż do roku 1915 nikomu koncesyj kolejowych i drogowych. Traktat angielsko-rosyjski czyni to zależnem od zgody obu mocarstw. W ten sposób należy się spodziewać, że Persya nieprędko pozna dobrodziejstwa kolei.

W ostatnich latach myślano więc w Rosyi przeważnie o tem, aby sieć kolejową zbliżyć do granic perskich i tem ułatwić handel. Tak np. w r. 1903 ministryum komunikacji opracowało projekt kolei z Aleksandropola do granicy rosyjskiej, z połączeniem jej z Eriwanem.

¹⁾ Krahmer, l. c. str. 98—99.

Niektóre z dawniej projektowanych kolei (np. od Kuszka przez Meshhed i Teheran do Tebrisu) miałyby dla Rosyi, pod względem handlowym i politycznym, pierwszorzędne znaczenie. Ogromną przywiązywano wagę do projektu kolei Teheran-Bender-Abbas, łączącej Rosyę z oceanem. Ta kolej w połączeniu z linią Aleksandropol-Teheran, długości 2100 wiorst, mogłaby zadać poważny cios handlowi morskemu Anglii, gdyż transport towarów trwałby na niej co najmniej dwukrotnie krócej. Tak np. statek z Liverpoolu do Bender-Abbasu potrzebuje 23 dni, gdy ta kolej wymagałaby zaledwie 12 dni. A już niepotrzeba mówić o jej znaczeniu politycznem. Gen. Krahmer, pisze, że, mając taką kolej, „Rosya wzięłaby pod swoje wpływy całą Persyę i całą zatokę perską.“ Wówczas podział Persyi „na północną rosyjską sferę i na południową angielską byłby wyłączony.“ Ten sam autor dalej szeroko rozwodzi się nad tem, że linia Aleksandropol-Tebris byłaby wspianą podstawą dla rosyjskich operacyj przeciw Turcyi, gdy linia do Bender-Abbasu ułatwiłaby, pod względem strategicznym, zajęcie tyłów Anglikom.

Co się tyczy Anglii, to ona także starała się swe posiadłości połączyć z zatoką perską. Idzie ona powoli do swego celu, ale krokiem pewnym. W Beludżystanie przeprowadzono dobre drogi bite, łączące z perskim Seistanem i z drogami do zatoki. Dalej wybudowano już kolej z Quetty do Nuszki, niezmiernie ważną pod względem strategicznym.

Przez długie lata Persya nie znała wcale pożyczek zagranicznych. Dopiero w r. 1902 zaciągnęła w Rosyi 2 $\frac{1}{4}$ miliona rb., na zastaw niektórych cel. Wówczas w Rosyi bardzo wiele spodziewano się korzyści handlowych i politycznych od tej pożyczki. Następnie znowu zaciągnięto pożyczkę w wysokości około 10 mil. rb., a dziś cały dług państwowy wynosi około 35 mil. rb. ¹⁾ Sumy te, jak się zdaje, użyte były nader wadliwie, nie prawie z nich nie poszło na inwestycje produkcyjne, użyteczne dla kraju, a obecnie szach znów czyni starania o 35 milionową pożyczkę, która już widocznie nadmiernie obciążałaby zdolności płatnicze kraju, nie mówiąc o jej anti-narodowem przeznaczeniu politycznem. Być może jednak, że pożyczka będzie udzieloną pod warunkiem wprowadzenia jakichś drobnych reform, które zostaną wskazane przez mocarstwa politycznie i finansowo zainteresowane.

Wogóle położenie finansowe Persyi jest opłakane. Według ostatnich wyliczeń rosyjskiego agenta finansowego w Persyi, pa-

¹⁾ Według *Geogr.-stat. Tabellen* Hübnera w r. 1906—72,4 mil. marek.

na A. S. Ostrogradzkiego, deficyt handlowy Persyi za ostatnie 6 lat wyraża się w sumie około 113 mil. rubli, które Persya winna jest europejskim bankom i firmom, głównie w Petersburgu, Moskwie, Londynie, Manchesterze i Konstantynopolu. Przytem system finansowy jest tak fatalny, że wszyscy rzeczoznawcy wskazują, iż reform perskich nie można zaczynać bez uregulowania finansów. Francuski doradca finansowy w Persyi, p. Bizot, uskarżał się przed korespondentem rosyjskim, p. Janczewieckim, że w ciągu 9 miesięcy swego pobytu w Teheranie nie mógł otrzymać od rządu perskiego ani jednego sprawozdania, ani jednego rachunku, ani jednej statystyki, dotyczącej finansów perskich. W tych warunkach wątpliwem jest, czy nowa pożyczka zdoła w czemkolwiek dopomódz zbieudniałej i wycieńczonej Persyi.

III.

Jeśli stanąć na punkcie rzeczywistości, nie biorąc pod uwagę żadnych *imponderabilia* przyszłościowych, to Persya ze stanowiska politycznego obchodzi nas dzisiaj o tyle, o ile na jej terytorjum objawia się współzawodnictwo angielsko-rosyjskie. Nawet możliwe odrodzenie Persyi przez rewolucyę mniej jest interesujące samo w sobie i jako domniemany czynnik odrodzenia islamu, niż jako nowy czynnik stosunków angielsko-rosyjskich i bodziec dla ludów, zamieszkujących posiadłości azjatyckie Anglii i Rosyi. W istocie bowiem Persya jest szachownicą, na której ustawiają pionki i grę prowadzą dwaj wielcy partnerzy partyi światowej, Anglia i Rosya. Prawo publiczne traktuje Persyę, jako państwo niezależne, lecz jej położenie geograficzne i rozkład polityczny, w rzeczywistości, pozbawił ją tego charakteru. Od czasu, kiedy granice rosyjskie i angielskie w Azji zaczęły się zbliżać do siebie, wschód środkowy stał się olbrzymiem polem bitwy, na którym istnieje niepodległość i neutralność tyle tylko, ile jej uznają zapaśnicy. Czy jeśli chodzi o określenie granic między Persyą a Turcyą, czy między Persyą a Afganistanem, zawsze jest to sprawa Anglii i Rosyi i oficerowie angielscy i rosyjscy biorą udział w pracach granicznych. Rywalizacya angielsko-rosyjska, która—jak mówi p. Aubin—jest stałym stanem pokoju na wschodzie środkowym, ciąży na wszystkich organach zarządu perskiego, wprowadza doń system angielski i system rosyjski, korzystające z każdej sposobności, aby perskiej niemocy

wyrwać nowe koncesye, postawić nogę o krok dalej i zaatakować pozycję przeciwnika. Wypadki w Transwaalu powodują postęp Rosyi; wojna rosyjsko-japońska sprzyjała powrotowi ofensywy angielskiej. Dzięki rewolucyi perskiej Anglia wzmocniła swe zamiary i zdobyła ostatnią, z r. 1907, umowę z Rosyą.

Zanim powiemy coś o tej umowie, przyjrzyjmy się rozwojowi stosunków politycznych między Persyą a Rosyą z jednej strony, Anglią zaś z drugiej.

Stosunki polityczne między Persyą a Rosyą rozpoczęły się już w XV stuleciu, lecz przerwały się wkrótce wobec braku istotnych interesów wzajemnych¹⁾. Dopiero po zawojowaniu przez Iwana Groźnego Astrachania, w którym okazała się wielka ilość perskich poddanych — kupców, zawiązane zostały stosunki handlowe, lecz bez cienia podkładu politycznego. Boris Godunow przykładał dużą wagę do dobrych stosunków z Persyą. W r. 1618 wojna z Polską zniewoliła cara Michała Fiodorowicza wysłać do szacha Abbasa poselstwo z prośbą o pożyczkę pieniężną „na pomoc przeciw nieprzyjacielowi cesarskiemu (Zygmuntowi),“ przy czem gotów był na zastaw dać nawet Astrachań. Piotr Wielki, który już myślał o wcieleniu do Rosyi południowych brzegów morza Kaspijskiego, aby w ten sposób odkryć sobie dostęp do Indyj, umiał zręcznymi krokami otrzymać od Persyi „w wieczyste władanie“ miasta Derbent i Baku oraz prowincye Gilan, Mazanderan i Astrabad. Zresztą traktat ten nie mógł, z powodu miejscowej ludności, być wykonany w całej rozciągłości, następcy zaś Piotra W. trzymali się innych poglądów na politykę wschodnią i zwrócili szachowi Mazanderan i Astrabad. Zresztą stosunki Rosyi z Persyą zaczęły nabierać takiej ścisłości, że w r. 1734 poseł szacha Nadira, wysłany do Rosyi, miał sekretną misję uczynienia carównie Elżbiecie Pietrównie, córce Piotra W., propozycyi poślubienia szacha. Autor rosyjski, Bogdanowicz, pisze, iż „konkury te dowodzą, jak dalece szach Nadir dobrze był poinformowany o ówczesnym stanie państwa rosyjskiego, jeśli miał tak rozległy zamiar za pomocą zaślubin Elżbiety Pietrówny otrzymać w posagu cesarstwo rosyjskie, zrzuciwszy z tronu Annę Joannównę i wprowadzając na tron Elżbietę.“ Koniec XVIII w. obfity jest w zdarzenia między temi dwoma państwami, a nawet w walki orężne, których głównym przedmiotem jest Gruzya, Kachetya i panowanie nad morzem Kaspijskiem.

¹⁾ P. P. A. Rittich, l. c., str. 192.

Koniec XVIII w. i początek XIX-go były wogóle bardzo ważną epoką dla Persyi, zarówno ze względu na ilość wypadków, jak na to położenie, jakie ona zajmowała w gronie mocarstw europejskich.

W początku XIX stulecia na sprawy polityczne Persyi pozyskuje silny wpływ Anglia, która do tego czasu, lubo nie zawierała z Persją ani jednego traktatu politycznego, korzystała jednak ze znacznych przywilejów handlowych, wywołanych świetnym stanem handlu w portach zatoki Perskiej. W r. 1801 szach Fetcz-Ali, obawiając się zbyt rosnących ambicij zdobywczych Rosyi, zawarł pierwszy traktat z Anglią, mający na widoku głównie ewentualność wtargnięcia Afganów do Indyj. Lecz gdy ten traktat nie przynosił dosyć korzyści Persyi, szach zaczął się oglądać za innym sojusznikiem i zatrzymał się na Napoleonie I, którego zamiary względem Indyj nie były mu obce. ¹⁾ Wszakże pertraktacye z Francją nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Tymczasem Rosya rozpoczęła nowe kroki wojenne przeciw Persyi, zakończone w r. 1813 bardzo korzystnym dla Rosyi traktatem. Na jego mocy cały Dagestan, Gurya, Mingrelia i Abchazya, prowincya szuragelska i parę innych prowincyj sąsiednich przeszło we władanie Rosyi. Jednocześnie Aleksander I otrzymał prawo dla siebie i swych następców podtrzymywania w Persyi „samowładztwa i władzy panującej na silnych podstawach;“ zabezpieczył sobie także wyłączne prawo panowania „flagi wojennej“ na morzu Kaspijskiem.

To powodzenie Rosyi skłoniło Anglię do wysłania nowego poselstwa do Persyi, a prace jego były tak skuteczne, że w roku 1814 zawarto traktat, którego mocą „wszystkie sojusze z państwami, wrogami Wielkiej Brytanii, uznają się za niebyłe i *szach zobowiązywał się do sprzeciwienia się wtargnięciu do Indyj, po drodze przez Chiwę lub Bucharę, jakiegokolwiek mocarstwa europejskiego.*“ Ten traktat, cały zwrócony przeciw Rosyi, zawierał jeszcze zobowiązania ze strony Anglii zaopatrzenia Persyi w instruktorów wojskowych, oraz uzbrojenia wojsk i urządzenia odlewni stalowej w Tebrisie. Na te postępy polityki angielskiej w Persyi Aleksander I odpowiedział wysłaniem do Teheranu posła Jermolowa, który otrzymał instrukcyę, aby rozpatrzył kwestyę zwrotu Persyi niektórych prowincyj, a jednocześnie „powstrzymał przewagę wpływu angielskiego, osłabił go sposobami niewidocznymi i na-

¹⁾ *Lucoin de Vilmorin. La politique étrangère en Perse, Paris, 1894.*

reszcie zupełnie zniszczył.“ Jermołow tak skutecznie działał, że Persya zrzekła się swych pretensyj do zabranych dawniej przez Rosyę posiadłości. ¹⁾ Zresztą Abbas-Mirza nie skrywał swej nienawiści do Rosyi i po śmierci Aleksandra I rozpoczął z nią wojnę, w której jednak nie miał powodzenia. Gen. Paskiewicz pobił wojska perskie i szach musiał prosić o pokój, który też w roku 1828 został podpisany w Turkmanczaju, przyczem Persya ustąpiła „cesarstwu rosyjskiemu w zupełne władanie chaństwo erywańskie z tej i tamtej strony Araksu i chaństwo nachiczewańskie“ oraz zobowiązała się zapłacić 20 milionów rubli.

Był to ostatni zatarg wojenny między Rosyą a Persyą. Odtąd pierwsza będzie trwale korzystała ze swych wpływów w Teheranie. „Jakakolwiek pogróżka—pisał w r. 1828 poseł Gribojedow do kanclerza Nesselrodego—lub wyrażenie życzliwości od imienia Najjaśniejszego Pana już nie kładzie się teraz na wagę obok opinii Anglików, nakłaniających obecnie księcia (następcę tronu), aby się nie rzucił w objęcia Rosyi, lecz aby się starał zorganizować własne siły narodowe.“ Tak trwało kilka lat. W roku 1834 wstąpił na tron Mahomet, sprzyjający Anglikom, którzy też pozyskali podówczas znowu większy wpływ w Persyi, zaopatrzyli wojsko perskie w 2 miliony karabinów i w znaczne zapasy innej broni. To usposobienie szacha zresztą wkrótce zmieniło się, gdy wybuchł wieczysty zatarg persko-angielski o Afganistan. Zatarg trwał długo i zakończył się dopiero aż za szacha Nasr-ed-Dina traktatem w Paryżu w r. 1857, którym Persya zrzekła się raz na zawsze swych pretensyj do Afganistanu, a w razie zatargu z tym ostatnim zobowiązywała się „używać przyjacielskiego pośrednictwa Anglii.“

W tym czasie stosunki Rosyi z Persyą były naogół przyjazne. Przed wojną krymską zawarto traktat o neutralności Persyi, który pomógł Rosyi do zdobycia fortecy tureckiej Karsu.

¹⁾ „Ponura gęba (roża) moja — pisał Jermołow do hr. Zakrewskiego — zawsze dobrze wyrażała moje uczucia i kiedy mówiłem o wojnie, to ona przybierała wyraz uczuć człowieka, gotowego schwyć zębami za gardło. Na ich nieszczęście, zauważyłem, że oni tego nie lubią, i wówczas, ilekroć brakło mi przekonywujących dowodów, działałem zwierzęcą gębą, swą olbrzymią postacią, która wywierała wrażenie straszne, i szerokiem gardłem, tak że oni przekonywali się, iż człowiek nie może tak krzyczeć, nie mając słusznych i przekonywujących powodów. Kiedy dochodziło do uszu szacha, że jestem niedostępnem zwierzęciem, to ja przy widzeniu trulem go pochlebstwami.“ Rittich, l. e., str. 234.

W r. 1869 Rosya ustąpiła Persyi drobną część swego terytorium, wzdłuż rzeki Atreku. Spotkanie szacha w r. 1873 i 1878 z Aleksandrem II miały na celu wznowienie stosunków przyjaznych. W czasie ostatniej wojny rosyjsko-tureckiej na granicy persko-tureckiej szach wystawił dwa oddziały „obserwacyjne.“ Po wojnie 1878 r. wpływy rosyjskie w Persyi o tyle wzmocniły się, że rząd perski zwrócił się do cesarza z prośbą o „przywrócenie porządku w stepach Kara-Kum i załatwienie się z Turkinenami, nietylko pustoszącymi sąsiednie okolice, lecz i zabierającymi ludność miejscową.“

W całym szeregu zatargów, intryg, traktatów i angielsko-rosyjskiej rywalizacji na terytorium perskiem na szczególną uwagę zasługuje kwestya prowincyi perskiej Seistanu.

„Nie ulega żadnej wątpliwości — pisze autor pruski, generał Krahmer ¹⁾ — że Seistan perski ²⁾ jest dla Anglików nowym etapem na ich drodze do zatoki Perskiej. Kto obserwował ich postępowanie na brzegach Osmana w Maskacie, ich wmieszanie się do sprawy Quietty i obsadzenie przez nich w r. 1902 wyspy Kiszmu, temu będzie widoczne, że Anglia chce zawładnąć zatoką Perską. Jednocześnie pracuje się w dwu kierunkach: aby południową Persję poddać pod wpływ Anglii i *aby Rosję odciąć od oceanu Indyjskiego*. Seistan, jako kraj, nie posiada poważniejszej wartości, lecz jest on bardzo ważny pod względem wojskowo-politycznym. Jeśli się Anglicy usadowią w Seistanie, to zbliżą się do swego celu: odcięcia Rosyi wyjścia na ciepły ocean i zajmą korzystną pozycję na skrzydle rosyjskiego pochodu ku brzegom Persyi południowej. *Ciążenie Rosyi do ciepłego morza jest rezultatem bardzo poważnych planów państwowych i urzeczywistnienie jej odwiecznego marzenia, dotarcie do ciepłego oceanu, sprowadza tak ważne skutki dla jej pozycji w Azji, że ona nie może i nie powinna pozostawić bez uwagi prób angielskich.*“

Tak samo zapatrują się na tę sprawę i autorowie angielscy. Lord Curzon, zapewne największa powaga w rzeczach polityki kolonialnej angielskiej, Seistanowi poświęcił cały rozdział swej głośnej książki o Persyi i silny kładł nacisk na to, że Seistan jest dla Rosyi kluczem do Indyj. „Jeśli się Rosya utrwali w Seistanie — pisze on — to zbliży się w ten sposób o 300 mil do Indyj, przyjmie groźną postawę wobec Afganistanu i wtedy budowa ko-

¹⁾ *Die Beziehungen Russlands zu Persien*, Leipzig, 1903. Str. 111.

²⁾ Jest i Seistan afganistański.

lei Quetta-Nuszk-Seistan będzie niemożliwa. Ta kolej wszakże, pomijając już jej znaczenie strategiczne, posiada wielką doniosłość dla walki ekonomicznej Anglii z Rosyą na południu Persyi.“

Tak samo wyraża się o znaczeniu Seistanu i inny angielski znawca przedmiotu, A. Hamilton, który w swem dziele o Afganistanie pisze: ¹⁾ „Seistan byłby podstawą strategiczną Rosyi nie tylko w stosunku do Azji środkowej, lecz i do Indyj, i gdyby ją Rosya zajęła, to przeszkoda do ruchu ku Indyom, jaką przedstawia Afganistan, byłaby usunięta i droga do zatoki (Perskiej) byłaby otwarta. Chociaż Rosya mogłaby nawet nie przedsiębrać aktywnego pochodu na Indye, lecz miałyby ona mnóstwo sposobności wzbudzać powstanie wśród plemion beludżyjskich i siac propagandę w całym okręgu pogranicznym.“

Te wywody potwierdzają się też w całym działaniu w ostatnich dziesięcioleciach obu państw, skierowanem zarówno do pozyskania wpływu na całą Persyę, jak specjalnie na Seistan, i zakończonem dopiero (może tylko czasowo) ostatnim traktatem angielsko-rosyjskim, usuwającym z Seistanu wpływy rosyjskie na rzecz Anglii.

Jednocześnie oba mocarstwa walczą na całym obszarze Persyi o wpływy polityczne i przywileje handlowe i polityczne. Kiedy np. Anglia zdobyła koncesye telegraficzne i koncesye na rzece Karunie, Rosya otrzymała nowe przywileje na morzu Kaspijskiem, prawo pobudowania drogi bitej z Pir-i-Bazaru do Teheranu i z Aschabadu do Kuczanu, przywilej, że bez pozwolenia Rosyi w ciągu 15 lat nie można budować żadnych kolei w Persyi i t. d.

Długa linia graniczna z Persyą sprzyjała wogóle rosyjskiej akcji polityczno-handlowej. Strategicznie, Rosya trzyma pod swym wpływem wszystkie dzielnice północne Iranu, które są najlepsze; akcja angielska musi się redukować do zdobywania Iranu przez południe, przez pustynie Beludżystanu i brzegi pustynne zatoki Perskiej. Pierwszą troską Rosyi było zapewnienie sobie drogi dla ewentualnej penetracyi militarnej. Pod pokrywką stowarzyszenia, zorganizowanego przez bankiera żydowskiego z Moskwy, Polakowa, rząd rosyjski zbudował szosę od Resztu do Kazwina i Teheranu z przedłużeniem od Kazwina do Hamadanu. Inna droga prowadzi od Araksu do Tebrisu, zaopatrzona w ten sposób, że ją łatwo przerobić na tor kolejowy, łączący z siecią kau-

¹⁾ Cytuję według przekładu rosyjskiego Gołubinowa p. t. „Afganistan,“ Petersburg, 1908. Str. 85.

kazką, już sięgającą granicy perskiej. Ostatnia droga łączy Aschabad, w okręgu Zakaspijskim, z Meszhedem, b. ważnym pod każdym względem punktem w prowincyi Chorassanie. Wszystkie te drogi są utrzymywane i administrowane przez urzędników rosyjskich.

W ostatnich czasach dużo mówiono w prasie rosyjskiej i europejskiej o pułkowniku Lachowie. Otóż należy pamiętać, że brygada kozacka w Persyi nie jest nowością i istnieje już od dawnego czasu. Jest to jedyne wojsko, dyscyplinowane na sposób europejski, i zawsze dowodzone przez Rosyan. W skład jej wchodzi jedna bateria kozacka, której komendantem był przed r. 1902 oficer artyleryi rosyjskiej, Muromcew ¹⁾ Komendantem całej brygady był w tym czasie generał sztabu generalnego rosyjskiego, W. A. Kosagowski, a jego pomocnikami naczelnik sztabu Martiros-chan i essaul rosyjski Fidarow. Następnie niedawno zaproszono jeszcze jednego oficera rosyjskiego, p. Borisowa. W liczbie instruktorów jest także kilku „urządników“ rosyjskich.

O przywilejach rosyjskich w dziedzinie handlu mówiliśmy już wyżej. Wszystko to dawało powody Rosyanom do traktowania bardzo optymistycznie ich pozycyi w Persyi, którą uważali za niezdobytą i na wieki wieków utrwaloną. Autorowie rosyjscy, którzy pisali o Persyi na podstawie podróży po niej, jak cytowani wyżej Łomnickij, Kurmakow (obecnie dyrektor departamentu górniczego), Rittich — nie chcieli nawet słyszeć o podziale tam wpływów między Rosyą a Anglią. P. Rittich pisał w roku 1896, że „okoliczności sprzyjają ze wszech miar Rosyi i trzeba użyć wszelkich wysiłków, aby zmniejszyć znaczenie Anglii.“ ²⁾ Pan Łomnickij w 5 lat później pisał, że „Rosya wywiera na Persów wpływ czarujący“ i że „młodzi Persowie duszą i ciałem dążą do Rosyi.“ ³⁾ Fakt, że pewna część nestoryanów w Persyi przeszła na prawosławie, aby zabezpieczyć sobie opiekę konsulów rosyjskich, jeszcze bardziej wzmocniła te ambicje rosyjskie. Poddał się im i generał pruski, Krahmer, pisząc: „Wielkie i ważne powodzenia, osiągnięte przez Rosyę w Persyi w ostatnich latach, zawdzięcza ona dalekiemu wzrokowi swej celowej polityki, która się uwydatnia we wszystkich kwestyach azjatyckich. Wbrew oporowi Anglii Rosya osiągnie swego celu, którym jest włączyć do sfery swego wpływu nie tylko Persyę północną, ale i południową.

¹⁾ P. S. Łomnickij: *Piersija i Piersy*. Petersburg, 1902. Str. 145.

²⁾ L. c. wstęp.

³⁾ L. c. Str. 37 i inne.

Dawno marzony cel Rosyi—dotarcia do oceanu Indyjskiego—będzie osiągnięty. Jak nie zdołała Anglia zatrzymać pochodu Rosyi na Afganistan, tak nie powstrzyma go i w Persyi.“¹⁾ Podobnie pisały w r. 1902 i dwu następnych pisma rosyjskie, jak *Nowoje Wremia* i *Birżewyja Wiedomosti*.

Organizacya wpływów angielskich zaznacza się szczególnie w urządzeniu stacyj telegraficznych. Prawie wszystkie linie telegraficzne w Persyi są w rękach Anglików. W systemie angielskim są one tem samem, czem w systemie rosyjskim drogi bite: jeśli dają mniejsze dochody, to za to sprzyjają dyfuzyi akeji angielskiej, są organem działania politycznego. Wobec działalności rosyjskiej, wolnej i metodycznej, na północy Iranu, a zaledwie zaznaczającej się ku południowi, Anglia jest obecna wszędzie, w każdym mieście instalując się jednakowo: bank cesarski, telegraf, biura wielkich domów handlowych, wreszcie misya protestancka. Jeśli Rosya jest szczególnie silna w Azarbejdżanie, prowincyach nadkaspjskich i w Chorassanie, to siła angielska zaznacza się w miarę, jak się postępuje ku południowi²⁾. Zatoka Perska wchodzi cała w obręb brytański, żegluga jest tam prawie całkowicie angielska, Towarzystwo *British India* spełnia tam służbę portową.

We wszystkich dużych miastach perskich Anglia i Rosya utrzymują konsulów, którzy są narzędziami dwu wpływów współzawodniczących. Umieją oni oddziaływać i na gubernatorów perskich, którzy się dzielą na zwolenników Anglii i zwolenników Rosyi. Tak np. słynny i głośny wuj szacha, Zilli-Soltan, był po stronie angielskiej; bawiący w r. 1908 w Warszawie książę Solaried-Doule uchodził za przyjaciela Rosyi. Persya już się przyzwyczaiła do walki tych dwu wpływów, które jej, bądź co bądź, zapewniały niejaką równowagę.

IV.

Bezpośrednim skutkiem wojny rosyjsko-japońskiej był zawarty d. 31 sierpnia 1907 r. traktat angielsko-rosyjski, dotyczący

¹⁾ L. c. str. 126 — 127.

²⁾ W lutym r. 1909 otwarto linię telegraficzną między Londynem a Kachachi, w prow. bombajskiej, przez Teheran. Jest ona najdłuższa na świecie, bo liczy 9000 kilometrów.

polityki azyatyckiej Anglii i Rosyi. Stanowi on jeden z najwybitniejszych aktów politycznych, jakich byliśmy świadkami w ostatnich dziesięcioleciach. Należy też oczekiwać, że doniosłość jego sięgnie poza terytorium azyatyckie i da się odczuć w sferze bliższych nam zagadnień, w sferze europejskiej. Rosya likwiduje na razie swą „wielką“ politykę azyatycką, a więc punkt ciężkości swej energii politycznej przenosi na Europę; Anglia, niczego nie likwidując, ale, przeciwnie, umacniając swe pozycje w Azji, tem samem pozyskuje swobodę ruchów w Europie. Wystarcza to, aby zrozumieć, jakie zmiany w układzie europejskich sił może sprowadzić za sobą nowa umowa.

Rządy Rosyi i Wielkiej Brytanii ustaliły przedewszystkiem zasadę, że w Persyi istnieją dwie „sfery wpływów,“ rosyjska i angielska, i w sposób konkretny określily ją tak:

I. W. Brytania obowiązuje się nie wymagać dla siebie (ani też popierać na rzecz poddanych angielskich lub poddanych trzecich mocarstw) żadnych ustępstw politycznych albo handlowych (jak koncesye handlowe, bankowe, telegraficzne, drogowe, przewozowe, ubezpieczeniowe i t. d.) po tej stronie linii, idącej od Kasri-Szyrinu przez Ispahan, Jezd i Chakk i kończącej się w punkcie granicy perskiej przy skrzyżowaniu się granic rosyjskiej i afgańskiej, oraz obowiązuje się nie sprzeciwiać się ani wręcz, ani ubocznie żądaniom takich koncesyj na danym obszarze, popieranym przez rząd rosyjski. Wymienione wyżej miejscowości należą oczywiście do obszaru, w którym W. Brytania obowiązuje się nie wymagać koncesyj.

II. Ze swojej strony Rosya obowiązuje się nie wymagać ani dla siebie samej, ani dla poddanych rosyjskich i innych żadnych ustępstw politycznych lub handlowych po tej stronie linii, idącej od granicy afgańskiej przez Hazik, Birdżant i Kerman i kończącej się w Bender-Abbasie, tudzież obowiązuje się nie sprzeciwiać tego rodzaju koncesyjom, popieranym przez rząd angielski.

III. Co do obszaru pomiędzy liniami, wskazanymi w art. I i II, Rosya i Anglia obowiązuje się nie wyjednywać dla siebie koncesyi bez uprzedniego porozumienia się. Wszystkie zaś koncesye, istniejące na obszarze wskazanym w art. I i II, pozostają w swej mocy.

Jak widzimy, Anglia zadowolila się tu częścią bardzo niewielką, Seistanem i Mekranem, t. j. dwiema prowincjami poślednimi, lecz wielkiej wartości strategicznej, gdyż one gwarantują obronę Indyj i przystęp do morza Omanu. Reszta Persyi południowej, gdzie panuje wpływ angielski, pozostała poza obrębem wszelkich

zobowiązań wyraźnych. Dziedzina, pozostawiona Rosyi, z Ispananem i Jezdem, otwiera przed nią pole do działania w najpiękniejszych prowincjach państwa, nawet poza granicami, zakresłone przez jej dawną przewagę handlową. Sfera rosyjska obejmuje np. miejscowość Kasri-Szyrin, która będzie w przyszłości połączona z gałęzią kolei bagdadzkiej. Wreszcie oba mocarstwa nie przewidują ograniczeń niezależności perskiej, jak tylko przez ewentualne ustanowienie kontroli finansowej, „aby uniknąć wszelkiego wmieszania się, które nie byłoby zgodne z zasadami, będącymi podstawą umowy niniejszej,“ czyli, inaczej mówiąc, gdyby rządowi perskiemu przyszła fantazja traktować o pożyczkę z bankami niemieckimi.

Umowa angielsko-rosyjska była tryumfem jednych, a porażką drugich.

Co do Persyi samej przedewszystkiem, to jakkolwiek mało pochlebna dla jej państwowej miłości własnej, daje jej ona jednak niewątpliwie nową rękojmię formalnej niezawisłości. Rosya nie jest w stanie teraz myśleć o nowych zdobyczach azyatyckich, Anglia potrzebuje (jak jej to już oddawna wskazywał lord Curzon) państw-„tamponów,“ jak je nazywa p. Aubin, aby uchronić Indye od wszelkich wpływów ze strony silnych sąsiadów. W pustyniach Iranu, na brzegach zatoki Perskiej, w dolinach Eufratu i Tygrysu, Anglia musi szukać ochrony swego spokoju nad Gangesem. Persya jest w możności zaspokoić pod tym względem Anglików, bo sama nie jest groźna dla Indyi, o ile... jest słaba. „Podniesienie się Iranu, jego reformy w duchu europejskim, oddziaływałyby zarówno na Kaukaz i Indye: od Tyflisu do morza Kaspjskiego mieszka ludność Turków-szytów, tej samej rasy i tegoż języka, co ludy północo-zachodu Iranu; w Indyach szyici tworzą znaczną grupę; kultura perska od wieków umiała się narzucić dworom tamtejszym i klasom oświeconym. W razie powodzenia reform perskich, Kaukaz i Indye mogłyby się poddać podniecającemu działaniu tak niebezpiecznego przykładu.“¹⁾

Dla Niemiec rzeczona umowa jest niewątpliwie niepowodzeniem. Od czasu, kiedy ich ambicje zwróciły się ku Azji przedniej i wcieliły w życie wskutek polityki Abdul-Hamida, kiedy zaczęto budować kolej Bagdadzką, kiedy widziano już zblizka perspektywę podboju ekonomicznego Mezopotamii, ich wzrok nie mógł się nie zatrzymać i na Persyi. *Deutsche Orient Mission* już tam od

¹⁾ P. Aubin, l. c., str. 227.

pewnego czasu działa; *Schweizerische Missions-Arbeit für Persisch Armenien* pracowała i dla Niemców również. Niemcy starali się w ostatnich czasach mieszać do różnych konfliktów granicznych, podstawiając przeważnie nogę Anglikom.¹⁾ Ich przemysł miał tu już pewien rynek: w r. 1905-6 osiągnął 3½ miliona franków.²⁾ Umowa angielsko-rosyjska, nie mówiąc już o klauzuli wymienionej co do banków, stawia tamę tym wszystkim planom i nadziejom. Zrozumiała też była kwaśna mina publicystów niemieckich, omawiających tę umowę, ile że była ona nadto niewątpliwym tryumfem Anglii.³⁾

Bo jeśli brać umowę tylko w tym punkcie, który dotyczy Persyi, korzyści osiągnięte przez Anglię jeszcze mogą się nie wydać tak znaczne. Ale jeśli weźmiemy ją całą, nie tylko co do Persyi, ale i co do Afganistanu i Tybetu, to będzie niewątpliwem, że mamy tu do czynienia z aktem politycznym pierwszorzędnej, lubo nie dającej się narazie w całych rozmiarach ocenić, doniosłości. Korzyści bowiem Anglii w Azji mierzą się głównie niepowodzeniami azyatyckiej polityki rosyjskiej.

Ktoby się chciał zapoznać z duchem polityki rosyjskiej w Azji w ostatniej dobie, ten powinien przeczytać publikacye ks. Uchtomskiego, dotyczące ideałów i sposobów postępowania Rosyi na wielkiem terytoryum azyatyckiem. Jest tu cała ideologia polityki azyatyckiej Rosyi, przyczem istotne tendencye rządu wyrażone są w sposób taki i przez takiego człowieka, że nie pozostawiają wątpliwości, co do ich wierności i, że tak powiem, autentyczności. Był więc ks. Uchtomski zwolennikiem wielkiej ekspansyi Rosyi w kierunku Azji i uważał to za „dziejowe posłannictwo“ swego kraju, żeby on szukał źródeł potęgi państwowej zarówno nad brzegami Pacyfiku, jak nad oceanem Indyjskim. B. gubernator banku rosyjsko-chińskiego i b. redaktor *Peterburgskich Wiedomostiej* uważał, że Rosya niema już nic do zrobienia w Europie, a natomiast wszystko w Azji. Całe bezkresne terytoryum tej części świata powinno się dostać pod wyłączny wpływ Rosyi. Bardzo pilną uwagę poświęcił autor Indjom, przyczem

1) P. Hamilton, l. c., str. 60.

2) Austrii 6½ miliona—Francyi 16 milionów.

3) Niedawno Wielka Brytania dojrzała w rozszerzeniu działalności *Deutsche Orientbank* na Persyę nader ważny krok polityczny i dołożyła wszelkich starań (ostatecznie bezskutecznych), aby uniemożliwić wydanie przez rząd perski na ten bank koncesyi.

zagłębił się w mroczne gęstwiny etnologii, aby udowodnić, że autochtonowie Indyj mają duchowe pokrewieństwo z Rosyanami i są „naturalnymi“ tych ostatnich sprzymierzeńcami. Walka z Anglią stanowić powinna treść i naczelną, bodaj wyłączną, dążenie polityki zewnętrznej rosyjskiej.

Wiemy teraz, że poglądy te nie były fantazyą podnieconego w upałach azyatyckich męza stanu, lecz idealizowały i teoretyzowały to, co działo się w rzeczywistości. Od dawnych już czasów istniejące parcie Rosyi ku azyatykiemu Wschodowi w drugiej połowie zeszłego stulecia nabrało energii wyjątkowej. Z jednej strony dążenie do pozyskania dogodnego portu na oceanie Spokojnym wyrażało się coraz dobitniej i coraz skuteczniej, z drugiej, zajęcie Turkiestanu, Chiwy i Buchary, ogarnięcie swemi wpływami Persyi, parcie na Afganistan, zbliżyły do realizacji główny cel postępowania naprzód: wyjście na ocean Indyjski.

W tej polityce azyatyckiej Rosya liczyła się tylko z jednym przeciwnikiem: z Anglią. Można też powiedzieć, że już od kilku dziesiątków lat możliwość starcia angielsko-rosyjskiego była jedyną kombinacją wojenną, dopuszczalną względem Rosyi, i że odwrotnie w Anglii konflikt z Rosyą, z powodu posiadłości azyatyckich w ciągu drugiej połowy XIX wieku wysuwał się, jako zadgnięcie aktualne, największej żywotności pełne.

Ale historia ma swoje szlaki niezbadane. Starcie nastąpiło w tej stronie, w której go się najmniej spodziewano, i rezultat wypadł wbrew wszelkim przypuszczeniom. Rosya została odepchnięta od oceanu Spokojnego i zmuszona na dłuższy przeciąg czasu do zaprzestania rojeń o opanowaniu Dalekiego Wschodu. Jednocześnie z tem przyszła pora na likwidację jej „wielkiej“ polityki azyatyckiej. To, co ks. Uchtomski, wsparty przez opinię publiczną, uznawał za naturalne i nieuniknione, okazało się sztucznem i dającym się odrobić. W tej chwili Rosya składa wyznanie, że nie tylko o Indjach nie myśli, ale nawet wyrzeka się bliższych marzeń o zatoce Perskiej.¹⁾ Na terytoryum od tak dawna spornem,

¹⁾ Gen. Kuropatkin, inicjator całego szeregu środków charakteru agresywnego przeciw Anglii, teraz pisze w IV tomie swego sprawozdania z wojny japońsko-rosyjskiej (*Głos Moskwy* № 190 r. 1908): „Te ofiary i niebezpieczeństwa, których doświadczamy lub które przewidujemy wskutek tej pozycyi, jaką zajęliśmy na Dalekim Wschodzie, powinny nas ostrzedz, gdy marzymy o wyjściu na niezamarzające wody oceanu Indyjskiego. Zupełnie jest oczywiste, że Anglicy przygotowują się nas tam spotkać. Budowa kolei przez Persyę i t. d. będzie tylko powtórzeniem naszego doświadczenia z koleją wschod-

od tak dawna ciężarnem wielkimi, wskroś epokowemi wydarzeniami, nastaje nietylko moralne zawieszenie broni, ale wprost *entente*, dająca rękojmię na dłuższy czas rozumie się nie dlatego, że papier został podpisany, lecz że musiał być podpisany.¹⁾

Zresztą zdarzają się i inne poglądy na tę kwestyę. Amerykanin, p. Nickson, który stał się niedawno temu głośny wskutek artykułu swego, propagującego przynierze amerykańsko-rosyjsko-chińskie, pisał (w styczniu r. 1909): „Anglicy rękami japońskimi zatrzymali rozwój rosyjski na Wschodzie. Teraz ten olbrzym narodów (*this giant of nations*) musi dążyć do zatoki Perskiej — do jedynej drogi, grożącej Anglikom w Indyach i jedynej, na której siły morskie nie mogą powstrzymać Rosyi.“ P. Nickson zatem przewiduje zdwojone ze strony Rosyi usiłowania dotarcia do zatoki Perskiej.

V.

Dopiero jakieś stulecie upłynęło od tego czasu, gdy Persya weszła w bliższe zetknięcie ze światem zachodnim. Rozruchy w XVIII w. usunęły Europejczyków, niegdyś ściągniętych przez dynastję Sefidów. Powrócili oni za dynastji Kadżarów. Od r. 1807 misya gen. Gardane wprowadziła tam grupę oficerów francuskich, którym Kompania indyjska przeciwstawiła zaraz oficerów angielskich. Od połowy stulecia nieustannie zmieniają się instruktoria wojskowi francuscy, włoscy, austriaccy, angielscy, rosyjscy, zresztą bez widocznych swej pracy rezultatów. Sprowadzano także lekarzy, zwłaszcza za panowania Nasr-ed-Dina, a działalność ich naogół była wielce skuteczna. Także w tem samym stuleciu rozpoczęła się bardziej ożywiona działalność misyj religijnych: francuskich, angielskich i amerykańskich, ostatnio zaś również rosyjskich i niemieckich, a nawet żydowskich (*L'Alliance Israélite*.) Nasr-ed-Din otworzył Dar-ol-Fonun, czyli szkołę politechniczną, która stała się ogniskiem kształcenia wyższego, według metod

nio-chińską i z Portem Artura. Zamiast Portu Artura będzie Szachbar, a zamiast wojny z Japonią będziemy mieli jeszcze niepotrzebniejszą i straszniejszą wojnę z Wielką Brytanią.“

¹⁾ Już po napisaniu niniejszego otrzymałem świeżo wyszlą z druku książkę gen. M. Grulewa p. t. *Sopierniczestwo Rosii i Anglii w Średniej Azii*. Autor jest zwolennikiem redukcji planów imperyalistycznych Rosyi w Azji.

europcyjskich. W tej chwili doktorzy Georges i Galley wykładają w niej medycynę i chirurgię, pp. Danton, Olmer i David historię naturalną, chemię i sztukę inżynierską.¹⁾ Nasr-ed-Din wysyłał także młodzieńców na kształcenie się w krajach europejskich, do szkół technicznych, lekarskich i artystycznych. Dało to początek dążenia młodzieży perskiej do Europy. Jej część, pochodząca z Azarbejdżanu, ciągnęła więcej do Rosyi (Moskwy), z południa dążyli do Indyj; synowie kupców, mających stosunki z Austryą, kierowali się do Wiednia, kilku wielkich arystokratów z Teheranu posyłało swe dzieci do reakcyjnych Niemiec. Ci, którzy mieli ambicje znaleźć swe dzieci w szeregach przyszłych dygnitarzów, roztropnie kształcili je w Anglii lub w Rosyi. Było wielu Persów w wyższych zakładach naukowych belgijskich, szwajcarskich, w Konstantynopolu, a nawet w Bejrucie. W ostatnich latach liczono około 600 studentów, kształcących się poza obrębem swej ojczyzny. Wszyscy ci studenci lub b. studenci znają język francuski, wielu z nich zna język rosyjski, młodzież z południa posługuje się wybornie językiem angielskim.

Od r. 1898, w którym uporządkowanie ceł powierzono w ręce belgijskie, rozpoczęła się w Persyi ożywiona i nader owocna działalność Belgów. Byli to pierwsi ludzie, wprowadzający do Persyi metody europejskie i tworzący ciało urzędnicze, mające wartość państwową.

Te skłonności do Europejczyków popierali gorliwie ostatni szachowie. Nasr-ed-Din przedsiębrał, jak wiadomo, częste wycieczki do Europy. Naśladował go w tem jego następca, Muzzafer-ed-Din. W ten sposób i oni sami, i ich liczne otoczenie zapoznawało się z kulturą zachodnią, uczyło się szanować i cenić cywilizację porządku, ładu i pracy.

Jednocześnie kupcy z Teheranu, Tebrisu, Ispahanu, Szirazu rozszerzali swe stosunki z Europą, a często osiedlali się poza obrębem swej ojczyzny, utrzymując z nią stałe stosunki handlowe. Są takie kolonie perskie w Tyflisie, Baku, Astrachaniu i Moskwie, są w Indyjach i Mezopotamii, są wreszcie w Marsylii, Manchesterze i Londynie. Wielka kolonia perska w Konstantynopolu poświęca się handlowi dywanami, tak samo kolonia w Smyrnie, Aleksandryi i Kairze. Wszystko to były przewodniki nowych idei

¹⁾ Od r. 1894 do 1896 rodak nasz, d-r Władysław Ratuld, był w Teheranie kierownikiem kliniki okulistycznej. D-r R. powołany tam był przez szacha Nasr-ed-Dina na zalecenie d-ra Gałczowskiego z Paryża.

liberalnych i reformatorskich, bierne w czasie pokoju, czynne i wpływowe w epoce burzy.

Zanim powiemy o ich oddziaływaniu, o ich roli w nowym stanie rzeczy, należy zwrócić uwagę na ruch, objawiający się samorzutnie w rdzennej Persyi. Fatalny stan administracyi krajowej, nienormalny stosunek możnej arystokracji ziemskiej do warstw ludowych, upadek wszechstronny kultury krajowej, skostniałość absolutyzmu, wszystko to nie uchodziło uwagi niektórych ludzi i warstw rdzennie perskich, nawet nie posiadających zetknięcia ze światem zachodnim. I rzecz ciekawa, aspiracye ku wolności rodziły się w samej religii szyickiej i znajdują obecnie swą główną siłę między mułłami. Szyizm okazywał się zawsze bardziej podatnym do rozwoju nowoczesnego, niż sunnizm, lubo jest od tego ostatniego mniej wobec nie-muzułmanów tolerancyjny. Komentuje on swobodnie słowo Boże, zawarte w Koranie, i interpretuje jego znaczenie chętniej. Z szyizmu wyszła sekta t. zw. Babitów, zwolenników rozstrzelanego przez Nasr-ed-Dina duchownego Bab'a, których nauka wywołuje zachwyty u wszystkich podróżników europejskich. „System jest tak śmiały, moralność tak czysta, że wzbudza podziw wszystkich orientalistów.“¹⁾ Anglik z Indyj, major Sykes, który przed kilku laty zwiedził, jako delegat rządu angielskiego, całą Persyę wschodnią, pisze: „Babici posiadają wielu prozelitów. Ich zasady są nader wzniosłe: pragną oni stosunków przyjaznych ze wszystkimi ludźmi, zniesienia wojen religijnych, badania nauk użytecznych i t. d. *Rozszerzenie się doktryn Baba mogłoby potężnie wesprzeć odrodzenie się Persyi.*“²⁾ Prześladowanie Babitów i innych sekt (szeihistów, nemetullahistów) spowodowało ukrywanie się ich prozelitów, ale bynajmniej nie ich wyępienie. Przeciwnie, nauki ich, jak świadczą ostatni podróżnicy po Persyi (Aubin, Łomnickij, Sykes, Kurmakow), szerzą się coraz bardziej, tak, że ilość sekciarzy liczy się dzisiaj na setki tysięcy i to zarówno wśród klasy średniej, jak wśród kleru, wyższych klas i nawet książąt krwi. Dosyć obojętni w przedmiocie dogmatu, sekciarze godzą się na punkcie niezbędności głębokich reform w religii i w polityce, są tolerancyjni wobec nie-muzułmanów i w kierunku socyalnym idą niekiedy bardzo daleko.

Ale powróćmy do wpływów na Persyę zzewnątrz.

Podniesienie się nowych idei między grupami perskimi w Rosyi, Egipcie i Indyach, spowodowało zjawienie się dzienników,

¹⁾ Aubin, l. c., str. 186.

²⁾ L. c., str. 70.

które zaczęły tajnie przedostawać się do Persyi, a krytykowały współczesny stan rzeczy i wystawiały przewagę swobód politycznych. Szczególną popularność zdobył 24-stronicowy tygodnik *Habl-ul-Matin*, wydawany od r. 1893 przez pewnego saida z Kaszanu, wygnanego do Kalkuty. Później przyszły pisma z Kairu: *Czchre-Numa* i *Hikmet*. Wydawany w Baku *Irszad* rozpowszechnił się na całej północy Persyi. Pozatem pisma arabskie z Egiptu siały propagandę między duchowieństwem.

Dwa wypadki, wojna rosyjsko-japońska i rewolucya rosyjska, uczyniły dojrzałemi te z różnych źródeł pochodzące fermenty, równie obywatelskiej, jak religijnej natury. Echa zwycięstw japońskich wstrząsnęły całym Iranem. Jednocześnie duch rewolucyi rosyjskiej przekroczył granice perskie. Prowincye najbardziej zaludnione, najbogatsze, najwpływowwsze sąsiadują właśnie z Rosją; cały północo-zachód Iranu jest zamieszkały przez ludność turecką tej samej rasy i tegoż języka, co południe Kaukazu, stosunkowo niedawno zresztą oddzielone od monarchii perskiej. Agitacye w Tyflisie i Baku odbijały się natychmiast w Tebrisie, a i w Reszcie i Teheranie. Muzułmańscy poddani rosyjscy w ogromnej mierze oddziałali na wybuch rewolucyi w Persyi.¹⁾

Nie należy sądzić—pisze p. Aubin, który był w Persyi właśnie w najgorętszych czasach rewolucyjnych—że perska partya liberalna była od początku liczna i silna. Cała ludność wiejska, to znaczy ogromna większość kraju, jest obca nowym ideom; zresztą jest ona także zbyt apatyczna, aby mózdz wesprzeć reakcyę. Żądza reform opanowała jedynie wielkie miasta, przedewszystkiem Teheran, Tebris, Reszt i Sziraz, później Ispahan, Kermanszach i Hamadan. Tam skupiali się młodzi ludzie, wychowani w Europie, mułowie-reformatorzy i kupecy, pragnący liberalniejszych rządów,—razem kilka tysięcy ludzi. Żadna organizacya nie łączyła ich poza sektami i bractwami religijnymi; nie mieli oni nawet programu poza dalekim wzorem rewolucyi francuskiej. Tebris był mózgiem, Teheran ramieniem ruchu; rewolucya perska nie miała żadnego charakteru ogólnego; przerodziła się w szereg ruchów lokalnych.

Otwarte żądanie przez ludność Teheranu konstytucyi ciągnęło się od końca 1905 r., przeszło rok. Od czasu do czasu między ludem a policją i wojskiem następowały starcia. Lecz zwykła

¹⁾ *Nowoje Wremia* ze zwykłą przesadą i gwałtownością oskarżało o to Ormian rosyjskich.

forma, w którą wlewało się żądanie konstytucyi, polegała na tem, że przedstawiciele ludności, z duchowieństwem na czele, zbierali się w głównym meczecie stolicy, albo jeździli do grobowca świętego mużulmańskiego, szacha Abdul-Azima, położonego o 14 wiorst od Teheranu, pozostawali tam całemi dniami i tygodniami i stamtąd prowadzili pertraktacye z rządem o otrzymanie swobód i praw obywatelskich. W meczecie i w mauzoleum Abdul-Azima przedstawiciele ludu, zgodnie z obyczajami perskiemi, korzystali z nietykalności (miejsce takie, zwykle meczet lub konsulat obcokrajowy, nazywa się *best*). Siłą niemożna ich było stamtąd wyprowadzić. A ponieważ ich obecność tam, razem z żądaniem praw dla ludu, bardzo podniecała ludność całego kraju, to zwykle rząd szacha obiecywał wypełnić żądania; gdy się jednak zebrana ludność rozchodziła, rząd nie w duchu obietnic nie czynił i żadnego kroku ku reformie nie zrobił. Wreszcie komedia ta sprzykrzyła się mieszkańcom Teheranu, którzy pewnego pięknego poranku, w ogromnej liczbie około 25 tysięcy ludzi, wśród których znalazły się osoby różnych zawodów i klas, ulokowali się pod namiotami w obszernym parku poselstwa angielskiego i postawili szachowi *ultimatum*, że dopóki nie otrzymają konstytucyi, z poselstwa nie ustąpią. I dopięli swego.

Po 40 dniach takiego koczowania dobrej czwartej części ludności Teheranu pod ochroną flagi angielskiej, szach wydał w początkach listopada 1906 r. manifest o zaprowadzeniu w Persyi systemu przedstawicielskiego rządów i o zwołaniu „Rady Narodowej.“ Jednocześnie szach powołał do władzy liberalnego premiera Mosziro-ed-Doule, obecnie już zmarłego.

Naród wybrał pierwszych swych posłów i wysłał ich do Teheranu. W czasie zaś wyborów ministerjum Mosziro-ed-Doule wygotowało kartę konstytucyjną, którą szach Mozaffer-ed-Din zatwierdził 20 stycznia 1906 r. Podpisał ją także ówczesny następca tronu, a obecny szach, Mahomet-Ali.

Karta ta miała 51 artykułów. Art. 17 dawał Radzie Narodowej czyli medżilisowi, jak ją dziś przyjęto nazywać według perskiego *medżilisi szurai milli*, prawo ogłaszania nowych praw i zmiany, odwoływania lub uzupełniania istniejących, nie dzieląc praw na zasadnicze i zwykłe. Medżilis był jednocześnie parlamentem i konstytuanta. Korzystając ze swego prawa, medżilis od początku swej działalności zaczął zmieniać, rozszerzać i uzupełniać prawa konstytucyjne, zawarte w karcie Mozaffer-ed-Dina i wypracował nową kartę konstytucyjną, złożoną ze 107 artykułów. W tym czasie Mozaffer-ed-Din zmarł i kartę Medżilisu zatwierdził

obecnie panujący Mahomet-Ali. Ogłoszono ją 25 września 1907 r. Jej art. 39 obowiązuje szachów perskich, zanim będą koronowani, złożyć przysięgę na wierność konstytucyi według ustanowionej formy. Mahomet-Ali zjawił się po ogłoszeniu karty w gmachu medżilisu i uroczyście przysięgę tę złożył.¹⁾

Wszystkie te wypadki wywołały w liberalnej części ludności, która jest po miastach, jak się zdaje, w znacznej większości, uczucie wielkiej radości. Jedna z rozpowszechnianych podówczas radykalnych odezw tak się między innymi wyrażała: „Łączcie się, którzy jesteście biedni! Wobec zjawienia się najwyższego reskryptu, zwiastującego ustrój konstytucyjny, my, demokraci socyalni, pionierzy Islamu w Persyi, ślemy powinszowania wszystkim przyjacielom wolności. Wszystko można otrzymać dzięki zgodzie i jedności. Tak rzekł poeta: „Co sprawia jedność u mrówek? Dzięki jej są one w stanie rozerwać skórę lwa wściekłego.“ Jest stwierdzone, że *naród gorliwy i dzielny, jak Japonia*, może, łącząc się, wyrwać sztandar szczęścia nawet takiemu nieprzyjacielowi, jak Rosya. A więc i my, pionierzy Islamu, nie powinniśmy zasypiać! Niech żyją przyjaciele wolności!“ Gubernator Hamadanu i wielki *murshid* derwiszów sekiarskich, Zahir-ed-Doule, napisał takie wiersze: „O moi bracia, synowie jednego kraju! Dokąd będziecie rozłączeni! Jedność przemienia pola kamieniste w łąki, a niezgoda ogrody w pustynie! Powiedźcie śmiało, że rząd i ojczyzna, chwała i wspaniałość, to są bliźnięta! Przed rządem i narodem zjednoczonymi ustąpią wszystkie największe trudności! O królu, miej litość nad nami! Wysłuchaj naszych cierpień! Czy widziano kiedy podobne rzeczy, aby jednego *mirakhora* (naczelnika stajen), mianowano wielkim wezyrem! Przez swą niesprawiedliwość i tyranję ten pies bez religii i bez *imama* zrujnował kraj Iranu! Tyrania zrujnowała nasz kraj; brak oświaty wypełnia nasze oczy łzami. Wiedza sprowadzi panowanie sprawiedliwości; cywilizacya okryje kwieciami pustynie słone. Oświata jest dzisiaj naszym nieodzownym obowiązkiem; ona tyleż znaczy, co pielgrzymka do Mekki, post i modlitwa.“²⁾

¹⁾ Nie ulega wątpliwości, że radykalnej konstytucyi perskiej z punktu widzenia przygotowania politycznego narodu perskiego można było sporo zarzucić.

²⁾ To są zobowiązania zasadnicze religii muzułmańskiej. Fakt, że dawano do nich obowiązek oświaty, dowodzi osobliwej swobody myślenia, rozpowszechniającej się w Persyi.

Ażebym zapewnić sobie powodzenie w szerokich tłumach, a także w kołach duchowieństwa, rewolucya perska musiała się starać o pomoc wielkich *muszteidów* Miejsc Świętych (rodzaj najwyższych naczelników religijnych szyickich) i otrzymać od nich zapewnienie, że ustrój wolnościowy nie sprzeciwia się przepisom Islamu. Na odpowiednie pytanie z Teheranu *muszteid*¹⁾ z Nedżefu, największego miejsca pielgrzymek szyitów perskich, a więc jeden z paru najgłówniejszych szefów szyickich, Kazem Chorassani, odpowiedział:

„W imię Najwyższego! (niech jego chwała będzie uznana przez wszystkich!).

„W imię Boga łaskawego i miłosiernego!

„Pokłon Bogu, stwórcy dusz światów! niech błogosławieństwo Boże będzie nad Mahometem i jego potomkami, niech przekleństwo Boga ciąży nad jego nieprzyjaciółmi aż do ostatnie go dnia!

„Tak. Przez łaskę boską, przez opiekę niebieską, pod spojrzeniami świętymi znakomitego mistrza Godziny (12-go Imama), (oby nasze dusze były mu złożone na ofiarę!).

„Ze względu na to, że rozporządzenia świętego i szacownego Medżilisu zgodne są z tem, coście powiedzieli.

„Każdy muzułmanin powinien się poddać jego rozporządzeniom i ułatwić ich wykonanie.

„Działać inaczej, byłoby opierać się twórcy naszej religii i zdradzić rząd.

„A więc, powtarzam, muzułmanie powinni się powstrzymać od wszelkiej opozycyi.⁴

Rewolucya perska, jakkolwiek szybka, nie była gwałtowna. Na ogół rozruchy nie sprowadzały rozlewu krwi. Potworzone po prowincyi *endżumeny*, rodzaj klubów politycznych, szerzyły idee wolnościowe. Z niektórych prowincyj powypędzano książąt-gubernatorów; w głównych meczetach kaznodzieje porzucili tematy religijne i moralne, aby zwrócić się do polityki, żalić się na nadużycia gubernatorów i niedołęstwa rządu.

D. 8 października 1906 r. pierwszy parlament perski rozpoczął swe czynności w oranżeryi pałacu szacha. Na 200 posłów było obecnych tylko 40 teherańskich (konstytucya pozwala na to i daje przywileje Teheranowi co do ilości posłów). Prowincye czekały ciekawie: żywioł liberalny nie był zupełnie pewny popar-

¹⁾ *Muszteid* w krajach szyickich jest osobą, mającą prawo dawać *fatwy*, t. j. nieomylną odpowiedź na przedstawiane jej w formie schematycznej *casusy* religijne i jurydyczne.

cia angielskiego i obawiał się powrotu ofensywy kamarylli dworskiej, popieranej przez agentów rosyjskich. Tymczasem Muzaffer-ed-Din umarł, a jego miejsce zajął obecny szach, Mahomet-Ali. Już w Azarbejdżanie wszczął się zbrojny ruch rewolucyjny. Szach przysiągł na konstytucyę i na razie nie okazywał nowemu stanowi rzeczy oporu. Parlament wzbogacił się nowymi kilku deputowanymi. Prowincya budziła się coraz więcej. Po Ispahanie i Szirazie przyszła kolej na Jezd i Kerman.

Powoli jednak zaczęła się wyjaśniać fizyonomia nowego szacha. P. Aubin, który był w Persyi jeszcze wtedy, kiedy nie było komedyi z nieskończonem odwoływaniem i przywracaniem konstytucyi, w r. 1907, już zaznacza, że opinia publiczna uważa Mahometa-Alego za reakcyonistę gwałtownego, podniecającego kler wyższy i kamarylę przeciw pierwszym próbom reform. Następne wypadki okazały, że pod tym względem omyłki nie było. W końcu grudnia r. 1907 otrzymały poselstwa i konsulaty zagraniczne w Teheranie wystosowany przez medżilis do mocarstw „manifest ludu perskiego.“ W streszczemu dokument ten brzmiał: „Gdy położenie państwa stało się prawie beznadziejne, zrozumiał naród, iż jego jedyny ratunek leży w zaprowadzeniu rządów konstytucyjnych. Zmarły szach nadał państwu konstytucyę, obecnie zaś panujący zatwierdził ją. Osoby jednak, które przyzwyczały się za czasów despotyzmu uciskać lud bezkarnie, zwiódły naszego młodego monarchę, podsuwając mu przekonanie, że przyczyną obecnych trudności i niepokoju jest konstytucya. Naród nie uczyni, co mogłoby pokój zamącić, wobec jednak napaści ze strony źle myślących członków rządu, zdecydowany jest bronić do upadłego jedynej swej nadziei — konstytucyi. Za pośrednictwem tego manifestu zawiadamia naród perski wszystkie poselstwa, oraz przedstawicieli i poddanych zagranicznych, przebywających w Teheranie, o istotnem rzeczy położeniu, zarazem zaś komunikuje im, iż monarcha naruszył swoją przysięgę. Oznajmiając, co powiedziano wyżej, wszystkim narodom świata, spodziewa się lud perski, iż okażą mu one swoją miłość braterską, nie pozwalając, aby prawa jego deptano nogami.“

Manifest ten wywołany gwałtownymi krokami nowego szacha, rozpędzeniem medżilisu, ostrzeliwaniem posłów z armat, aresztowaniem ministrów postępowych, rozpoczął erę stanowczej i już istotnie rewolucyjnej walki absolutyzmu z nowymi prądami politycznymi.¹⁾

¹⁾ Przybyły w końcu stycznia 1909 r. do Petersburga najbliższy pomocnik pułk. Lachowa, kapitan Uszakov, opowiedział współpracownikowi *Nowej*

Pierwszy szukał oparcia w poselstwie rosyjskiem, drugie zwracają się o pomoc do legacyi angielskiej. Szach oświadczył, że woli być panującym „w cieniu rosyjskim,“ niż poddać się pod władzę parlamentu, który pozbawił go większości praw zwierzchniczych. Zresztą brak jakiegokolwiek silnego oparcia nie pozwala mu na należyte energiczne kroki. Część nieznaczna duchowieństwa odłączyła się od ruchu konstytucyjnego z powodu uznania przez konstytucyę równości wyznaniowej, ale natomiast duchowieństwo sekciarskie przejmuje się się coraz głębiej nowymi ideami.

VI.

„Prace perskich działaczy państwowych—pisało *Nowoje Wremia* w styczniu r. 1908—ułatwione są nieskończenie przez to, że jedyna prawna władza narodowa Persyi, ucieleśniona w szachu i medżilisie, znajduje całkowite poparcie ze strony dwu mocarstw światowych—Rosyi i Anglii. One stoją nad kolebką nowej państwowości perskiej, jak dwie dobre czarodziejki z bajki (*sic!*). Jeżeli Persowie roztrwonią ten szczęśliwy zbieg historyczny, to winna obciąży ich głowy.“

Rusi (numer z d. 29 stycznia t. r.) szczegóły rozgromienia medżilisu i udziału w niem kozaków perskich. Kapitan Uszakov, będący w liczbie innych oficerów rosyjskich—kap. Perebinoskowa i esaula Błaznowa—przy oddziale kozaków, stwierdza, że tłum, zbliżający się do medżilisu dla obrony posłów, nie był uzbrojony. Pod adresem kozaków posypały się przekleństwa i wymysły. Aby powstrzymać pochód, oficerowie rosyjscy zebrali najbliższe oddziały kozaków i zamknęli dostęp ze strony ulicy. Kap. Uszakov zapewnia słowem honoru, że kozaacy mieli rozkaz nie strzelać. Lecz gdy ktoś wystrzelił, z tłumu dano mnóstwo strzałów do kozaków, na które ci odpowiedzieli ogniem kartaczowym. Oficerowie rosyjscy (w chwilowej nieobecności pułk. Lachowa) zastanawiali się, czyby nie należało ustąpić, pozostawiając dalszy bieg rzeczy oficerom perskim, lecz ostatecznie zdecydowano, że byłoby to wzięte za ucieczkę. Zaczęto walkę, poczem, gdy przybył pułk. Lachow, skierowano strzały najpierw na endżumen tebriski, a potem na medżilis, gdzie ukryli się rewolucyoniści. Ci po pewnym czasie poddali się, a wówczas ogień skierowano na pałac Zilli-sułtana, w którym ukryło się wielu Persów. Kapitan Uszakov utrzymuje, że medżilis był zrabowany nie przez kozaków, lecz przez tłum uliczny; natomiast p. Uszakov przyznaje, że pułk. Lachow istotnie rozkazał pozwolić kozakom zrabować pałac Zilli-sułtana i dom Zachir-ed-Doule. „Lecz i tutaj rabowali nie tylko kozaacy; pomagał im tłum Persów.“

Zobaczymy później, jak sami Persowie zapatrywali się na „dwie czarodziejki,“ tymczasem zaś stwierdzmy, że ich czary nic a nic nie pomagają na wyklucie się „nowej państwowości perskiej.“ Przeciwnie, anarchia w Persyi, jak się zdaje, rozszerza się coraz bardziej, a stan rzeczy przybiera takie formy, że obserwator europejski zupełnie go zrozumieć nie może. Konstatuje to nawet bezpośredni świadek wypadków perskich, przyjaciel komendanta kozaków perskich, pułkownika Lachowa, korespondent *Nowego Wremieni*, p. D. Janczewieckij, przyznając się, że *szułuka* (nieporządku) perskiego zupełnie zrozumieć nie może. Ta okoliczność zresztą nie przeszkodzi autorowi, jak to później zobaczymy, doradzać takich środków, przeciw którym Persowie odżegnywają się z największą stanowczością.

Cały rok 1908 przeszedł na manewrach szacha, zmierzających do przywrócenia *status quo*, i cofaniu się z tego stanowiska, skoro tylko opór ludności okazywał się zbyt groźny, a rewolucya, panująca w Azarbejdżanie pod kierownictwem Sattar-chana zdawała się nabierać nowych sił. Sposoby, stosowane przez szacha, nie mają żadnych precedensów w historii rewolucyj europejskich. Tak np. w środku r. 1908 do rezydencyi szacha wezwano kilkuset mieszkańców, nie wybranych przez nikogo. Niwieszcy jednak stawili się; ci zaś, którzy przyszli, zapomocą odpowiednich gróźb wschodnich zostali zmuszeni do podpisania petycji o zniesienie medżilisu. W ten sam sposób zdołano osiągnąć i „wyjaśnienie“ konstytucyi przez duchowieństwo. A potem szach twierdził, że „cały naród“ domaga się zniesienia konstytucyi.

Organ rosyjski, *Nowoje Wremia*, przez który, jak się zdaje, wypowiadały się w sprawach perskich wpływowo koła polityczne, trzymał się początkowo opinii, że postępowanie szacha, sprzeczne z liberalnemi dążeniami narodowemi, nie może być pochwalone. W końcu r. 1908 pisał on: „Decyzya szacha, aby nie zwoływać już przedstawicielstwa narodowego, dotyczy nie tylko jego samego i narodu perskiego, ale i Rosyi. W gruncie rzeczy nic a nic nas nie obchodzi, jaki ustrój polityczny będzie w Persyi wprowadzony, lecz bardzo poważnie jesteśmy zainteresowani, aby w sąsiednim państwie panował spokój i porządek. Metody rządzenia, przyjęte przez szacha, kończą się na tem, że jego własne wojska zmykają przed uzbrojonymi nacjonalistami, lecz za to odważnie grabią bezbronnych, spokojnych mieszkańców. Karawany kupców, idące z Rosyi, szczęśliwie mijają prowincye, będące pod kontrolą nacjonalistów, lecz podlegają napadom i rabunkom ze strony jazdy szacha. Na to Rosya, oczywiście, nie może pozwolić.

Szach, rozporządzający zaledwie 1,500 kozakami teherańskimi, naturalnie, nie jest w stanie narzucić swej woli całej Persyi. Pozostaje mu, jeżeli ma na względzie realne cele porządku państwowego, nie zaś chimery niczem niekrępowanej samowoli, iść ręką w rękę z narodem, nie zaś przeciw niemu. Zwołanie medżilisu na zasadzie rozumnego prawa wyborczego może ocalić monarchię perską. Zboczenie z tej drogi, którą wskazują wszystkie nagromadzone okoliczności, grozi anarchią, której nie zniesie ani Rosya, ani Anglia, ani Turcya.

Doprowadzić Persyę do stanu anarchii, oddać poszczególne jej prowincye na łup sąsiada, wywołać na gruncie rozbioru Persyi spory i swary pomiędzy Rosyą, Anglią i Turcyą — oto zadanie polityków, którym idzie o to, aby odwrócić uwagę wielkich mocarstw od Bliskiego Wschodu.“

Aby dać czytelnikowi zarówno obraz stosunków, panujących obecnie w Persyi, jak pojęcie o pojmowaniu ich przez samych Persów, przytoczę rozmowę z dyplomata perskim, jaka zjawiała się w końcu r. 1908 w pismach rosyjskich.

— Mojem zdaniem — mówił dyplomata perski — położenie w Persyi, w danej chwili, jest bardzo poważne, być może nawet poważniejsze, niż myślą dyplomaci europejscy. Nowe życie, które otworzyło się przed naszym narodem dzięki medżilisowi i projektowanym reformom, obudziło w całym kraju wielką nadzieję w lepszą przyszłość, w sprawiedliwość. Spodziewano się, że wykorzystaną będzie zupełnie ta samowola, która tak wielce dała się we znaki Persyi i tak strasznie obrażała naszą godność narodową. Szach stał się w tej chwili najpopularniejszym człowiekiem, niemal bohaterem ludu. I oto nagle grono reakcyonistów, myślących wyłącznie o swych osobistych korzyściach, wpłynęło na szacha, złamało jego przyrzeczenia i wniosło do kraju zupełną anarchię. Odrazu, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ukazały się dwa obozy: ludzi, pragnących przywrócić przeszłość i przedstawicieli nowych zasad. Wywiązała się walka, w której wziął żywy udział szach, będący dziś pod wpływem kliki, bynajmniej nie bezinteresownych politykomanów.

— Mogę pana zapewnić, że walka to wcale nie na żarty, to też dyplomacya europejska zgoła niesłusznie przypuszcza, że i tym razem, jak dawniej, będzie miała do czynienia z niezdecydowanym narodem, nie wiedzącym, dokąd dąży. W ostatnich dniach w dziennikach pisano o okupacyi Persyi. Od wielu lat mieszkam teraz w Rosyi, lubię ten kraj, to też przykro mi nawet myśleć o tem,

że rząd rosyjski zdobędzie się na taki krok, który uważam, co najmniej, za błędny.

— Chcesz pan wiedzieć—dlaczego? Proszę mnie posłuchać. Okupacya będzie przyjęta w kraju powszechnem oburzeniem i cała Persya, jak jeden mąż, powstanie przeciw Rosyi, która wczoraj jeszcze była jej protektorką. Ta walka wydaje mi się straszną i bardzo ciężką, ponieważ będzie uważana w Persyi za protest Rosyi przeciw zasadom konstytucyjnym i *eo ipso* za popieranie reakcyi, tak nienawistnej dla naszego narodu i tak strasznie go dręczącej. Prócz tego nie można zapominać o Kaukazie, gdzie podobne postępowanie Rosyi nie może nie pozostać bez wpływu. A tymczasem Rosya mogłaby odegrać wybitną rolę, mogłaby znowu stać się popularną i obudzić dla siebie uczucia głębokiej wdzięczności. Kiedy p. Hartwig, przedstawiciel Rosyi w Teheranie, popierał nowe zasady, mówił z szachem o otwarciu medżilisu, wtedy powaga Rosyi powróciła i znowu zaczęto mówić o jej ogromnym wpływie na bieg naszych wypadków. Później jednak zaszła zmiana: z czynnego działacza p. Hartwig przeszedł do roli obojętnego obserwatora.

Taka taktyka dyplomacyi rosyjskiej dała ogromny atut w ręce reakcyonistów, którzy umieli zeń skorzystać i mocno ugruntowali się u szacha. Jeszcze bardzo temu niedawno, osoba, zajmująca wysokie stanowisko w rosyjskiem ministerjum spraw zagranicznych, mówiła mi, że p. Hartwig, stosownie do instrukcyi, będzie domagał się bezwarunkowo otwarcia medżilisu w połowie listopada, przyczem też sama osoba zapewniała mnie, że rząd rosyjski nie może nie popierać programu odnowienia Persyi, widząc w jego urzeczywistnieniu rękojmię pokoju i rozwoju kraju.

Słowa jednakże klóciły się z czynami miejscowych agentów rosyjskich. Nie mogę tutaj nie zwrócić uwagi na rolę pułkownika Lachowa.¹⁾ Ten ostatni, będąc, co prawda, na służbie u szacha, jest typowym przedstawicielem partyi reakcyjnej, lecz, nosząc mundur rosyjski, do pewnego stopnia zadał cios tej pracy, która została rozpoczęta przez p. Hartwiga, stosownie do instrukcyi, otrzymanych z Petersburga. Wszędzie zaczęły się rozlegać głosy o nieszczerości Rosyi, która z jednej strony, jakby życzliwie witała nowe powiewy, a z drugiej — zadaje im groźne ciosy.

¹⁾ Z powodu tego pułkownika, jak wiadomo, frakcyja socyalno demokratyczna wniosła w Dumie rosyjskiej, w grudniu r. 1908, interpelacyę. Nagłośno tej ostatniej wszakże odrzucono znaczną większością głosów.

Ta dwulicowość, w której narodowi perskiemu trudno się połąpać, przynosi mojem zdaniem niemałą szkodę sprawie rosyjsko-perskiej i daje atuty do ręki tym, którzy pragną wywołać różne zawiąkania.

Liczba przeciwników szacha wzrasta z każdym dniem. Azarbejdżan jest prawie zajęty przez konstytucjonalistów, którzy będą walczyli do ostatniej kropli krwi. Wojsko szacha jest w bardzo smutnym stanie, panuje w niem niezadowolenie, żołnierze spełniają rozkazy bez wiary w słuszność swej sprawy. Jeszcze trochę czasu—i wojska te poddadzą się. Dla mnie, Persa, znającego istotny stan rzeczy, nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Przeciwnicy szacha są dobrze uzbrojeni i obecnie liczba ich sięga kilku tysięcy. Na czele ruchu stoi Sattar-chan—człowiek bardzo stanowczy i energiczny. Popularność jego rośnie z dniem każdym. Powstrzymuje swych zwolenników od fałszywych kroków i pomimo istniejącej w kraju anarchii, dotychczas nie było wypadków napadu na Europejczyków a, o ile mi wiadomo, zawdzięczać to należy wyłącznie Sattar-chanowi.

Wracamy do kwestyi okupacyi. Pers powtarza, że stanowcze kroki Rosyi w tym kierunku wywołają ogromne zawiąkania, i wątpić należy, czy doprowadzą do pożądaných rezultatów.

— Mogę pana zapewnić, że młoda Persya będzie się umiała obronić. W danym razie Rosya zetknie się z ruchem narodowym, do którego wniesiono nie mało marzycielstwa wschodniego i głębokiej wiary.

Zapytuję Persa, jak według jego zdania musi się skończyć obecne przesilenie i komunikuję mu ostatecznie telegramy, że szach postanowił przywrócić poprzednią formę rządów.

— Pomimo otrzymanych z Londynu wiadomości o powrocie do dawnej formy rządów, jestem pewny zwycięstwa młodych sił. Szach robi ogromny, być może nawet fatalny błąd, że nie dotrzymuje danego słowa.“

Jak widzimy, dwa główne punkty, które obchodziły przede wszystkim dyplomatę perskiego, było to: postępowanie szacha i polityka angielsko-rosyjska, nadewszystko rosyjska. Tę samą troskę wykazał jeden z duchownych perskich, członek *agajuna* w Nedżefie (rodzaj duchownego synodu), *muszteid* Mirza-Ali, który około 1 stycznia 1909 r. przybył do Petersburga celem zapoznania społeczeństwa rosyjskiego ze stanem rzeczy w Persyi i z działalnością w niej agentów mocarstw zagranicznych. W rozmowie z dziennikarzem ten odpowiedzialny przedstawiciel narodu per-

skiego wypowiedział główne poglądy na bieg nowych spraw w Persyi.¹⁾

— Naród perski—mówił—nie uspokoi się, dopóki nie otrzyma konstytucyi. Absolutyzm doprowadził kraj nasz do uędky, samowoli, bezprawia i rozruchów wewnętrznych. Ten system rządzenia jest zbyt skompromitowany u nas, aby naród zgodził się na powrót do niego. U nas niema stronnictw skrajnych. Niema demokratów socyalnych, niema socyalnych rewolucjonistów, anarchistów i t. p. Jest tylko zmęczony naród perski, żądający swobód nie chimerycznych, lecz umiarkowanych i realnych. Śmiem sądzić, że wraz z urzeczywistnieniem najelementarniejszych rękojmi konstytucyjnych i trwałego ustanowienia ustroju przedstawicielskiego naród perski, jak jeden człowiek, uspokoi się niezwłocznie. Upór szacha wywoła tylko nowe ofiary, ale nie złamie energii narodu. Bez pieniędzy, bez armii, bez współczucia mas ludowych, jeśli nie liczyć drobnej garści reakcyjnej szlachty, i bez duchowieństwa szach nie odniesie zwycięstwa nad ludem. *Ważnem jest tylko, aby mu nie nadeszła pomoc zzewnątrz.*

Na zapytanie, czy są powody do obawy przed taką pomocą, *muszteid* odparł:

— Po umowie angielsko-rosyjskiej urzędownie ogłoszono zasadę nieinterwencyi w sprawy wewnętrzne perskie. Lecz, niestety, wypadki z ostatnich dni wzbudzają pod tym względem niemało wątpliwości. Zaczynamy obawiać się, że zasada ta pozostanie jedynie na papierze. Pod tym względem szczególnie podejrzaną jest działalność agentów rosyjskich, w szczególności otwarte postępowanie pułk. Lachowa. Bywały nawet wypadki, że Lachow nie słuchał rozporządzeń szacha. Persowie więc nie wiedzą, kogo czynić odpowiedzialnym za odpowiedzialność tego pana.²⁾ Dużo wątpliwości wywołuje także działalność urzędowych przedstawicieli dyplomacyi rosyjskiej w Persyi, np. pierwszego dragomana Baranowskiego i konsula Pachitonowa, których u nas, w Persyi, uważają nietyle za przedstawicieli dyplomacyi rosyjskiej, ile za zwolenników reakcyjnego rządu perskiego. Działalność tych osób wydaje nam się tem więcej niezrozumiałą, że klóci się ona z urzędowemi deklaracyami rządu centralnego i uroczyście wygłoszoną z trybuny Dumy zasadą nieinterwencyi.

¹⁾ Pt. dziennik *Riecz*, № 322, z 13 stycznia 1909 r. (31 grudnia 1908 r.).

²⁾ W rozmowie ze współpracownikiem *Russk. Słowa* tenże Mirza-Ali nazwał pułk. Lachowa „dyktatorem Persyi.“

Z powodu traktowanej w tym samym czasie pożyczki perskiej w Rosyi *muszteid* dał opinię taką:

— Obecnie w Petersburgu bawi przedstawiciel szacha, dygnitarz reakcyjny Ala-el-Mulk, przybyły do Rosyi z kapitanem Uszakowem celem pertraktacyi w sprawie zawarcia we Francyi pożyczki perskiej, gwarantowanej przez Rosyę i Anglię. Z jakich pobudek Rosya może się zgodzić na gwarantowanie pożyczki, od której wszystkie korzyści dostaną się kapitalistom francuskim, tego nie wiemy. Lecz, gdyby Rosya skorzystała z tego w jakiś sposób materyalnie, to i wtedy rosyjska opinia publiczna nie może pozostać obojętną wobec celów, dla których pożyczka jest zaciągana. Nie jest to bowiem dla nikogo tajemnicą, że otrzymane w ten sposób pieniądze pójdą całkowicie na walkę z narodem i jego prawnymi dążeniami do wolności.

W kilka dni potem Mirza-Ali wzmocnił jeszcze te uwagi listem do redakcyi *Rieczy*,¹⁾ w którym między innymi pisał:

— Nam nie są potrzebne ani pieniądze, ani interwencya. My prosimy tylko o jedno: aby agenci europejscy nie popierali żadnej partyi, aby nie mieszały się do tych spraw, które najlepiej rozstrzygnie sama ludność. U nas znajdują się i ludzie, i środki, niezbędne do rozpoczęcia nowego życia.

Na razie też mogło się zdawać, że rządy Rosyi i Anglii będą się trzymały zasady nieinterwencyi. Przybyły w listopadzie r. 1908 do Petersburga poseł rosyjski w Teheranie, p. Hartwig, w rozmowie z dziennikarzami zapewniał, że należy „uchylać się troskliwie od interwencyi *zbrojnej*,” ale jednocześnie wyraził się ostro o rewolucjonistach perskich z Azarbejdżanu. Uwagę także zwróciło dwuznaczne wyrażanie się posła o postępowaniu pułk. Lachowa. Zresztą p. Hartwig uchylił się od wyraźniejszych enuncyacyj.

Wyřczył go w tem wymieniony wyżej korespondent *Nowego Wremia*, p. Janczewickij, który w końcu r. 1908 zaczął przygotowywać opinię rosyjską do myśli o okupacyi Persyi. Tok jego argumentów, rozwijanych w szeregu obszernych listów, był taki. Rząd perski nie chce dać narodowi reform. Naród nie umie i nie może wziąć reform siłą. Wskutek tego następuje „głupia sytuacya bez wyjścia, która ciągnie się od czasu rozgromienia medżilisu.“ Rozgromiwszy 23 czerwca 1908 r. medżilis, szach Mahomet-Ali dotychczas nie daje ludowi ani jednej reformy, nie zbli-

¹⁾ Pl. № 6 z 20 stycznia 1909 r.

żył do tronu ani jednego działacza, korzystającego z zaufania powszechnego i zdolnego do rozpoczęcia reform. A więc: jedyne wyjście interwencya zewnętrzna. „Interwencya Rosyi i Anglii powinna wyrazić się w formie mianowania zagranicznych agentów-doradców do głównych gałęzi administracyi, w celu urzeczywistnienia rosyjsko-angielskiej kontroli nad działaniem rządu w kraju, cierpiącym wskutek braku władzy i bezprawia.“

Poglądy przyjaciela pułk. Lachowa przyswoiła sobie bardzo prędko redakcyja *Nowego Wremia*, która, zapominając o tem, o co dopominała się przed dwoma laty, pisała d. 19 stycznia r. 1909 już w artykule wstępnym: „Ani Rosya, ani Anglia nie mogą pogodzić się z takim stanem rzeczy (t. j. z anarchią w Persyi). Oba mocarstwa włożyły w Persyę setki milionów. Oba mocarstwa mają prawo żądać zabezpieczenia swych wydatków przez stanowczy i niesporny porządek prawny. Jeżeli ani władza historyczna, ani naród niema sił do zapewnienia w kraju bezpieczeństwa, to zadanie takie powinny wziąć na siebie Rosya i Anglia. Agenci szacha starają się o znaczną pożyczkę w Europie. Odmówić temu, to byłoby narazić Persyę na ciężkie doświadczenia. Zaspokoić te żądania bez wszelkich warunków, to byłoby ryzykować nowe eksperymenty w rodzaju do niczego nie prowadzących rozstrzelań i tłumień. Wnioski z tego dylematu są widoczne.“

Ten pogląd w ostatnich czasach zaczął być widocznie podzielany i przez sam rząd perski. Agencya Reutersa rozesłała w końcu stycznia r. 1909 *interview* z perskim ministrem spraw zagranicznych, w którym ten ostatni *wypowiada się za interwencyą angielsko rosyjską*. Według słów jego, sami Persowie nie mogą przeprowadzić reform, bo wśród nich niema ludzi z dostatecznym autorytetem. Także daje się silnie odczuwać brak pieniędzy. Żołnierze i urzędnicy oddawna nie otrzymali pensyi. Zdaniem ministra, należy koniecznie zaciągnąć pożyczkę w wysokości 20 milionów funtów sterl.

Jak się zapatrywała Anglia na sprawę interwencyi?

W początkach stycznia r. 1909 *Vossische Zeitung* komunikowała „z dobrze poinformowanego źródła angielskiego,“ że wskutek uznania przez rząd angielski niemożliwości przedłużania się obecnej anarchii w północno-zachodniej części Persyi wkrótce między Anglią a Rosyą będzie zawarta nowa umowa, której mocą Rosya zajmie prowincyę perską Azarbejdżan. Jednocześnie prawie *Daily Telegraph*, organ zbliżony do ministerium spraw zewnętrznych, także zapowiadał rychły rozbiór Persyi między Anglią i Rosyą. Anglicy mieliby zabrać brzeg południowy, rozsze-

rzając w ten sposób granice swych posiadłości indyjskich i zbliżając się do Egiptu. Zajądą ważne wypadki — pisała wobec tego *Munch. Allg. Ztng.*

Te pogłoski wywołały opublikowanie w pismach angielskich listu „komitetu perskiego,“ założonego przez kilku deputowanych i działaczy politycznych angielskich celem obserwowania biegu spraw perskich. List był podpisany przez prezesa komitetu, posła Lyncha, i vice-prezesa, prof. Brauna. Autorowie zaznaczają, że pogłoski o interwencji wywołały w społeczeństwie angielskiem zrozumiałe obawy. „W czasie poprzedniej sesji różni członkowie gabinetu przedstawiali politykę angielsko-rosyjską w Persyi, jako politykę nieinterwencji. Tak mówił premier w Guildhall'u. Takichże odpowiedzi udzielał sir Edward Grey i jego koledzy w Izbie gmin na interpelacye Dillona i Lyncha. O polityce nieinterwencji mówił również poseł angielski w Teheranie w notach do rządu perskiego. Jakież nowe fakty nastąpiły w ostatnich dwu tygodniach, któreby usprawiedliwiały to uchylenie się od poprzedniej polityki obu rządów? Czyż interesy rosyjskie w Persyi północnej, gdzie Anglia także posiada poważne interesy, byłyby narażone na jakieś niebezpieczeństwo? Czyż grozi cokolwiek życiu i mieniu poddanych rosyjskich? Przeciwnie, na naradach ministrów rosyjskich w Petersburgu wyjaśniono, że handel rosyjski w Persyi północnej ucierpiał tylko nieznacznie i że poddanym rosyjskim nie grozi żadne poważne niebezpieczeństwo. Według nowych wiadomości, w istocie handel angielski ponosi straty w prowincjach południowych, gdzie zaczęły się rozruchy, wywołane przez absolutyzm perski; tymczasem kupcy angielscy nie uskarżają się na taki stan rzeczy. Prawda polega na tem, że w Persyi konstytucyonalisci są w przededniu zwycięstwa nad kamaryllą szacha. Emisaryusz szacha, Ala-el-Mulk, stara się teraz w Petersburgu o pożyczkę dla dalszej walki z konstytucyonalistami. Gdyby mu tej pomocy odmówiono i gdyby pp. Lachowowie ograniczyli się stanowczo pozycją neutralną, to niema wątpliwości, że siła okoliczności złamałaby opór szacha. Obecnie interwencya rosyjska, przy rosyjskim systemie reform dla Persyi, nieprzyjętym przez naród perski, pociągnęłaby za sobą jedynie niebezpieczeństwa.“

O liście tym *Daily News* pisała natychmiast z wielkiem uznaniem, zaznaczając, że do interwencji niema żadnych powodów. „W konstytucję perską według schematu rosyjskiego nie wierzymy. Naród perski bierze górę w walce z szachem. Poczóż więc wybrano tę chwilę do interwencji? Bez kozaków i dypl-

matów Persowie potrafią przywrócić porządek w kraju, gdzie anarchia pochodzi wyłącznie od szacha.“

W końcu stycznia r. b. bardzo duże zrobił wrażenie artykuł *Timesa*, zwracający się silnie przeciw anarchii w Persyi ¹⁾, ale dość niewyraźnie mówiący o interwencji. W streszczeniu brzmiał on: „Cały mechanizm rządowy w Persyi rozpada się na części. Państwa wschodnie, będące w stanie rozkładu, są zupełnie nieznośnym zjawiskiem dla cywilizowanych sąsiadów. Najwidoczniejszą jest konieczność zwrócenia przez Anglię i Rosyę kategorycznej uwagi, że szach będzie pozostawiony własnemu losowi, jeśli nie będzie się kierował udzielanymi mu wielokrotnie radami. Skarb perski jest pusty; szach nie może otrzymać w Europie ani grosza bez zgody rządów angielskiego i rosyjskiego. Jesteśmy przekonani, zgoda ta będzie obstawiona bardzo surowymi warunkami, zawierającymi w sobie przywrócenie medżilisu, ustanowienie regularnego budżetu i przeprowadzenie szeregu reform w dziedzinie administracji.“

Tak więc widzimy, że, dotąd przynajmniej, dwie dyplomacye „najbardziej zainteresowane“ nie pracują w Persyi ręka w rękę. Jedna sprzyja nowemu ruchowi, zapewnia w swych konsulatach *best* rewolucyonistom perskim, udziela „stanowczych rad“ szachowi, pomaga ludności do pozbycia się reakcyjnych gubernatorów—druga, według wyrażenia posła Hartwiga, działa w sposób nieskoordynowany, ale raczej z przewagą kierunku pułk. Lachowa. Do tego dodać należy dyplomacye: turecką, która nigdy nie była życzliwą dla Persyi, a obecnie stara się utrudnić położenie rzeczy w sąsiednim państwie (zajęcie w końcu r. 1907 terytorium perskiego około Urmii) i niemiecką, która, zaskoczona umową angielsko-rosyjską z r. 1906, stara się teraz skorzystać z zaburzeń perskich, aby zająć tam jakąś mocniejszą placówkę. W swoim czasie dzienniki donosiły, że w medżilisie powitanie posła niemieckiego przyjęto „z zapalem.“ W Teheranie założono niedawno szkołę niemiecką, która miała się od razu zapełnić „synami najlepszych rodzin krajowych.“ Utworzono tam także bank niemiecki, a podróże po Persyi organizatora jego oddziałów prowincjonalnych narobiły przed 1½ rokiem wiele hałasu. Szach sprowadził wreszcie kilku instruktorów wojskowych niemieckich.

¹⁾ W tym czasie wzmocił się ruch rewolucyjny w Ispahanie i na granicy rosyjskiej prowincyi Zakaukaskiej, a także powiększyły się swawole rozbójników Kurdzkich.

W końcu stycznia r. 1909, wobec powtarzających się pogłoszek o interwencji rosyjsko-angielskiej w Persyi, rządowa *Agencya Tel. Petersburska* ogłosiła komunikat następujący: „W prasie rosyjskiej i zagranicznej doniesiono, że między rządem rosyjskim a wielobrytańskim toczą się obecnie pertraktacye w sprawach perskich. Ag. Pet. z wiarogodnego źródła dowiedziała się, że Rosya i Anglia zgoła nie mają zamiaru odstąpić od zasady nieinterwencji w sprawę wewnętrzne Persyi. Jednocześnie oba rządy uważają, że stan rzeczy w Persyi pilnie domaga się zaprowadzenia w tym kraju *praktycznej formy* rządów przedstawicielskich, która mogłaby sprzyjać niezbędnym reformom gospodarczym, finansowym i administracyjnym. Rozruchy, trwające obecnie w Persyi, stanowią niebezpieczeństwo dla licznych interesów ekonomicznych Rosyi i Anglii w tym kraju. Oba rządy przeto w dalszym ciągu wymieniają między sobą opinie w tym przedmiocie, w celu udzielenia szachowi rad w wyżej wymienionym duchu.“¹⁾ Komunikat powyższy spotkał się na szpaltach liberalnej prasy rosyjskiej, bardzo energicznie występującej wogóle przeciw interwencji, ze sceptycyzmem. „Są różne postaci i stopnie interwencji—pisała *Riecz*—jak istnieją różnego rodzaju neutralności.“

Natomiast *Nowoje Wremia* pisało: „Pierwsza próba z medzilisem okazała się niefortunna. Ale niefortunnym był także i absolutyzm szacha. Pozostaje uczynić nowe doświadczenie i w tym kierunku idą rady dyplomacji rosyjskiej i angielskiej. *Być może, że nie wszyscy przedstawiciele Rosyi w Persyi przyswoili sobie tę myśl*; tych niezręcznych przedstawicieli należy usunąć i mianować innych. Lecz w rosyjskim rządzie dyplomatycznym centralnym widocznie jest uznawana nowa droga, wskazywana przez okoliczności.“ Pismo to zresztą w dalszym ciągu z naciskiem zaznaczało, że mu jest wszystko jedno, jaka będzie forma rządu w Persyi, i usilnie powstrzymywało się od wyrażania sympatii dla prądów liberalnych. Pisma angielskie różnych kierunków, jak np. *Daily News* i *Standard*, po dawnemu protestowały przeciw udzielaniu szachowi pożyczki, która, według wyrażenia *Standarda*, „byłaby użytą na wzmocnienie absolutyzmu.“ Jednocześnie w prasie an-

¹⁾ W parę dni później, d. 25 stycznia 1904 r., *Foreign Office* opublikował ze swej strony komunikat w sprawach perskich, analogiczny z rosyjskim. Jedyną różnicę stanowi to, że komunikat angielski mówił o konieczności zaprowadzenia w Persyi rządu *konstytucyjnego*, gdy rosyjski tego terminu nie użył.

gielskiej rozległy się pod adresem Niemiec wyrzuty, że rząd z *Wilhelmstrasse* podnieca Turcyę przeciw Persyi, że zachęca do ruchów wojsk tureckich na granicy perskiej i t. d.

*

*

*

Jak z tego zamętu fatalnego, powiększonego jeszcze przez krzyżujące się zabiegi dyplomacyi europejskiej, wyjdzie Persya, i czy wyjdzie obronną ręką?

Na to pytanie dzisiaj nikt chyba nie byłby w stanie odpowiedzieć. W Persyi jest wszystko do zrobienia i do odrobienia. Ten budynek stary, to dziedzictwo Sassanidów, Mongołów i Sefidów, jest w zupełnej ruinie, jako organizm państwowy. Obecnie chodzi o to, aby, pogodziwszy tradycje narodowe i historyczne z doświadczeniami europejskimi, dać krajowi nowe podstawy administracyi, systemu finansowego, organizacyi szkolnej i sądowej. Mniej pilną wydaje się sprawa reorganizacyi armii, bo kraj jest lepiej broniony przez współzawodnictwa dyplomacyj, niż przez siły militarne. Czy temu wielkiemu zadaniu sprosta naród perski? Z podróżników, którzy niedawno temu byli w Persyi, poznali tamtejsze stosunki i tamten naród, większość—jak widzieliśmy wyżej— wyraża się z uznaniem o przymiotach moralnych i kulturalnych Persów, ale z zastrzeżeniami o ich przymiotach państwowych. Major Sykes posuwa się nawet tak daleko, że bierze w obronę administracyę perską, mówiąc: „Pisarze, przybyli z Europy lub z Indyj, są wogóle, według mego skromnego zdania, zbyt surowi w swych sądach o stanie rzeczy w Persyi.“¹⁾ Autor utrzymuje, że kultura Seistanu wzrosła pod panowaniem perskiem. P. Aubin, który opuścił Persyę w r. 1907, pisze, że dzieło odrodzenia Persyi wydaje mu się przechodzącem, w chwili obecnej, zdolności Persów. „Ich zetknięcie się z Europą jest jeszcze zbyt niedawne, aby mogli przyswoić sobie naszą kulturę.“ Zresztą autor zaraz dodaje, że działalność medżilisu i endżumenów, jakkolwiek krótka, zdołała już wpłynąć kształcąco na opinię publiczną i ukrócić nadużycia urzędników. „Między

¹⁾ L. c. Str. 202.

Koroną a przedstawicielstwem ludowem jest miejsce na porozumienie się i ono przyszłoby prędko, gdyby współzawodnictwo angielsko-rosyjskie zechciało oszczędzać Persyę.⁴ 1)

Poza rzeczonem współzawodnictwem, a raczej poza wpływami europejskimi, mającemi, jak się zdaje, w tej chwili istotne znaczenie w przewlekaniu się anarchii perskiej, pewną wartość będzie tu także miał bieg wypadków w Turcyi, z którą nietylko sąsiaduje Persya na bardzo rozciągniętej granicy, ale z którą także ludność perska ma wielce rozgałęzione stosunki, przedewszystkiem religijne (pielgrzymki szyitów do Mezopotamii, Iraku i Arabii, do Nedżefu, Kerbeli i Mekki), a następnie handlowe i inne. Jeśli w Turcyi ustali się nowy system rządów, to fakt ten nie będzie mógł pozostać bez wpływu moralno-politycznego i na Persyę, i to znacznie większego, niżby go mogły zapewnić rady i doświadczenia ze starych ognisk liberalizmu — Anglii i Francyi. Także ustalenie się silnego rządu liberalnego w Turcyi poskromiłoby barbarzyńskie plemiona kurdzkie, siejące zamęt zarówno w obu sąsiadujących krajach. Tak więc mamy tu splot stosunków zobopólnych, których wypadkowa — czy będzie na korzyść Persyi? — o tem dopiero nie tak rychła zapewne przyszłość da swój mniej więcej ostateczny wyrok.

BOLESŁAW KOSKOWSKI.

1) L. c. Str. 213, 214.

POŚREDNICTWO AUSTRYACKIE W POWSTANIU LISTOPADOWEM

(Wystąpienie Skrzyneckiego).

Zaraz po wybuchu listopadowej zawieruchy zajęła Austria, podobnie jak w czasie powstania Kościuszkowskiego, stanowisko wyczekujące, udawała pozory obojętnego widza, strzegącego się wniechania do „wewnętrznej kwestyi“ rosyjskiej. W rzeczywistości uderzało każde drgnienie za kordonem młotem w nerw wie-deńskiej dyplomacyi i roztwierało przed nią morze zamęczonych i niezamkniętych rachunków. Z czujnością żórawia stał na strażnicy warszawskiej generalny konsul i metternichowski konfident, baron Oechsner, człowiek poważny, światły, zżyty towarzysko z Polską przez ożenek z hr. Justyną Rusocką, urodzoną Kalinowską. Po krwawej tragedyi na ulicach Paryża i rozlewnej mocy jej działania na szerszym widnokręgu, wyraził się przed nim Wielki Książę Konstanty, że Austria nie stoi na pewnych nogach ani we Włoszech, ani w Galicyi, „bo Polacy są zawsze niespokojni, wiem coś o tem, a wreszcie zanadto obdzieracie ich ze skóry...“¹⁾ W podobnie tajemniczych przeczuciach tonął duch chorążego wszelkich politycznych łądów i składów, Metternicha, wietrzącego wszędzie trąd karbonaryzmu. Metternich — to ówczesna Austria, naodwrot Austria — to Metternich. Cesarz Franciszek odgrywał w stosunku do kanclerza rolę czeskiego, potakującego Władysława, znanego pod mianem króla-dobrze. Uczucia swoje zamknął

¹⁾ Archiwum dworu i państwa w Wiedniu, Berichte aus Warschau. (Konsulate 59, 60). Oechsner do Metternicha. 16 września 1830 r.

musiał szczerze w piersi przed własnym pierwszym urzędnikiem. Gdy chrząst oreża rozległ się nad Wisłą, wyrwało mu się powiedzenie: „Pragnąłem w początkach walki ofiarować pośrednictwo, lecz Metternich nie chciał się na nie zgodzić. Ta Polska ciąży mi na sumieniu; byłbym gotów oddać jej Galicyę, której posiadanie opartem jest na zbrodni, a która zresztą nie jest potrzebną monarchii austryackiej.“¹⁾ Stać było i Metternicha na tanie czułości. Przed pruskim posłem w Wiedniu, Buelowem, zwierzał się, iżby dobrowolnie odstąpił Galicyi za cenę odbudowania dawnej Polski.²⁾ W głębi jednak duszy odtrącał tę myśl, pożądanie, jak złe widmo i wroga jego formuł i systemów. Wystraszony, upiory tylko buntu widzący twórca „świętej ligi,“ walczył na prawo i lewo z wiatrakami urojonych zaburzeń, chodził w pióropuszu sławy, nałożonej mu na skostniałe skronie przez kapryśny dziejowy, któremu podobało się zapisać nazwisko dyplomatycznego biuralisty na czele egzekutorów-niszczycieli spadku napoleońskiego. Chodził z tym olbrzymim ciężarem, wmawiając w siebie i drugich wielkość, rozdęty ponad miarę i wiarę, złowróźbny ptak na gruzie kolosa, monotony, zawsze te same kuranty wydzwaniający zegar w starym lamusie. Już Andrzej Zamoyski zauważył, że dwa jedynie uczucia trafiały do niego: próżność i bojaźń. Metodysta uparty i niemniej zawzięty, jak cudaczny niegdyś pruski minister, Hertzberg, poświęcał wszystko dla doktryny legalizmu i trzymania się berlińsko-petersburskiego dyszla. Na polu moralnych kierunków chciał być nauczycielem i ewangelistą całej Europy, jeżeli nie świata, pokazywał ciągle zwierciadło z odbiciem francuskiego teroru rewolucyjnego i z rozmachem krzyżowca, bez jego poezyi i wizjonerstwa, wzywał ludzkość do strzeżenia świętych dóbr porządku i praw społecznych. Każdy odruch odradzającej się literatury, każde wyciągnięcie dłoni z pętów, przybierało w jego oczach potęgę złej siły, pragnącej wywołać zażegnane wspomnienia. Maniak i sekciarz po swojemu widział tylko sekciarzy i dlatego przybrałby chętnie wszystkich w kapelusze stosowany, szpadę i guzy urzędnicze,—byle mieć kontrolę. Nie pozbawiony pewnych talentów, wykształcenia, zręczności, stawał się przy wązkim punkcie patrzenia i nadmiernych wpływach, rozstrzygającą dla Polski sprężyną.

¹⁾ „Moje przeprawy.“ Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyskiego. Wydał A. Kraushar. Kraków, 1906. T. I. Str. 75.

²⁾ Stern: Geschichte Europas. IV. Band. Stuttgart u. Berlin. 1905. Str. 145.

Objawienie się i wyładowanie niezadowolenia w Królestwie w sposób gwałtowny, wystarczało kanclerzowi zupełnie, aby je umieścić w swojej rewolucyjnej szufladce i zakwalifikować, jako dalszy ciąg... włoskiego węglarstwa. „Gdyby na nieszczęście powstanie wasze udało się—rzekł do Zamoyskiego—byłoby to dla Europy zarazą, tryumfem karbonaryzmu, robakiem, toczącym obecnie wszystkie państwa.“ Do Trauttmansdorfa pisał: „Od pierwszej chwili utworzenia Królestwa Polskiego, uchodziło ono w moich oczach za skład prochu. Ogień musiał tam w jednym lub drugim dniu wybuchnąć.“¹⁾ Przed austriackim posłem w Petersburgu, hr. Fiquelmontem, nazwał listopadowe zajścia „dziełem zbrodniczem,“ wynikiem błędu, popełnionego w czasie uspokojenia Europy.²⁾ Gnioła go przedewszystkiem troska o „przesilenie wewnętrzne,“ o zerwanie się Galicyi i to w chwilach, gdy monarchia w zaalpejskich posiadłościach poskramiać musiała wyzwolenie próby. Uspokajające wiadomości od gubernatora, ks. Lobkowitza, ze Lwowa, podyktowały mu słowa radości w liście do cesarza: „Do kraju Waszej Cesarskiej Mości nie weisną się nieprzyjacielskie bandy; to błąd narzucony dyktatorowi przez konieczność.“³⁾ Dla Metternicha, pieczętarza kongresu wiedeńskiego, była sprawa polska cofnięciem się do napoleońskiego okresu złud. A właśnie nie chciał widma z grobu wywoływać. Uważał przedsięwzięcie za zgubne, za romans, życzył mu najprędzszego zatopienia, bodaj w morzu krwi. Nie mylił się nikt, co do najwewnętrzniejszych skłonności kanclerza, kto się do niego zbliżył. Zamoyski zarejestrował w pamiętnikach: „Postanowił pomódz do zduszenia nas najprędzej;“⁴⁾ Konstanty Czartoryski donosił zaś Rządowi Narodowemu: „Metternich sam jeden jest nam przeciwny, a jego głos wszystkie inne przemaga.“⁵⁾

W tem, co Metternich robił i czego chciał, tkwiła pewna bezpośredniość przyczyn, leżąca także poza obrębem zwietrziałych lęków o karbonaryzm. Bał się, aby wskrzeszona Polska nie podała ręki Węgrom i nie pomogła im do wzięcia rozbratu z Austryą; bał się wszelkiego odkopywania „pogrzebanej kwestyi,“ żeby nie oddziaływała na zabór habsburski i podminowane wenecko-lom-

1) Aus Metternich's nachgelassenen Papieren. 5 Band. Wien 1882. Str. 80.

2) Tamże. Str. 83.

3) Tamże. Str. 76—77.

4) Zamoyski: „Moje przeprawy.“ T. I. Str. 73.

5) Barzykowski: „Historja powstania listopadowego.“ T. IV. Str. 144.

bardzkie posiadłości; ¹⁾ pozatem płacił dług wdzięczności w Petersburgu za stanowisko Pozzo di Borgo, który w czasie tłumienia zaalpejskiego buntu, zapowiedział imieniem Rosyi Ludwikowi Filipowi, że zażąda zwrotu akredytyw, na wypadek opozycyi Francyi. ²⁾ Szczwany, układny, krył się Metternich za swego mocodawcę-cesarza, za nastawiony parawan majestatu, gospodarując za nim samowładnie. Czasami znajdował dziwaczne akcenty miłości i kokieteryi, zapewniając: „kocham Polskę, kocham bardzo, lecz spokojną...“ Gdy szlachetny Andrzej Zamoyski malował rozpaczne położenie swoich i z gestem najwyższego cierpienia wyciągał dłonie o pomoc, usłyszał westchnienie: „biedny kraj!“ z natychmiastowym dodatkiem: „ale to nie moment właściwy!...“ O kamienny i głuchy upór takiego człowieka rozbić się musiały wszelkie oczekiwania powstania. Ofiarowało ono jeszcze za dyktatury Chłopickiego koronę zwycięzcy z pod Aspern, arcyksięciu Karolowi,—dla przeciągnięcia sąsiedniej monarchii na swą stronę. Z powodu wyłonienia się tej kombinacyi padły figuralne słowa Oechsnera: „Polska jest to wielce powabna panna, tylko na wyprawienie jej posagu wiele trzeba nakładu i wygranie procesu niepewne, bo w niebezpiecznym ręku zostaje.“ ³⁾ Nie chciał też kanclerz stracić na podobny cel ani jednego grosza i ani jednego żołnierza. Nie udała się misya Jelskiego i Bojanowicza, za nią zmarniała hr. Wąsowicza, tudzież kwietniowa Andrzeja Zamoyskiego i późniejsza Izydora Pietruskiego. Daremnie kołatał do wrót kanclerskich książę Konstanty Czartoryski, daremnie zabiegał chwilami ex-poseł austriacki w Neapolu Jabłonowski,—stale odchodzili z nieugiętem *non possumus*. Metternich nie chciał nic wiedzieć o interwencyach, medyacyach, protekcyi, zwołaniu kongresu czy innym sposobie, radził tylko oddanie się na łaskę lub niełaskę, przebąkując o wspianomysłności imperatora. Z wata w uszach, miękł trochę, łagodził ton, ile razy korzystne dla Polski nadchodziły biuletyny z pola bitew, hardział i sztywniał od ostrołęckiego nieszczęścia. Mimo widocznej bezcelowości, urząd spraw zagranicznych w Warszawie nie dał za wygraną. Od lutego 1831 r. stało się nazwisko popularnego arcyksięcia Karola sztandarem, dobrą obiegową monetą. Posłowie sejmowi mieli je na ustach, zamierzali przystąpić do proklamacyi, nie wierzyli w odrzucenie podobnych propozycyji

¹⁾ Zamoyski: „Moje przeprawy.“ T. II. Str. 79—80.

²⁾ Tamże. T. II. Str. 60.

³⁾ Barzykowski, l. c. T. II. Str. 74.

przez cesarza Franciszka. Z dłońmi wzniesionemi w górę błagali Oechsnera o wypowiedzenie się, przyrzekając jeduomyślność, aż dopiero jakieś hałaśliwe zajście uliczne wybawiło zakłopotanego konsula od dania odpowiedzi. „Przywiązuje się wstydliwą i śmieszłą wagę do wszystkich moich słów—relacyonował Metternichowi — nawet do mego milczenia; zaczepiają mnie na ulicy w kwestyi arcyksięcia Karola i nigdy jeszcze poglądy nie były tak zgodne, bo podzielane także przez armię. Ogłoszenie arcyksięcia, chyba, żeby zaszły wielkie zmiany, wydaje mi się niuniknionem i będzie ono granicą obecnej słabości, w której tkwi źródło nowej i znacznie smutniejszej rewolucyi.“¹⁾

Wśród takiego nastroju i przyłgnięcia opinii do jednej postaci,—postanowił i naczelny wódz zwrócić się do niej w maju, gdy rozchwiały się zabiegi Zamoyskiego. Andrzej Horodyski zjawił się u Oechsnera z dwoma pismami Skrzyneckiego, datowanemi 3-go maja, z obozu pod Jędrzejowem. W apelu do Metternicha starał się generał rozwiać uprzedzenia, jakoby powstanie było „rewolucją Jakobinów“ i prosił o względy dla słusznej sprawy; w liście do arcyksięcia Karola składał cierpienia ciężko doświadczonego narodu u rycerskich stóp pogromcy Napoleona. Podnosząc nadzieję wybicia się na wolność, zaznaczał konieczność zjednania dla Polski każdej zacnej duszy, aby ją związać nicią sympatyj ze społeczeństwem, które tworzyło wał ochronny przeciw barbarzyństwu północy i wschodu. Geniusz wojskowy arcyksięcia, opromieniony glorią sławnych czynów, daje rękojmię, że wołanie do niego nie zmarnieje dla potężnego hasła wyzwolenia, którego dopięć zaprzysiągł wódz wraz z armią, „dopóki starczy jednego bagneta.“ W silnych wyrazach szkicował Skrzynecki pomysł rozbioru Polski, wylęgły za Piotra I, uskuteczniiony przez Katarzynę, zachwianą w następstwie równowagę europejską i cały bezmiar brzemiennych skutków, owoców grzechu podziałowego. Przez pokrajanie Rzeczypospolitej wzmogła się Rosya, zagarnęła dziesięć milionów poddanych, powiększyła armię, finanse, wkroczyła na zachód, zapewniając sobie olbrzymie mocarstwowe stanowisko, zburzyła polityczny wpływ Prus, osłabiła Austryę, sięgając po jej słowiańskie dzielnice i dążąc do wywrotu na Bałkanach przez starcie na miążgę resztek potęgi ottomańskiej i zamiar przywłaszczenia sobie Konstantynopola. Dla Austryi, władczyini znacznego

¹⁾ Archiwum dworu i państwa w Wiedniu. Berichte aus Warschau (Konsulate 59, 60) Oechsner do Metternicha. 22 Fevrier 1831 r.

odłamu Słowiańszczyzny, jest Rosya groźnym spółzawodnikiem,— Polska, przeciwnie, może być tylko przyjacielem. Rozumieli to naddunajscy mężowie stanu, objawiając niejednokrotnie chęć restytucyi dawnej Jagiellońskiej państwowości. W istocie unicestwienie narodu jest niemożliwością, fałszywem marzeniem. „Czyż Polacy przestali kochać ojczyznę, czyż wyrzekli się niezawisłości, czyż zapomnieli języka przodków, czyż abdykowali z tendencyj zmartwychwstania, czyż ukrywali nienawiść do rządu rosyjskiego? Nie rzucali-ż się społem w ramiona niebezpieczeństwa, ilekroć spostrzegli jutrznię wolności? Dzisiaj błogostawi powstanie cała Polska i — niech Wasza Cesarska Wysokość wybaczy szczerość— także mieszkańcy Galicyi i Księstwa Poznańskiego nie mogą stłumić radości na widok walki części narodu, na przełamywanie w szeregu świetnych bitew pierwszych i może największych sił nieprzyjaciela. Zapału tego nikt nie stłumi. Przecież posiada niezaprzeczone prawa do wolności milionowe społeczeństwo o własnej cywilizacyi, języku, dziejach, wspólnych obyczajach, kochające bez opamiętania ojczyznę, której nieszczęścia uczyniły mu ją jeszcze droższą. Aby ją zdobyć, gotowi jesteśmy poświęcić nasze majątki, nasze dobro osobiste, wszelkie w pokoju zyskane korzyści, wreszcie raczej wybrać śmierć, niż zaniechać bojowania za świętą sprawę. Nasza odwaga i wytrwałość zjednały nam szacunek nawet wrogów, a ojczyzna cieszy się widokiem synów, okrytych świeżym wawrzynem. Ani Bóg, ani ludzkość nie mogą potępić narodu, broniącego swobód i praw nieprzedawnionych.“ Skrzynecki wypowiadał mniemanie, że pewnie cesarz Franciszek, świadomy istoty powstania, odrzuca niegodne oszczerstwa. „Wiem — pisał w końcu— że interes państwa powinien górować nad sentymentem naturalnej sympatyi, lecz właśnie pierwszy na naszą przemawia korzyść, choćby drugi przeciw nam się zwracał. Przez zapewnienie niezawisłości Polsce, cofnęłoby się Rosyę do jej uprawnionych granic, przy równoczesnem zmniejszeniu przewagi tego mocarstwa w systemie politycznym Europy. Dla osiągnięcia celu powyższego nie potrzebuje Austria robić poważniejszych wysiłków. Polacy są w stanie sami odeprzeć armię rosyjską. Wasza Cesarska Wysokość przekona się o tem dokładniej z załączonego wykazu. ¹⁾ Energiczna manifestacya uczuć monarchii, podtrzymana demonstracyą sześćdziesięciotysięcznej armii, przywróciłaby pokój, porządek, sprawiedliwość, pomogłaby do wybicia się na wolność

¹⁾ Do listu załączono istotnie wykaz wojsk obu armij.

Polsce. Niech Wasza Cesarska Wysokość raczy w swej mądrości zważyć moje pobudki. Jedną dla sprawy Polski życzliwość wiedeńskiego gabinetu, zostanie Wasza Cesarska Wysokość dobrodziejem naszego narodu, a Austria nabędzie w sercach polskich wieczystych tytułów do wdzięczności.“¹⁾

Bez echa pozostał głos Skrzyneckiego.

Polityka Metternicha nie zбочyła od wytkniętej linii.

Dopiero po lipcowej akcji francuskiej w Londynie, której celem było skłonić Anglię do wspólnego działania dla utrzymania Kongresówki i położenia kresu dalszym zapasom, wystąpił z podobną propozycją ambasador Wersalu w Wiedniu, marszałek Maison, z polecenia ministra hr. Sebastiani.²⁾ Sprawa polska wyszła w ten sposób z ram rosyjskiego imperyum na międzynarodowy grunt w całym rynsztunku dyplomatycznej sztuki. Metternich okazał się jednak nieugiętym. Uważając powstanie za bunt przeciw legalizmowi, za walkę poddanych z prawowitą władzą, kulminującą w pozbawieniu korony pomazańca, nie mógł się doszukać rozumowej podstawy dla pośrednictwa, nie chciał narażać swej dobrej firmy politycznej na chybione z góry przedsięwzięcie.³⁾ Niedługo potem w smutnych wypadkach mordu z 15-go na 16-go sierpnia, w całej haniebnej robocie fakcyonistów towarzystwa patriotycznego pod znakami Lelewela i frondującego Krukowieckiego, znalazł kanclerz usprawiedliwienie dla swej odmowy. Mógł się powołać na relację br. Oechsnera, że na proskrypcyjnej liście klubistów znalazło się dwieście osób, między innymi Skrzynecki, siedmiu senatorów, trzydziestu posłów i niestety... Adam Czartoryski! Zażądał też konsul wydania pasportów i w ten sposób stanęło powstanie wobec groźby jawnej niechęci Austrii. Zażegnał burzę wydział spraw zagranicznych przez generała Kruszyńskiego, który w piśmie z 19 sierpnia zauważył: „jeżeli tylko dwa dni naszej rewolucji splamione zostały zbrodnią, Polska widziała o tysiąc razy straszniejsze podczas piętnastu lat rządów cesarzewicza.“⁴⁾ Z wypadkami tymi zbiegła się druga, sierpniowa misja Zamoyskiego i wyprzedzający ją w lipcu list Skrzyneckiego do

1) Archiwum dworu i państwa w Wiedniu, Berichte aus Warschau (Konsul. 59, 60).

2) Barzykowski l. c., t. IV, str. 151.

3) Arch. dworu i państwa w Wiedniu. Depesza Metternicha do hr. Apponyi, posła austr. w Paryżu z 31 lipca 1831 r.

4) Tamże. Berichte aus Warschau. Oechsner do Metternicha 20 sierpnia 1831 r.

cesarza. Przeliczył się naczelny wódz z możliwością obezwładnionego mocarza. Metternich, wzięwszy asumpt z kroku Skrzyneckiego, wylał przed ks. Konstantym Czartoryskim czasę goryczy na jakobinów i szydził: „Wiem dobrze, że radbyś, by mój cesarz ogłosił niepodległość Polski. Nie uczyni tego nigdy, to niemożliwe. Niema ochoty utracić tronu. Widzisz pan, jaką jest owa interwencya Francyi i Anglii. W nos wyśmiałbym się owym Francuzom, gdy mi o swej interwencji mówili, sami się o siebie obawiając. Król ich, Ludwik Filip, zleci z tronu wkrótce. Cała wasza sprawa jest romanssem, nie należy stosować go do polityki.“¹⁾ Tym charakterem uwag określoną już była odpowiedź dla Skrzyneckiego. Odczytał ją 19 sierpnia Zamoyskiemu.²⁾ Polecał znowu w imieniu cesarza bezwzględne poddanie się. „Tylko w ten sposób kraj zagrożony zagładą, ginący pod ciężarem własnej niedoli, może odzyskać wytchnienie.“³⁾ W nocy zaś równoczesnej do Oechsnera zauważył: „Względem szefów rewolucyi trzymamy się postępowania, któreśmy zachowywali przy rozmaitych sposobnościach, gdy się do nas zwracali. Nasz system nie może uleść zmianie, spoczywając na zasadach, które cesarz, Najdostojniejszy Pan, niezłomnie wyznaje i uważa za podstawę swej polityki.“ Polecał tedy wpłynąć na Adama Czartoryskiego, aby otrzeźwiał umysły i wydobywał entuzyastów z zaczarowanego koła złud, wyrosłych na nierozwadze paryskiej dyplomacyi. Gabinety londyński i berliński—informował dalej konsula—odsłoniły już karty, pokrywając się ze stanowiskiem Austrii. To powinno otworzyć oczy niewidomym.⁴⁾

Otrzymawszy przez Leona Sapiechę list kanclerza do Skrzyneckiego i instrukcyę, mniemał Oechsner, że treść wiedeńskich postanowień nie będzie dla Czartoryskiego nowiną. Oddziaływanie jednak jego i nieegzaltowanych ludzi nie przełamie powszechnego zapału. Sytuacya tak się ułożyła, że trudno o człowieka, któryby zaryzykował niepopularność kosztem wywleczenia prawdy.⁵⁾ Gdy w cztery oczy pomówił z księciem, przekonał się o jego niezmiernem wzruszeniu i bólu nad losem kraju. Wpra-

1) Zamoyski: „Moje przeprawy,“ t. II, str. 56—57.

2) Tamże, str. 79—80.

3) Archiwum dworu i państwa w Wiedniu. *Weisungen* z dnia 4 sierpnia 1831 r.

4) Tamże.

5) Tamże. *Berichte*. Oechsner do Metternicha z 12 sierpnia 1831 r.

wdzie uznał wskazane mu postępowanie za zbawienne, niemniej jednak oświadczył: „propozycja poddania się bez gwarancyj byłaby w chwilach rozpacznego przełomu wyrokiem nieodwołalnej śmierci dla jej autora.“

Rzucił jeszcze Oechsner myśl, żeby Czartoryski obznajomił wybitne osoby wszystkich odcieni z treścią listu Metternicha do naczelnego wodza i z wiadomością odrzucenia przez mocarstwa pośredniczącej roli. Rozeszli się bez wyniku.¹⁾ Na tej pogawędce urwała się nić rokowań.

Po wzięciu Warszawy wychwalał kanclerz przed hr. Apponyi sukcesy i niezawodność swej polityki, która wzbudziła zaufanie nieszczęśliwych. „Podczas gdy Francję ogarnia rewolucja a Anglii grozi wejście w jej znaki, otrzymaliśmy hołd publiczny od zbuntowanej Polski, spojrzenia całego narodu nie przestały kierować się ku nam.“ Pod dyktatem Metternicha wyprawił cesarz Franciszek do Mikołaja I życzenia żywego zadowolenia z powodu świetnego powodzenia...²⁾

Z dziejowej karty o zdobycie faworów dworu wiedeńskiego pozostało uczucie tragicznego szarpania się, bezsilnego wołania zranionej duszy narodu i bezkresnego samolubstwa szkolarskiej racyi stanu...

ERNEST ŁUNIŃSKI.

¹⁾ Archiwum dworu i państwa w Wiedniu. Oechsner do Metternicha z 14 sierpnia 1831 r.

²⁾ Aus Metternich's nachgelassenen Papieren. 5 Band., str. 201—202.

Ruch literacki we Francyi.

Jedną z form romansu, która nie będąc zupełnie nową, pozyskała sobie szersze prawa dopiero w wieku XX, jest t. zw. romans ideowy (roman d'idées). Niewątpliwie ideowym nazwać można każdy utwór wyobraźni, w którym autor stara się przeprowadzić jakąś myśl ogólniejszą. Z tego względu ideowymi są bezsprzecznie powieści Bourgeta, takie zwłaszcza, jak „Un Divorce,” „Le Disciple,” „L'Etape,” „L'Emigré,” niemniej powieści Maurycego Barrès, R. Bazin'a, Henryka Bordeaux, R. Boylesve i wielu innych. W znaczeniu ściślejszem wszakże ideową będzie taka powieść, w której odbicie panujących w danym okresie idei, pojęć, dążeń i ich starcia, ukazane w świetle krytycznym, dając obraz ogólny stanu lub ruchu umysłowego owej chwili w pewnym społeczeństwie, stanowi przedmiot główny, najważniejszy, gdy fabuła i akcja romansu służą jedynie dla uwydatnienia tegoż.

Jednym z takich typowo, wyłącznie ideowych powieściopisarzy wieku XX jest *Roman Rolland*. Talent tego autora nader wielostronny. Roman Rolland jest przede wszystkim artystą-muzykiem, kompozytorem i krytykiem, a obok tego historykiem muzyki i sztuki, autorem dramatycznym i wreszcie powieściopisarzem. W zakresie tak mało dotąd uprawianej historii muzyki jest on autorem dwóch tomów — „Musiciens d'autrefois” i „Musiciens d'aujourd'hui,” oraz oddzielnych studyów nad życiem i dziełem dwu tytanów, których geniusz wybiega poza właściwe szranki rodzajów uprawianej przez nich sztuki — Beethovena i Michała Anioła. Świeżo wydana książka, p. t. „Le Théâtres de la Révolution,” zawiera utwory jego dramatyczne: „Le 14 juillet,” „Danton,” „Les Loups,” zaś wydana w ciągu ubiegłego roku powieść

„Antoinette“ jest szóstym z rzędu tomem cyklu powieściowego „Jean Christophe.“

Cykl ten można nazwać rodzajem szeroko zakreślonej epopei, daje bowiem charakterystykę wyczerpującą kultury dwóch różnych społeczeństw i właściwości szczególnych, cechujących każdego z nich. Odpowiednio do tego, dzieło to Romana Rollanda składa się z dwóch głównych części — akcja w pierwszych czterech tomach toczy się na tle życia niemieckiej prowincyi, a raczej w stolicy jednego z drugorzędnych państw związkowych, gdy dwa ostatnie, rozpoczynające nową seryę — „Jean Christophe à Paris“ i „Antoinette“ — malują współczesne stosunki intelektualne, artystyczne, moralne i polityczne we Francyi.

Pomimo jednak łączności pojedynczych tomów tego niezwykajnego dzieła, w których autor ukazuje stopniowy rozwój istoty duchowej swego bohatera, owego Jana Krzysztofa Kraffta, artysty muzyka, posiadającego cechy charakterystyczne prawdziwego geniuszu, każdy z nich stanowi sam w sobie całość skończoną, tak, iż może być czytany z przyjemnością i pożytkiem bez względu na związek z całością seryi. W cyklu „Jean Christophe“ próżnoby szukać zaciekawiającej, skomplikowanej intrygi lub drażniącego zmysły erotyzmu, które stanowią najwięcej pociągającą przynętę nawet utworów skądinąd wysokiej wartości we współczesnej literaturze powieściowej. Urok powieści Romana Rollanda i zajęcie, jakie one wywołują, wynika z innych zupełnie i stanowiących rzeczywistość oryginalność autora ich właściwości, a mianowicie z idealizmu szlachetnego, który jest ich atmosferą naturalną, ze szczerego zapału dla wszystkiego, co wzniosłe i piękne, dla prawdy, dla życia, dla sztuki. Ale idealizm ten nie ma w sobie nic z próżnej i górnolotnej frazeologii, nic z płacziwej afektacyi autorów cnotliwych, ani z suchej, doktrynerskiej pedanteryi moralistów zawodowych — jest on rezultatem przekonań głębokich, opartych na silnych podstawach, i dlatego wyraża się z mocą prawdziwą, z męską energią. Idealizm ten, szczerłość i zapał autora jest wszakże jednocześnie przyczyną jego pesymizmu, który przechodzi czasem w gorycz, gdy umysłem jasnym, niezłudzony predylekcyami swego ducha, spostrzega przepaść, jaka dzieli heroiczne aspiracye dusz szlachetnych i silnych od nędzy, mieroty, fałszu i błota, w których grzęźnie przeciętna ludzkość.

Heroizm ducha pociąga szczególniej tego pisarza. W nim to widzi on ideał człowieka, który ma wolę rozwinięcia swych władz wyższych, aż do ich skończonej pełni, i moc utrzymania się na osiągniętych wyżynach, pomimo wrodzonych naturze ludz-

kiej skłonności niższego rzędu, ciągnących go i przykuwających do ziemi, od których nawet najszczytniejsze dusze, dopóki zamieszkują cielesną powłokę, wolnemi nie są. Stąd walka nieustanna zmagających się przeciwnych pierwiastków, stąd niepokój i cierpienia, ludziom pospolitym nieznane, wstrząsają duszami bohaterów. W bólu, jak w żrącym płomieniu, hartują się one i czyszczą—ból jest ich probierzem; walka, w której szukają zwycięstwa i znajdują aureolę — potrzebą, jak potrzebą miernoty jest zatechły spokój. Ta jego koncepcya heroizmu różni się wszakże bardzo znacznie od modnego dzisiaj pojęcia nitzschejskiego nadczłowieka, egoisty, który swych niepospolitych przymiotów, pozwalających mu wznieść się ponad poziom przeciętny, używa jedynie dla własnego wywyższenia przez opanowanie i poniżenie ludzkiego stada, którem gardzi. Jego bohater pragnie ideał, do którego sam dąży, uczynić dostępnym jaknajwiększej liczbie, bo swjej wyższości nie opiera na poniżeniu drugich, lecz na mocy i szlachetności własnego charakteru. Małoduszność, miernota, moralna nędza jego otoczenia, nie sprawia mu przyjemności, lecz go oburza, bo jej nie pojmuje, bo razi ona jego poczucie harmonii. Brud, zwłaszcza ukryty pod płaszczem hipokryzyi, wzbudza jego pogardę, nie zaś człowiek, którego pragnąłby widzieć czystym i pięknym. W brudzie, w hipokryzyi, w konwencji świat dzisiejszy poprostu się dusi. Potrzeba świeżego powietrza staje się coraz gwałtowniejszą—czas wielki otworzyć okna. Litera panuje zamiast ducha. Poza, fałsz, kłamstwo rozpościerają się tryumfalnie. Koalicya ciasnych egoizmów, ambicyj małych i nędznych nie dopuszcza prawdy na światło dzienne. Dusze szlachetne, odosobnione wśród mas wrogich nie mogą się wspierać i tracią najlepsze siły w próżnej walce, w której najczęściej są pokonane. Ale nie to — nie ci są bohaterami, którzy dostępują zwycięstwa, lecz ci, których usiłowania są szczerze, zamiary czyste, stałość niezłomna, którzy w swem dążeniu do ideału nie dadzą się zrazić i zatrzymać przeciwnościami, ani też sprowadzić z drogi żadnemi względami na korzyści osobiste, doraźne. Pierwsi uzyskują pokłask, uznanie, nawet ubóstwienie tłumu, bo tłum pojmuje i ceni tylko powodzenie materyalne. Ale są to bożyszczka marne, których nicość ujawnia się z czasem, gdy szlachetne, bezinteresowne wysiłki drugich przyniosą prędzej, czy później owoc świetny, z którego ludzkość będzie korzystała. Nie ten jest bohaterem, którego uważają za takiego, lecz ten, w którego piersi płonie boski ogień zapалу i natchnienia, dający moc czynów, uczuć i myśli wielkich, władzę ducha, nie znającą granic, potężniejszą, wyższą, szerszą,

niżeli znikoma, przemijająca władza materyalna, którą rzadko uzyskuje się bez poniżających wewnętrznych kapitulacyj.

Taki jest nastrój moralny Romana Rolland. Wyraża się on we wszystkich jego pismach albo wprost, jak w przedmowach do życia Beethovena i Michała-Anioła, albo w charakterystyce typów i środowisk, z którymi autor ten stawia w styczność bohaterów swych powieści. Jeżeli zdarza mu się niekiedy wypowiedzieć zdanie mylne w ocenie wartości moralnej czy to jakiegoś indywiduum, czy to całej jakiejś kategorii społecznej, to i to nie obniża prawdziwego znaczenia i słuszności zawartych w jego dziełach myśli wzniosłych, ani też nie zmniejsza szlachetności jego intencji. Gdy, na przykład, nazywa pułkownika Picquart wielkim bojownikiem sprawiedliwości, to trzeba sądzić, że pisał te słowa, zanim jeszcze wyszło na jaw płaskie karyerowiczowstwo i służalczość tego słomianego bohatera, za którym ukrywali się żydowscy potentaci. Toż samo, gdy w pewnym ustępie powieści „Antoinette“ przeciwstawia wyższą jakoby moralność Żydów, ich większą ludzkość, a szczególnie „mniej brudną chciwość pieniędzy,“ nieograniczonemu egoizmowi chrześcijan, zwłaszcza francuskiego mieszczaństwa, to czyni to najwidoczniej dla silniejszego napiętnowania przez takie zestawienie niegodziwości własnego społeczeństwa.

Jak już zauważyliśmy wyżej, powieści Romana Rolland są raczej pretekstem do wypowiedzenia szerszych idei ogólnych i wyrażenia poglądów autora, dotyczących szczególnie sfery objawów ducha i uczucia, a więc literatury i sztuki, ale także i pozostających z niemi w bliskim związku dziedzin moralnej i społeczno-politycznej. Że zaś wszystko, t. j. życie w swych najróżnorodniejszych manifestacjach, którego jest nader trafnym obserwatorem, wywołuje u niego wielką obfitość myśli i uwag, więc też historia Jana-Krzysztofa wzrasta pod piórem Rollanda do poważniejszych rozmiarów, które nawet mogłyby odstraszyć czytelnika, niewiedzącego, że te sześć tomów nieskończonej dotąd seryi, zawierają coś więcej, niż zwyczajną romansową fikcję. Zapewne, to samo dałoby się wyrazić nieco treściwiej, ale ta bujność leży w temperamencie autora, który lubi docierać do jądra rzeczy, czy to w poruszonych kwestiach, ideach i sądach, czy też, gdy historię swych bohaterów współczesnych rozpoczyna nie już tylko od ich dzieciństwa, ale cofa się aż o kilka pokoleń wstecz dla lepszego objaśnienia zwolna dziedzicznie urobionych właściwości ich charakteru.

Jan-Krzysztof Krafft, urodzony w jednej z mniejszych stolic nadreńskich, jest synem i wnukiem muzykanta. Od najmłodszych

lat swego dzieciństwa, obdarzony wrodzonym talentem, rwie się on do muzyki i już w siódmym roku życia wykonywa na dworze wielkksiążęcym własną kompozycję. Ojciec chce zrobić z niego „cudowne dziecko“ i w tym celu kształci go forsownie, by zbierać plon, nim jeszcze dojrzeje jego talent. Ale Jan-Krzysztof nie poprzestaje na tak ograniczonych ambicyach, czuje on w sobie prawdziwą moc geniuszu i chce zostać kompozytorem, wielkim kompozytorem. Muzyka jest jego światem, ideałem i religią. Kult dla tej sztuki uszlachetnia jego duszę surową, ale szczerą, i podnosi go ponad jego małomieszczańską sferę i jej małoskawkowe przesady. Jego charakter niezależny nie poddaje się służalczej hipokryzji współczesnych Niemców i odrzuca precz również ich nową „filozofię“ siły brutalnej, która „stała się dla nich przedmiotem kultu, odkąd ją pozyskali dla siebie, tak samo, jak dawniej ideałem ich była ludzkość i sprawiedliwość, gdy byli słabi i bici.“

Nic tedy dziwnego, że duchowi, rwącemu się na prawdę do podniebnych szczytów, zaciasno w ramach pruskiego szablonu, który odbił swe niezatarte piętno na życiu całych prawie Niemiec, opierających odtąd swą kulturę i bogactwo na produkowaniu tandety, zarówno w dziedzinie materyalnej—w przemyśle, jak i w duchowej—w filozofii, nauce, literaturze i sztuce; gdzie, obok kultu pięści, panuje mdły, głupkowaty sentymentalizm lub idealizm zdawkowy, kiełkujący w otłuszczonych sercach i rozmarzonych piwnemi wyziewami mózgach; gdzie muzykę nawet wchłania się wraz z kufkami piwa i kiełbasą. Bo też ci z urodzenia muzycy Niemcy cenią w muzyce więcej ilość, niż jakość. Największą rozkosz sprawia im—słuchaczom i wykonawcom—nie wartość tonów, nie ich harmonia, ale suma wydobytego z instrumentów „hałasu,“ którym napychają uszy, jak żołądek strawą, bez potrzeby, li-tylko z obżarstwa. Muzykę oni lubią—zapewne, ale jaką muzykę: dobrą, czy złą? Bo obie jednakowo oklaskują. Jan-Krzysztof nie mniej surowo wyraża się też i o kompozytorach—Brahms, Mendelsohn są ludźmi godnymi pogardy, ale i Schumann i Schubert, a nawet Jan Sebastyan Bach z krytyki jego nie wychodzą bez szwanku. Zresztą dostaje się po trochu wszystkim: natchnienie klasyków jest—mechaniczne, uczucie romantyków—nie szczerze i t. p.

Jednem słowem Jan-Krzysztof jest rodzajem apostoła nowej wiary, niszczącego stare bóstwa. Zdania jego są może czasem zbyt krańcowe, przesadne, ale płynące z przekonania, szczerze, a szczeroci właśnie nie może znieść społeczeństwo, które żyje kłamstwem. To też biedny artysta ma w wszystkich przeciw sobie

w rodzinnem mieście, od najmniejszych do największych — traci łaski wielkiego księcia i posadę nadwornego muzyka, kompozycye jego są wygwizdane, wreszcie, po zejściu z pruskimi podoficera-
mi, chroni się za granicę i przybywa do Paryża.

Z chwilą tą zaczyna się druga część tej seryi, zatytułowana: „Jean-Christophe à Paris,“ której pierwszy tom ma tytuł dodatkowy „La Foire sur la Place,“ a drugi — „Antoinette.“

Ta druga część jest pewnie więcej jeszcze zajmującą, niż pierwsza, bo autor mówi tu o stosunkach, znanych mu najbliżej, porusza kwestye bieżące, wypowiada poglądy nie mniej śmiałe i krańcowe, nie bacząc na utarte zdania i opinie, których nie waha się zaatakować z frontu, obnażyć i ukazać ich fałsz lub nicosć, bez najmniejszego względu na możliwe urażenie miłości własnej tej lub owej z uznanych wielkości, i nie szczędząc zarówno żadnego obozu czy koteryi. Gdy szło o Niemcy, można było niejedno zdanie ryzykowne lub paradoksalne wziąć na karb rasowego antagonizmu i różnic w umysłowości, nie pozwalających mu odczuć i zrozumieć odmiennego ducha sąsiadów. Zarzut ten, o ileby nawet był usprawiedliwionym w pierwszej części, o czem nie przesądzamy, tutaj traci podstawę — Roman Rolland dowodzi swej bezstronności na tym punkcie w sądach nie mniej surowych, a zawsze szczerych, płynących z prawdziwego przekonania, o społeczeństwie własnem.

Jan-Krzysztof, przybywając do Paryża, nie był wolnym zarówno od uprzedzeń, jak i od złudzeń, co się tyczy Francyi i jej mieszkańców. Uważał on Francuzów, stosownie do opinii, jaką się oni cieszą u ogółu cudzoziemców, a u Niemców szczególnie — za rodzaj narwanych krzykaczy i birbantów, ale z drugiej strony miał on też dość wysokie wyobrażenie o prawdziwej wolności, o poszanowaniu rzeczywistem praw człowieka, o wysokim postępie we wszystkich kierunkach świetnej i starej kultury tego kraju. Zaraz na wstępie został też niemile uderzony brudem ulic, anarchicznym nieporządkiem panującego w nich ruchu; zgiełkiem nieustannych kłótni woźniców, lżących się wzajemnie najohydniejszymi epitetami: tłumem roztrącających się przechodniów; niechlujstwem hotelu, w którym skromne jego środki zmusiły go szukać schronienia. Nie zniechęcony jednak tem pierwszym niekorzystnem wrażeniem, wierzył silnie, iż poznawszy bliżej i głębiej miejscowe życie i charakter, odnajdzie wreszcie te piękne właściwości francuskiej cywilizacji, która bądź co bądź i pomimo wszelkie przesady i uprzedzenia imponowała mu, jak wogóle jego ziomkom, i pociągała go nieprzeczwyciężonym urokiem. Późniejsze jego losy,

które zetknęły go z najrozmaitszemi środowiskami francuskiego społeczeństwa, rozwiały wiele z tych ostatnich złudzeń, wytwarzając w jego umyśle sąd, że ta świetna kultura, której zazdroszą Francyi inne kraje, jest już skończoną, że naród francuski żyje obecnie przeważnie z moralnego i intelektualnego kapitału, nagromadzonego przez przodków, nie wiele, albo wcale go nie pomnażając. Oblany zimną wodą przez pewnego współziomka, niegdyś przyjaciela z lat dziecińczych i młodzieńczych, zajmującego obecnie w Paryżu stanowisko w świecie handlowym, Jan-Krzysztof, którego szczupłe zapasy pieniężne wyczerpują się bardzo szybko, zbliża się, przy poszukiwaniu zarobku, do niejakiego sfrancuziałego Żyda z Frankfurtu. Kohn ma bliskie stosunki w kołach literackich i artystycznych, do których wprowadza młodego muzyka, przeczuwszy właściwym swej rasie sprytem niepospolite jego zdolności. W protegowaniu Jana-Krzysztofa znajduje on pewne zadowolenie swej pychy, gdyż daje mu to sposobność pochwalić się z jednej strony rozległością swych stosunków i znaczenia, z drugiej—przyjaźnią z człowiekiem, którego wartość i talent dadzą się prędzej czy później niewątpliwie poznać. Znalazłszy się w takich okolicznościach na zgromadzeniu literatów, poetów i artystów i pragnąc dowiedzieć się czegoś o panujących w sztuce i literaturze ideach i dążnościach, słyszy, prócz garści szumnych, a pustych frazesów, iż wartość artysty lub autora ceni się tam wyłącznie w stosunku do jego materyalnego powodzenia i spostrzega, że uczuciem, które przeważnie ożywia zebranych, jest zawist, pragnienie podniesienia własnego znaczenia przez poniżenie współzawodnika, rywalizacya natury ściśle handlowej, a przedmiotem rozmowy najbardziej zajmującym uczestników — nie sztuka, nie literatura, lecz plotki, mniej lub więcej skandaliczne, tyczące życia prywatnego ludzi, będących na widowni. Jan-Krzysztof, chcąc naturalnie posłyszeć zdania Francuzów o muzyce i dowiedzieć się coś od nich o stanie obecnym tej umiłowanej przez się sztuki we Francyi, przekonywa się ze zdumieniem i zgorzeniem, że przedstawiciele jej w tym kraju, ludzie, posiadający wyrobioną opinię, nie mają prawie pojęcia o muzyce zagranicznej, zaledwie znają Wagnera i kilka sławniejszych nazwisk kompozytorów niemieckich, co zaś do muzyki francuskiej, to cenią i znają tylko własną, a dla utworów swych współzawodników mają tylko ironiczne lekceważenie. Gorzej jest jeszcze z krytykami muzyki, o ile sami nie są też kompozytorami—ci nie mają wyobrażenia o sztuce, którą krytykują. Powoli Jan-Krzysztof zapoznaje się na koncertach i w teatrach z muzyką francuską i wyraża o niej zdania

własne, które gorszą do wysokiego stopnia francuskich melomanów, przyzwyczajonych stosować swe upodobania i zachwyty wedle przyjętych z góry opinij i wskazówek. Francuzi, według niego, dbają jedynie o formę. Cała ich sztuka polega na czysto mechanicznej kombinacyi tonów, które starają się z jubilerską precyzją wyszlifować. W tem wszystkim brak życia, brak prawdy, jakaś obawa przed wielką falą nowożytną, jakaś drobiazgowość, pozbawiona wyrazu. W „Peleasie“ Debussy’ego, uważanym przez Francuzów za największe arcydzieło współczesnej muzyki, Jan-Krzysztof spotrzega tylko parę delikatnych harmonij i szereg drobniotkich efektów orkiestralnych i więcej nic, nic, prócz wrażenia monotonnej nudy. Retrospektywny entuzjazm ostatniej chwili dla dzieł Rameau wydaje mu się śmiesznym. W słynnej „Schola Cantorum“ i zainaugurowanym przez nią, z p. d’Indy na czele, zwrocie do charakteru muzyki średniowiecznej — gregoryańskiej, widzi on pewne dążenia do wyjścia z szablonu, ale, zamiast odnowić zatęchłą atmosferę przez dopuszczenie świeżej fali teraźniejszej, zwracają się tam do przeszłości. Miasto na szeroki gościniec współczesnych prądów, otwierają okna na podwórze! W dalszej kolei losów, w której niejednokrotnie przychodzi mu borykać się z nędzą i chorobą, Jan-Krzysztof zbliża się, w charakterze profesora muzyki, do bogatej sfery kosmopolitycznego towarzystwa i arystokratyzującej burżuazyi francuskiej, gdzie ma sposobność poznać niezmierną umysłową i moralną próżnię tych klas i ich skończony egoizm. Później wchodzi w styczność ze światem politycznym, w którym widzi, z jednej strony nadzwyczajną bezczelność szarlatanów i karyerowiczów, władających Francją z tyranią absolutyzmu, w imię ludu, który oszukują i wyzyskują, z drugiej — bezprzykładną gnuśność i niedołęstwo opozycyi, niezdolnej do czynu i poprzestającej na jałowych protestach, tam, gdzie nawet przy stosunkowo niewielkim wysiłku woli i energii, mogłaby zwyciężyć. Charakterystycznym jest zdarzenie, wynikłe ze stosunku Jana-Krzysztofa do sfer politycznych, które go od nich oddaliło. Bywając u pewnego deputowanego socjalisty, Jan-Krzysztof dał poznać parę fragmentów utworu muzycznego swej kompozycyi. Deputowany bardzo się tem zainteresował i do tego stopnia, że, pomimo niechęci artysty, który tę kompozycyę uważał raczej za próbę, za rodzaj embryonu przyszłego dzieła, wymógł na nim, by się zgodził na publiczne jej zaprodukowanie. Utwór ten, osnuty na tle biblijnem, rodzaj opery o akcji bardzo ograniczonej, polegający całkowicie na oddaniu, za pomocą dźwięków, głębokiego, wewnętrznego dramatu, miał

rzeczywiście duże zalety muzyczne, ale dostępne raczej znawcom prawdziwym, niż publiczności, wykształconej na muzyce Massenet'a i jemu podobnych. Wszystko tedy zostało zorganizowane staraniem deputowanego i byłoby poszło jaknajlepiej, bo orkiestra i głosy męskie spełniały swe zadanie na pierwszej próbie wcale dobrze, gdyby nie to, że głos śpiewaczki, mającej interpretować rolę główną, okazał się poniżej wszelkiej krytyki. Próżno siliła się wdziękami i kokieterią nagrodzić brak warunków zasadniczych. Jan-Krzysztof, mocno niezadowolony, poprosił impresaria o dostarczenie mu innej, odpowiedniejszej do wymagań roli śpiewaczki. Ku swemu zdumieniu, usłyszał najpierw odpowiedź wykrętną, a gdy położył nacisk na swe żądanie, powiedziano mu wręcz, że jestto niemożliwe, a po bliższe objaśnienia odesłano go do deputowanego. Ten właśnie wszedł do sali z miną tryumfującą i zagadnął wesoło młodego kompozytora o rezultat próby, ale, usłyszawszy jego zdanie, zmienił się natychmiast, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, odwrócił się od niego, pozostawiając go samemu sobie, i, po zamienieniu paru słów z impresariem i primadonną, salę wraz z nią opuścił. Dla Jana-Krzysztofa całe to zajście było zagadką, dopiero po wyjściu dowiedział się od przyjaciół, że owa piękna śpiewaczka jest metresą deputowanego i że dla niej to, a nie dla czego innego ów polityk-meloman zainteresował się jego dziełem, które miało jej posłużyć za stopień do wejścia do Opery Komicznej, gdzie dotąd odmawiano jej wstępu.

Śmiech pusty porwał biednego artystę. Pożegnał praktycznych przyjaciół, którzy radzili mu pogodzić się ze śpiewaczką i jej protektorem, i na tem zakończyły się stosunki jego ze światem politycznym, obracając w niwecz piękne projekty i nadzieje. Później, pewien dyrektor koncertów zaproponował mu wykonanie jego kompozycji, ale wtedy przyjaciele deputowanego i owej niefortunnej primadonny wygwizdali go. Za nimi, nie wiedząc dlaczego, owczym pędem poszła cała sala, biorąc za pretekst, że kompozytor jest „un sale Prussien.“ Te wszystkie zawody i przeciwności, którym Jan-Krzysztof mężnie stawiał czoło, i bieda, w którą popadł po utracie lekcyj, przyprowadziły go o ciężką chorobę. Wszedł z niej z życiem dzięki tylko odporności swego organizmu i staraniom pewnej, mieszkającej obok niego służącej, która go z miłosierdzia doglądała.

Na tem kończą się dotychczasowe losy Jana-Krzysztofa, o którym w ostatnim tomie, p. t. „Antoinette,“ stanowiącym epizod oddzielny jego historii, jest tylko wzmianka. W pierwszej

książce seryi „Jean-Christophe à Paris“ ukazuje autor, jak to widzieliśmy, społeczeństwo francuskie ze strony ujemnej, ale czyni to z parokrotnie powtarzającym się zastrzeżeniem: „Jan-Krzysztof nie wiedział, że są inni...“ Stąd należałoby wnioskować, że zamiarem jego jest zapoznać czytelnika z tem, co we współczesnej Francyi przedstawia stronę jasną ciemnego dotychczas obrazu. Tej jasnej strony w każdym razie w „Antoinette“ jeszcze nie znajdujemy, bo, chociaż powieść ta daje piękny przykład cichego heroizmu, to jednak pierwiastek szlachetny jest tu też tylko wyjątkiem, drobną łupinką pośród morza egoizmu i niegodziwości. Wyjątek taki stanowi właśnie owa Antoinette, która z zupełną i naturalną prostotą pełni wysokie cnoty, częścią przy pomocy siły woli i świadomego zaparcia się, częścią bezwiednie, z wrodzonej prawości charakteru i szlachetności serca. Pozostawszy sama jedna z młodszym bratem, po katastrofie rodzinnej, Antoinette prowadzi w dalszym ciągu i doprowadza do końca dzieło, rozpoczęte już przez matkę, wychowania chłopca chorowitego i stworzenia mu sytuacji pewnej, której on sam, o własnych siłach nie byłby w stanie pozyskać. A czyni ona to bez żadnej pomocy, bez środków, w ciężkiej, trudnej i przykrew walce, z poświęceniem codziennem swej własnej młodości, swych pragnień i nadziei, całego życia swego, kierowana i podtrzymywana w swem gorzkim niekiedy zadaniu siostrzaną miłością i zadowoleniem ze spełnionego obowiązku, oraz wiarą, szczerą i głęboką, w której czerpie siły ducha, aż do chwili, gdy, zużywszy w nieustannych trudach swe biedne, zmęczone ciało, po osiągnięciu celu swych usiłowań, świat ten przedwcześnie opuszcza.

Jakże pięknie przeciwstawia się ta szlachetna postać młodej dziewczyny, tak prawdziwa w swym naturalnym idealizmie, owym bezdusznym istotom, z ich „prawem do szczęścia,“ bez względu na szczęście drugich i własną godność, które, jako typ kobiety dzisiejszej, spotykamy przeważnie w francuskiej literaturze powieściowej, a już szczególnie w literaturze kobiecej. Jakaż olbrzymia różnica koncepcyi świata moralnego u tego autora, z tą, którą kieruje się ogół współczesnych mu powieściopisarzy, propagujących tak zwaną moralność niezależną, których współczucie i sympatye idą zawsze do istot najniegodniejszych. Roman Rolland nie daje złudzić się tego rodzaju fałszywemu, anarchicznemu humanitaryzmowi, nie roztkliwia się on nad upadkiem istot nikczemnych, które na swój los zasłużyły, ale zato całe jego współczucie, całe jego gorejące miłością bliźniego serce idzie do tych dusz szlachetnych i silnych, które cierpią wskutek niesprawiedli-

wości i brudnego sobkowstwa otaczającego je społeczeństwa. A przecież nie jest on idealistą, zamykającym oczy na rzeczywistość, ani też spoglądającym wstecz lub zasklepiającym się w wyłącznych formułach religijnych moralistą. Roman Rolland nie jest osobiście wierzącym, ale ma temperament religijny i nie tai swego uwielbienia dla uszlachetniającej potęgi wzniesłego ideału wiary chrześcijańskiej. Zresztą życie widzi on w całej jego brzydkiej i pospolitej prawdzie, ale widzi również i stara się to pokazać, że dla dusz czystych, które potrafią wybrać właściwą drogę, może ono być pięknem i, pomimo cierpień i zawodów, przynieść zadowolenie moralne stokroć więcej warte i w gruncie o wiele rzeczywistsze, niżeli ulotna przyjemność, opłacona najczęściej gorzkimi następstwami, pochodząca z zaspokojenia za wszelką cenę apetytów materyalnych i fizycznych, wedle przepisów nowej etyki. Poglądy takie nie mają w sobie zapewne nic oryginalnego, już choćby dla tego samego, że zawierają prawdę odwieczną, ale, w ustach autora młodego, ceniącego nadewszystko życie i akcję, spoglądającego raczej w przyszłość, niż w przeszłość, wobec szczególnie wypowiedzianych dzisiaj, w tonie często dogmatycznym, dziwołagów, nie będą one bez znaczenia i wpływu dodatniego.

Jeżeli krytyka własnego społeczeństwa i poniekąd całej ludzkości w utworach Romana Rolland nie jest zbyt pobłażliwą, jeżeli pesymizm jego posuwa się czasem aż do gorczy, to niczem jest to w porównaniu do zjadliwej satyry i bezwzględного pesymizmu, które zawiera ostatnia książka *Anotata France* „L'Île des Pingouins.“

„L'Île des Pingouins“ jest niczem innym, jak historią Francyi w karykaturze, od jej początków, aż do ostatnich czasów i do wieków przyszłych, a właściwie do nieskończoności. Jaka jest myśl i cel tego dziwnego utworu, objaśnia w przedmowie sam autor: „Kuba-Filozof (Jacquot le Philosophe) ułożył rodzaj moralnego opowiadania, w którym, w sposób komiczny i silny, przedstawił różnolite dzieła ludzkie i wmieszał w to niektóre rysy z dziejów własnego kraju. Na zapytanie kilku osób, dlaczego napisał on tę historię podrobioną i jaką osiągnie stąd korzyść jego ojczyzna? Bardzo wielką, odpowiedział filozof. Gdy ujrzą swe dzieła w takiej postaci i pozbawione wszystkiego, co im schlebiało, Pingwinowie sądzić je będą trafniej i może staną się mędrsi.“

Historia owa zaczyna się od legendy o św. Maelu, który, zapędzony przez prądy morskie i burzę do krain podbiegunowych, ochrzcił tam przez pomyłkę na pewnej wyspie ptasie plemię Pin-

gwinów, wskutek czego Bóg Ojciec, po naradzie ze świętymi doktorami Kościoła, uznał za konieczne przemienić ich na ludzi. Św. Mael, mając powierzona sobie pieczę nad Pingwinami-ludźmi, przeciągnął wyspę ich, poprzez ocean, cudownym sposobem, aż do wybrzeży bretońskich, z któremi wiąże się dalsze ich losy.

W pierwszej części swej książki, poświęconej czasom legendowym i średnim wiekom, ukazuje autor, w jaki sposób powstały u Pingwinów pojęcia i instytucje religijne, społeczne i polityczne. Strach i ciemnota powodują w nich potrzebę wiary i łatwowierność, z której korzystając pewien śmiały łotr, nazwiskiem Kraken, przy współnictwie swej nałożnicy-ladacznicy, zwanej Orberose, obmyśla historię o strasznym smoku i przybrawszy na się jego postać, rabuje dobytek biedaków. Później, za wstawienictwem jakoby owej „dziewicy“ Orberose, Kraken, przez zabicie smoka, uwalnia lud od trapiącej go klęski, podbija go pod swą władzę i zakłada pierwszą dynastję, która odtąd panować będzie Pingwinom. Zaś Orberose, po długim jej życiu we wszeteczeństwie, uznano po śmierci za świętą, złożono jej zwłoki w kosztownej rzeźbionej skrzyni ze złota i drogich kamieni, którą umieszczono we wspaniałym grobowcu katedry.

Pewien duży Pingwin, widząc małego Pingwina, pracującego w polu, zabija go i pole, przez niego uprawione, sobie przywłaszcza, później strachem i kijem zmusza innych małych Pingwinów, by dla niego pracowali. Takim jest pochodzenie świętego prawa własności i instytucji szlachectwa.

Dalej rozwodzi się autor we właściwym sobie stylu i tonie pół seryo, pół żartobliwie nad średnimi wiekami, nad obyczajami, nad życiem klasztorne i t. d. Poświęca rozdział sztuce średniowiecznej, w którym wyśmiewa, w sposób nieco łatwy, prymitywów i ich zwolenników. Inny rozdział—o literaturze—wypełnia zwłaszcza treścią pewnego, również średniowiecznego rękopisu, w którym niejaki mnich, Marbode, opowiada swą podróż do Hadesu i rozmowę swą z cieniami Wirgiliusza, i to jest, wraz z legendą o św. Maelu, jednym z ustępów najbardziej charakteryzujących Anatola France, autora „L'Etui de nacre,“ lub „Le Puits de Sainte-Claire.“ Czasy nowożytne, rewolucję, okres Napoleona I aż do epoki współczesnej zbywa autor w dość krótkich słowach, za to tej ostatniej poświęca większą część swej książki, począwszy od bulanżyzmu do sprawy Dreyfusa i dalej. Tutaj już każda z postaci fikcyjnych odpowiada rzeczywistej z różnicą tylko nazwiska i pewnych rysów odmiennych. Tak więc generał Boulanger nazywa się tu „l'émiral“ Chatillon, książę Orleański—le prince

Crucho i t. p. Urządzony przez zakonników spisek monarchiczny nie udał się, gdyż „l'émiral“ i piękna dama, której przypadło zadanie zdobyć, przy pomocy swych wdzięków, jego serce dla wielkiej sprawy, wzięli swą rolę erotyczną zbyt seryo i cel główny zaniedbali. Potem następuje sprawa o „osiemdziesiąt tysięcy wiązek siana,“ które Pyrot (Dreyfus) miał, wedle oskarżenia, sprzedać zagranicą, za co skazany został na zamknięcie w klatce, zawieszanej nad morzem u szczytu starożytniej wieży. Tymczasem Colomban (Zola) odkrył, że Pyrot nie mógł sprzedać owych 80 tysięcy wiązek siana, ponieważ Maubec de la Dentdulynx (Esterhazy), który wziął za nie pieniądze, nigdy ich nie dostarczył. Ten jednakże, wezwany przed sąd, obrzuciwszy Colombana spojrzeniem nieopisanej pogardy, oczyścił się z zarzutu jednym jedynem słowem... Canbronne'a!) Poczem tłum uczynił mu entuzjastyczną owacę, kobiety wieszały mu się na szyi, omdlewały z zachwytu i t. d. Dalej następują opisy isticie homerycznych walk pomiędzy stronnikami i przeciwnikami Pyrota.

Następnie przechodzimy do ostatniej doby z charakterystyką w rysach karykaturalnych jej głównych objawów społecznych i politycznych: walka przeciw Kościołowi, strejki socjalistyczne i ich krwawa represya przez gabinet Vizir, do którego wchodzi socjaliści, godzący się natychmiast przeciw proletaryatowi z kapitalizmem, skoro ten daje im korzyści osobiste i dopuszcza do władzy. Zwyrodnienie parlamentaryzmu, system szpiegowski, ogólne znieprawienie, wpływy kobiet i panowanie prostytutki—wszystko to znajduje odpowiednie odbicie w tej części historyi Pingwinów.

Z czasem kapitalizm tryumfuje w społeczeństwie przyszłości, składajacem się z dwóch tylko klas: miliarderów, zaabsorbowanych do tego stopnia prowadzeniem interesów, że nie mają czasu, ani nawet ochoty do korzystania ze swych bogactw,—i robotników, zdegenerowanych fizycznie i ogłupiałych, których siły i inteligencya wystarczają tylko do zredukowanej pracy puszczenia w ruch maszyn. Stolica Pingwinów, Alca, wzrasta do nadzwyczajnych rozmiarów. Domy budują coraz wyższe. Wreszcie garstka intelektualnych anarchistów burzy miasto i kraj cały przy pomocy materiałów wybuchowych niezmierniej siły. Wszystko legło w gruzach i zniszczeniu. Cywilizacya zginęła. Na miejscu świetnej stolicy, półdzicy, okryci skórami ludzie starają się z trudno-

1) Wyraz nie do przetłómaczenia.

ścią drapać ziemię pierwotnemi sochami. I znowu przybywają najeźdźcy, podbijają ziemię i jej mieszkańców, ustanawiają państwo i dynastję, cywilizacja się wzmacnia, powstają miasta potworne, by następnie zginąć w straszliwych katastrofach. I to wszystko powtarzało się przez niezliczone wieki, aż do nieskończoności.

Tak więc przedstawia Anatol France historję Pingwinów-Francuzów i z wielu względów—ludzkości. Aż nadto widocznym jest tu sceptycyzm nihilistyczny, którym tchnie ten utwór, jego głęboka mizantropia, zaprzeczenie postępu ludzkości, która ginie w znikczemieniu, by, jak legendowy Feniks, odradzać się nieustannie z własnych popiołów w pierwotnej postaci. Ani wiara, która jest złudzeniem umysłów słabych i służy jako środek wyzysku chytrym, ani tak zwana cywilizacja, nie mają i nie mogą mieć wpływu na podniesienie moralne człowieka, którego, wbrew teorii Rousseau, możnaby nazwać z gruntu złym, gdyby pojęcie złego i dobrego nie było prostym wymysłem ludzkim. Myśli te, które autor wypowiedział już dawniej przez usta ks. Coignard,¹⁾ lub osobiście,²⁾ choć z mniej absolutnym pesymizmem, streszczają się tutaj w słowach doktora Obnubile: „Ponieważ w bogactwie i cywilizacji znajduje się nie mniej powodów do wojny, jak w nędzy i barbarzyństwie, ponieważ szaleństwo i złość ludzka są nieuleczalne, pozostaje jeden tylko dobry uczynek do spełnienia: mędrzec nagromadzi dość dynamitu, by rozsadzić tę planetę. Gdy odłamy jej potoczą się w przestrzeń, da się odczuć nieznaczne polepszenie i sunienie powszechne, które zresztą nie istnieje, dozna pewnego zadosyćuczynienia.“

To jest rzeczywista konkluzja tej książki. Warto jeszcze przytoczyć tu kilka zdań charakterystycznych, odnoszących się do współczesności: „Słudzy republiki nie bogacą się do tego stopnia, jak się to wogóle przypuszcza. Odkąd niema monarchy, któryby rozdzielał nagrody i beneficia, każdy bierze co może, tak, iż rabunek pojedynczy, ograniczony rabunkiem wszystkich, sprowadza się do cyfr dość skromnych.“ „W każdym cywilizowanem państwie bogactwo jest rzeczą świętą; w ustrojach demokratycznych jest ono jedyną świętością.“ „Zawdzięczali swej małej liczebności przede wszystkim tę wyższość, że mieli pośród siebie

1) „La Rotisserie de la Reine Pédauque,“ „Les Opinions de M. Jérôme Coignard.“

2) „Le Jardin d'Epicure.“

daleko mniej głupców, aniżeli ich przeciwnicy, którzy posiadali ich ilość niezliczoną—aluzya do powszechnego głosowania. „Do każdego ministerium, któremu było przeznaczonem zwalczać socjalistów, wprowadzono członka partyi socjalistycznej, aby wrogom własności dać zakosztować hańby i goryczy doznania ucisku od jednego ze swoich i aby na swych zebraniach szukali pośród siebie tego, który nazajutrz będzie ich katem. Trzeba głębokiej nieznamośności serca ludzkiego, by sądzić, że trudno znaleźć socyalistę, któryby się podjął takiej funkcyi.“ „Wielki naród Pingwinów nie miał już ani tradycyi, ani kultury umysłowej, ani sztuki. Postęp cywilizacyi objawiał się w zabójczym przemyśle, w wiecznych spekulacyach, w zbytku wstrętnym; stolica ich przybierała charakter coraz więcej kosmopolityczny i finansowy; panowała w niej szpetna jednostajność. Był to szczyt jego rozwoju.“

Widzimy stąd, że p. France nie szczędził tu nikogo i niczego: ośmieszył lub zbezcześcił zarówno tradycyę i wierzenia stare, jak i poglądy, instytucye i dążenia nowe i, co jest cechą znamienneą „Wyspy Pingwinów,“ — nie dopatrzył się w całej tej historii ani jednego rysu, ani jednego najmniejszego objawu dodatniego.

Na odwrotnym, rzec można, biegunie, względem Anatola France, stoi *René Bazin*. Wszystkie jego pisma, czy to krytyczne, czy powieściowe, mają, jak wiadomo, dążność moralną, która stanowi ich podstawę główną i cel rzeczywisty.

W ostatniej książce „*Mémoires d'une Vieille Fille*,“ złożonej z szeregu opowiadań, wyjętych z owych wspomnień starej panny, dążność ta przyjmuje nawet ton wyraźniej dydaktyczny, któremu nie przeszkadza wątła ich osnowa, wysnuta z wyobraźni i obserwacyi. Za pośrednictwem swej starej panny porusza tu autor rozliczne kwestye bieżące, dotyczące stanu moralnego, intelektualnego i ekonomicznego różnych sfer francuskiego narodu, oraz niekorzystnej ewolucyi, której Francya obecnie ulega.

Prócz tego znajdujemy tu charakterystykę starej panny „z powołania,“ która pozostaje w panieństwie nie z konieczności, lecz własnowolnie, z wyboru, aby korzystając ze swej zupełnej niezależności, oddać się całkowicie na usługi bliźnich, potrzebujących pomocy zarówno materialnej, jak i moralnej, do dźwignięcia się z poniżenia, do którego doprowadzają biednych szybko zgubne nałogi i brak jakiegokolwiek kierunku duchowego, odkąd zwłaszcza zniesioną została szkoła chrześcijańska. Ta stara panna oprowadza czytelnika po upośledzonych dzielnicach Paryża, gdzie zamieszkuje nędza i daje mu poznać rozmaite typy ludności biednej

i jej opuszczenie pod względem wychowania religijnego i pochodzący stąd zupełny zanik poczucia moralności. Ale pomimo wszystko, u tych biednych Paryża pozostały jeszcze w głębi serca pewne odruchowe skłonności szlachetniejsze, spadek dziedziczny po całym szeregu pokoleń chrześcijańskich, którego wpływy dzisiejszej szkoły rządowej i ogólnego rozprzężenia nie zdołały jeszcze wykorzenić. Gorzej jest, jak twierdzi owa stara panna, na wsi. Tam znowu panuje polityka, której pierwszym skutkiem jest niepomierne pobudzenie chciwości, a stąd przedajność sumienia, nie dopuszczająca do serc i umysłów żadnych uczuć lub myśli bezinteresownych. Rola proboszcza w parafii, szczególnie od czasu przeprowadzenia rozdziału Kościoła od państwa, stała się, wobec serwilistycznej zależności gminy od prefekta, żadną. To też p. Bazin, opierając się na swem doświadczeniu i znajomości stosunków i ludzi, daje, za pośrednictwem zawsze swej starej panny, wskazówki duchowieństwu, jak powinno do zmienionych warunków zastosować swe postępowanie, by odzyskać utracone wpływy i ratować naród od ostatecznego zwyrodnienia.

Dalej mówi o stosunku rozwoju oświaty elementarnej do poziomu moralnego ludności i dowodzi cyframi, wziętymi ze statystyki kryminalistycznej, że pomiędzy jednym a drugim niema żadnego związku, moralność bowiem zależy nie od większej lub mniejszej sumy wiadomości, ale od wychowania, którego świecka szkoła rządowa nie daje wcale, przeciwnie, stara się zburzyć w umyśle dziecka te nawet zaczątki zasad, które mogło otrzymać w domu. Autor potrąca tutaj również o sprawę wykształcenia kobiet, mówi o wyborze w czytaniu i zwraca uwagę na szkodliwość t. zw. literatury amoralnej, ukrywającej pod pozorami artystycznymi brak myśli głębszej i pozwalającej sobie, pod tą pokrywką sztuki, na sławienie wszelkich bezceństw.

Całość tej książki, pełnej myśli, uwag i intencji doskonałych, obserwacji trafnej, oraz prawdziwego, ale pozbawionego sztucznej tkliwości, współczucia dla wszelkiej nędzy ludzkiej, wyrażona nadzwyczaj jasno i zwięźle, jest, pomimo pewnego nadużycia tonu moralizatorskiego, nader pożyteczną i zajmującą.

Zwrot do piśmiennictwa ideowego, dość wyraźnie w ostatnich czasach zaznaczony, odbił się nawet na autorze tak wyłącznie uczuciowym i wrażeniowym, jakim jest *Piotr Loti*.

„La Mort de Philae,“ ostatnia jego praca, tego dowodzi. „La Mort de Philae“ prowadzi nas, jak wszystkie utwory Lotiego, do krajów egzotycznych, tym razem wszakże nie po to, by dzielić z nami subtelne wrażenia, wywołane w jego wyczulonej duszy przez

czarujące własności przyrody niezwykłej lub przez związane z nią objawy czynności i myśli — kultury społeczeństw fizycznie i duchowo od nas się różniących, ale przeciwnie — by współubolewać nad zanikiem w tych krajach charakteru odrębnego, który przetrwał nienaruszonym liczne wieki i stanowi o ich rzeczywistości i oryginalnym pięknie. Książka ta jest rodzajem notatek z podróży, w których Loti potępia z oburzeniem wstrętny duch merkantylizmu, z jakim kolporterzy nowożytnej cywilizacji i dżynu bezczeszczą starożytną ziemię Faraonów. Filipika ta jest więc skierowaną głównie przeciw Anglikom, których politykę Anatol France w swej „Ile des Pingouins“ określił charakterystycznym rysem w tych słowach: „w koloniach swych wymordowują trzy czwarte ludności, aby pozostałych zmusić do nabywania za dobrą cenę szelek i guzików swego wyrobu.“ Loti oburza się na widok banalnych gmachów, t. zw. Palace-hotelów, które wznoszą się na skraju pustyni, gorszy się nieprzyzwoitością i płytką głupotą turystów z kompanii Cooka, ich nieposzanowaniem odwiecznych tradycji miejscowych i miejsc świętych, które są dotąd przedmiotem czci mieszkańców. Gorszy się również robotami inżynierów, którzy ośmielili się zmienić bieg Nilu! I zapewne, w tem oburzeniu artysty i poety jest trochę przesady, ale ile jednak ma słuszności, gdy piętnuje tych pseudo-cywilizatorów europejskich, czy to będą Anglicy, Francuzi, Niemcy lub inni, którzy w pogoni za osobistym zyskiem, dopuszczając się wszelkich nadużyć i rabunków, a w każdym razie działając w celach egoistycznych bez żadnej troski o ogólne dobro ludzkości, chcą odgrywać rolę pionierów cywilizacji, polegającej w ich przekonaniu na banalnym, burżuazyjnym konforcie europejskim. W gruncie rzeczy, niszcząc bez wyboru wszystko, co w obyczajach i kulturze miejscowej było złem, czy dobrem, wykorzeniając tradycje, odmieniając, stosownie do swych wygod, potrzeb lub chciwości, zewnętrzny wygląd kraju, demoralizując ludność, o ile to jest z korzyścią dla ich niecznego handlu, działają oni na szkodę prawdziwej cywilizacji, bo każda najdrobniejsza nawet kultura zasługuje na poszanowanie, jako bowiem objaw ducha ludzkiego, jest ona częścią kultury ogólnej, a więc dobrem wspólnym całego człowieczeństwa. Kto ją niszczy, jest barbarzyńcą, nie zaś cywilizatorem.

Nie można więc dziwić się, jeżeli taki artysta i poeta, jak Loti, który tak odczuł i pojął, tak namiętnie ukochał ten kraj-kolebkę cywilizacji wszechświatowej, jego odwieczne pomniki i zabytki; jego tradycje i wspomnienia; jego całą przeszłość, od Faraonów do Islamu, wnosząc protest przeciw destrukcyjnej dzia-

łałości nowożytnych Wandalów, mógł dać się unieść uczuciu i dopuścić się przytem pewnej przesady.

Od utworów ideowych oddali nas nieco młody autor, *Emil Moselly*, którego powieści „Jean des Brebis“ i „Terres Lorraines“, nagrodzone na konkursie Akademii Goncourt'ów, a także późniejsza—„Le Rouet d'ivoire,“ są utworami przedewszystkiem uczucia, a następnie obserwacyi. Z powodu swego kolorytu czysto lokalnego, utwory te zaliczyć można do kierunku prowincjonalnego, chociaż nie mają one prawie nic z tego, co ten kierunek u innych jego przedstawicielei przeważnie cechuje—tezy społecznej, moralnej lub politycznej. Nie są one nawet odbiciem całkowitem życia prowincyi, lecz raczej szeregiem obrazów, w których na tle nieco drobiazgowo traktowanego krajobrazu, byłyby naszkicowane figury w uproszczonych, ogólnych liniach i planach, z silniejszym podznaczeniem pewnych rysów, które autor chciał uwydatnić.

Zauważmy, że takie traktowanie obrazu byłoby błędnem, grzeszyłoby bowiem przeciw harmonii. Ta sama uwaga da się też zastosować i do tworu wyobraźni, jakim jest powieść, chociaż w tym ostatnim błąd ten mniej rzuca się w oczy i dlatego łatwiej ujść może. Tym rysem głównym, który autor w swych postaciach starał się pogłębić, jest uczucie. Ono to, wraz z tą malowniczą obrazowością w odczuciu i odtworzeniu widoków, obyczajów i rzeczy wiejskich jest tutaj czynnikiem najważniejszym, wzbudzającym zajęcie i zastępującym akcyę, której zwłaszcza w pierwszym z tych utworów niema prawie wcale. „Jean des Brebis ou le Livre de la misère“ zawiera szereg nowel, w których postacią dominującą jest biedny, bezdomny pasterz lotaryński, zwany Jean des Brebis. Duszę tego prostaczka, niezachwianą w swej pierwotnej szczerości żadnemi więcej złożonemi pojęciami, oraz burzę, jaką w niej wywołuje nieuczciwe względem niego postąpienie pewnego polityka, umie p. Moselly odstąpić i ukazać w całej jego wzruszającej prawdzie.

„Terres Lorraines“ jest powieścią o nieco szerszym zakresie i posiada akcyę cokolwiek więcej skomplikowaną. Za tło służy jej życie rybaków, których maluje obyczaje, zagrożone obecnie powszechnym prądem, popychającym bezrolną ludność Lotaryngii, równie jak i innych prowincyj francuskich, do opuszczenia kraju rodzinnego, by w obcych stronach szukać większego dobrobytu. Treść „Terres Lorraines“ stanowi idylla tragiczna, rozwiązująca się samobójczą śmiercią młodej dziewczyny, córki rybaka, której narzeczony, również rybak, porzuca ją, zwabiony wdziękami innej, córki flisaka, i nadzieją lepszej przyszłości w dalekich krajach.

Intryga i akcja jest tu także, bardzo prosta i cała zasługa tej powieści leży również całkowicie w odtworzeniu nie mniej prostych, ale prawdziwych i głębokich uczuć miłości, żalu i rozpaczycy opuszczonej dziewczyny, oraz nieco więcej skomplikowanych wahań młodego rybaka w walce pomiędzy uczuciem dla narzeczonej i poczuciem obowiązku, a pokusą, której ulegnie. Tutaj wrodzona uczuciowość autora przechodzi miarę zwykłą i udziela się czytelnikowi z siłą rzeczywistą.

Nastrój tych utworów p. Moselly jest smutny, bolesny, aż do tragizmu lub beznadziejności, szary, czasem monotony, ale przejęty zawsze głębokiem współczuciem dla niedoli tych ludzi, którzy autorowi bliżcy są duchem i krwią.

„Le Rouet d'ivoire“ składa się z drobnych opowiadań, poświęconych wspomnieniom lat dziecińczych autora. Wieś lotaryńska jest tam wywołaną we wszystkich szczegółach jej bytu, z dziwnie żywym w swej szczerej naiwności urokiem.

Utwory powieściowe Emila Moselly obejmują już, jak to widzimy, treść bardzo szczupłą, którą autor podporządkowuje uczuciu i efektom wrażeniowym. Jeszcze mniej treści tego rodzaju znajdujemy w ostatniej powieści p. *René Boylesve*, p. t. „Mon Amour.“ Tu niema już ani intrygi, ani akcji, a osnowa utworu da się opowiedzieć w paru słowach. Zato uczucie wypowiada się tu prawie bezpośrednio, dzięki prawdziwie niezwykłemu mistrzostwu autora, który, wyrażając się z istic klasyczną jasnością i ścisłością, potrafi, bez żadnego uprzedniego przygotowania lub objaśniania czytelnika, bez pomocy wszelkich akcesoryj dekoracyjnych, ujawnić, obnażyć i poddać subtelnej analizie uczucie miłości, w miarę jego powstawania i rozwijania się w sercu człowieka, spowiadającego się nietylko z tego uczucia, ale i ze wszystkich, towarzyszących temuż wrażeniu, nawet najdrobniejszych. Te wrażenia, jako powstałe w otoczeniu przedmiotu swego kultu lub z jego przyczyny, powiększają się w oczach zakochanego do tego stopnia, że wywołują objawy natury sentymentalnej, napozór nieuzasadnione — przeskoki nadzwyczajne od radości i nadziei, do smutku i zwątpienia; od nieznośnie szarpiącego nerwy niepokoju, do apatyj i obojętności. Przez te wszystkie fazy, których tłem jest bądź co bądź melancholia serca niezrozumianego, przez wszystkie te tortury wewnętrzne przechodzi ów zakochany, jak sądzić można z myśli i uwag wypowiedzianych w jego dzienniczku, człowiek o wysokim poziomie umysłowym i etycznym. Kocha on, z początku w cichości ducha i prawie bezwiednie, panią de Pons, młodą mężatkę, której mąż, zabrawszy jej kosztowności

i pieniądze, znikł w towarzystwie kochanki. Przywiązania pani de Pons do męża nic osłabić nie może. To jej nieszczęście, po pierwszych wybuchach rozpacz, wprawia ją w stan niepokojącej apatii, po pod którą trawi jej serce żal i tęsknota, przy jednoczesnej zupełnej utracie woli, tak, iż daje się powodować we wszystkim swej matce. Ta ostatnia, mając zasady na punkcie miłości dość swobodne, nie byłaby przeciwną, gdyby jej córka przybrała kochankę, w przekonaniu, że to ją rozerwie i pozwoli zapomnieć o niegodnym mężu. Stworzonym do tej roli i wybranym przez nią jest właśnie ów dyskretny wielbiciel jej córki. To też zachęca ona jego uczucia i nadzieje widokami na rozwód i małżeństwo i ułatwia im sam na sam, czego wynikiem jest, iż oboje, w chwili bliższych wynurzeń i jakby mimowolnie, należą do siebie. Ale pani de Pons, mimo wszystko, nie może zapomnieć swej rzeczywistej miłości dla niewiernego, zaś jej wielbiciel czuje, iż sam poniżył swój ideał, i to sprawia, że następuje między nimi, po tem zbliżeniu, pewne wstydlive oddalenie. Tymczasem powraca mąż, który, po stracie pieniędzy, zatęsknił za domem i żoną, i wtedy pani de Pons, nie bacząc na rozwód już postanowiony, ani na swe świeże zobowiązania, śpieszy rzucić się w jego objęcia.

Zawiedziony wielbiciel i kochanek, prócz bardzo ściślej analizy swych uczuć i serca, wypowiada też myśli, spowodowane przez te uczucia lub okoliczności, które je wywołały. Między innymi wyciąga on nieco paradoksalny wniosek z niczem niezachwianego przywiązania pani de Pons do męża, że kobieta jest z natury obdarzoną instynktem monogamicznym, który z niej czyni raz na zawsze przynależność jednego tylko mężczyzny. Zdanie to brzmi tem dziwniej w czasach, gdy, nie mówiąc o samem życiu, cała literatura powieściowa i dramatyczna zdaje się dowodzić, że jest przeciwnie. Zresztą, nawet u pani de Pons instynkt monogamiczny pozostaje w sferze duchowej i uczuciowej i nie przeszkadza jej oddać się fizycznie innemu mężczyźnie, ale, co prawda, czyni ona to w jakiejś chwili zapomnienia i jakoby pod wpływem sugestyi swego otoczenia.

Pomimo tej autoanalizy, doprowadzonej do najdalszych granic, w których człowiek jest jeszcze w stanie kontrolować własne uczucia, utwór ten nie ma suchego charakteru ekspertyzy, wskutek szczególnie szczerych akcentów i niezmierniej prostoty stylu, przy wyrażeniu rzeczy najsubtelniejszych.

P. Boylesve jest już bardzo wysoko ceniony za poprzednie swe utwory, z których takie, jak „Les Bains de Bado,” „Le Parfum des Iles Borromées,” „La Leçon d'Amour dans un Parc” —

prawdziwe arcydzieła stylu, łączą w sobie formę i ducha klasycznego z poezją romantyzmu, wytworną lekkość i spryt, nieco swobodny, w charakterze XVIII w., z fantazyą i marzeniem. Inne—„Sainte-Marie des Fleurs“ i „Le Meilleur Ami,“ przejęte wyjątkowej głębi uczuciem, płynącym jakoby z serca autora, mogą być porównane do takich krwią serdeczną pisanych utworów, jak „La Princesse de Clève“ pani de Lafayette lub „Adolphe“ Benjamin-Constant'a, gdy znowu powieści „Le Medecin des dames de Néans,“ „Le Bel Avenir,“ „Petits bateaux de Seringapatam“ są dziełami obserwacyi, w których autor umie być obiektywnym i wyodrębnić ich przedmiot od uczuć własnych. Wreszcie przenikliwość w odróżnianiu odcieni uczuć i stanów duchowych, którą okazał w „Mon Amour,“ stawia p. Boylesve w rzędzie psychologów szkoły Bourgeta.

Po ostatniej swej wielkiej powieści „L'Emigré“ *Paweł Bourget* wydał obecnie tom nowel p. t. „Les Détours du coeur.“ Nowelle te są to właściwie prawdziwe syntetyczne romanse, posiadają bowiem w skróceniu wszystkie pierwiastki, które wystarcząłyby rozwinąć, by uczynić z nich dzieło szerszego pokroju.

Autor rozpatruje tu t. zw. „cas de conscience,“ t. j. okoliczności, w których sumienie człowieka postawionem jest wobec wyboru pomiędzy skłonnościami serca, a obowiązkiem lub wobec dwu sprzecznych obowiązków, albo też w położeniu szczególnie delikatnem, gdy serce, rozstrzygając po swojemu, ma słuszność nawet wbrew zwyczajnie obowiązującym przepisom bieżącej moralności, bo „sercem można zawsze dopomódz dobrem, by zostali lepsi, a złych uchronić od stania się gorszymi.“ Wychodząc zresztą z zasady moralnej, że instynkt ustąpić powinien przed obowiązkiem, p. Bourget daje tutaj głęboko uchwycony wyraz życia uczuciowego, namiętności poskromionych—analizę nader subtelną stanów psychicznych i umie w tych krótkich powiastkach, o treści przeważnie mocno dramatycznej, skoncentrować rysy zasadnicze charakterów i akcji, tak, iż zdają się one wymagać urzeczywistnienia na scenie.

ORWID.

WOLA LUDU.

Ktoby, sądząc z tematu, wnioskował, że przesunie się traktat polityczny o woli ludu przed jego oczyma, myliłby się. Nas tutaj zajmuje pytanie, co jest wola ludu, jako objaw socjalno-psychologiczny i socyologiczny, na które to pytanie odpowiedź, wprawdzie krótka i bynajmniej nie wyczerpująca, wobec żywej aktualności politycznej strony tematu, może zdoła wzbudzić zajęcie szanownych czytelników. Zebrać z ciemnych kątów duchowości społecznej wiązkę przednich zagadnień i rzucić w nią choć kilka promyków — oto nasze zadanie.

Dziwny czar wieje ze słów: wola ludu. Może unosi się z pod skrajności funkcyjnej tego czynnika, czyli wyraźniej: może wynika z jednakowości indyferentyzmu, z jakim się wola ludu oddaje na usługi najskrajniejszej treści: radykalny demagog apeluje do woli ludu, łechce nią zmysły masy i wiedzie do czynu; a z niemniejszym szczęściem i okrutny tyran opiera na woli ludu swój despotyzm i z jej pomocą depce prawa. Może też wywiera równie silny urok inna tajemniczość woli ludu: dla jednych to vox populi vox Dei, dla drugich — to synonim ciemnoty gromadnej.

Cóż to więc jest ta wola ludu? jakie jej główne znamiona?

Chcąc poznać niektóre, przenieśmy się duszą w tłum ludowy, w jakimkolwiek celu gdzieś zebrały. Cóż zobaczymy?

Lekkie wrażenia, które dla poszczególnej jednostki z osobna małe posiadałyby znaczenie lub możeby nawet minęły niemal niepostrzeżone, potęgują się i wyrażają w sposób daleko silniejszy. Na lada drobnostkę następuje nieraz silna reakcyja psychiczna. Salwy śmiechu wywołuje dowcip, któryby dla niejednego

osobnika był dość obojętnym. Mierny śpiew lub gra zyskują nieraz grzmiące oklaski, które jakoby się kończyć nie miały, wreszcie powoli milkną; a oto ktoś nieco mocniej się odezwał, i jakby na znak dany wzbierają i piętrzą się z szybkością błyskawiczną na nowo brawa, huragan uniesienia trzęsie salą. Mówca ubrał kilka argumentów lichych, któreby same w nagiej treści bodaj były trafiły do przekonania pojedynczych słuchaczy, uświadomionych i spokojnie rozważających, w olśniewające obrazy, przypadające do smaku; nastroił na nutę, która wywołuje oddźwięk w uczuciu każdego słuchacza, i osiągnął jednogłośną akłamację; jeżeli zaś zrywając niemal zupełnie pęta logiki, odezwie się do najwyższych uczuć, zagłuszy bezmyślność treści olbrzymią potęgą akordów, sięgających do najszybszych i elementarnych głębin duszy ludowej, to może być pewny zupełnego zwycięstwa; frazesy w oka mgnieniu przenikają masę, rzucając w nią jakby konwulsyjnie słowa, wypowiedziane do „serca,“ a wśród gwałtownego huk i grznotu tonie i ginie szary wątek luźno splecionej treści. Naodwrot: w toku spokojnej i dobrze opracowanej mowy podrażniły ucho tłumu jakieś dźwięki, wprawdzie z cichymi tonami logicznej argumentacji ściśle złączone, ale wyrwane z melodyi myśli masowej i stąd zgrzyt sprawiające; powstaje w miejscu rzeczowo zupełnie niewłaściwym żdziwienie, oburzenie przybiera coraz szersze rozmiary, aż wreszcie krzykliwe wybuchy uniemożliwiają dalsze przemówienie. Przerwa! Powoli gładzą się fale oburzenia; mówca stara się łagodnymi słowy wytłómaczyć słuchaczom, że go widocznie fałszywie „zrozumiano;“ może niechcący wyrwają mu się z ust silne hasła, nawpływające do spokoju; znalazły oddźwięk w nurtach masowych i w jednej chwili wynagradza rozdrażnienie daleko silniejsze przytakiwanie.

Nieraz spaja się odrazu zrećcznie logika argumentacji z drganiem fal myślowych i uczuciowych w tłumie; wtedy na zewnątrz zupełna harmonia, niema żadnych protestów; a jednak często „wewnętrzny“ dysonans przeniknie do delikatnego ucha; nie na szczycie rzeczowości argumentacyjnej, ale w miejscach najwyraźniej oddających uczucia masowe, odbija się najgłośniejsz wśród frenetycznych aplauzów echo tłumu.

Hekolwiek nagromadzilibyśmy przykładów, wszędzie uderza spotęgowana wrażliwość, pobudliwość, jednolita szybkość i chwiejność zarazem, uczuciowość nadmierna. Uczucie rozpościera się i góruje; umysł spokojny, jakoby się ukrył!

Ale to tylko jedna strona kompleksu objawów woli masowej. W absolutnie mniejszym stopniu, względnie zaś może w niewiele

mniejszej proporcji mogą się zdarzać tego rodzaju zjawiska psychiczne i wśród jednostek wielce wrażliwych, ze strukturą psychiczną, mało pod względem umysłowym rozwiniętą, zato w kierunku uczuciowym spotęgowaną.

Poszliśmy obserwować masę, chcieliśmy z wyżyny inteligentnej jaźni spoglądać jedynie badawczo na tłum, nie nas nie miało drażnić i przerywać nam psychologicznej obserwacji w odosobnionym kąciuku, chcieliśmy być przedmiotowym widzem, ale oto coś się niejednemu z nas zdarzyło?

Siedzi widz z początku spokojny; ale wnet dziwne odczuwa wrażenie: coś jakby ulatniało się z masy, i lekko spuszczać się ku niemu, delikatnie po nim faluje i ogarnia go atmosferą tłumy; potem wnika weń jakieś napięcie gromadne; pomruki, uśmiechy, brawa, tupot, krzyki rzucają się na osobnika, tłoczą go dziwnym ciężarem; widz raz po raz doznaje lekkich drgań; ciężar atmosfery drażni, chwytą go; chce się otrząsnąć, oprzeć, a siła nieznana kępuje coraz bardziej jego wolność, swobodę ruchów i myśli; niechący spektator dostał się w kleszcze masy i sam wreszcie raz po raz powtarza na pół nieświadomie ruchy otoczenia, ba! nawet miesza czasem w momentach porywających swój głos i swoje okłaski z burzą tłumy; on, co chciał jedynie patrzeć, badać, biedz za lotem własnych myśli, nie może usiedzieć spokojnie, porwany wirem tłumy!

Wśród tłumy ginie zazwyczaj jednostce pełna świadomość osobowości, która z wielu osobników razem zlewa się w jakąś jednolitą masę, sterującą słabą łódką uczuć i myśli indywidualnych w jednym kierunku silnych fal masowych. Całość stanowi jakoby psychicznie zorganizowaną jedność; masa—to niejako psychiczna istota, podlegająca prawu jedności umysłowej (*loi de l'unité mentale des foules*).

Zarzuci kto może, iż w sali były 2, 3 partye, które się srodcie zwalczały; więc jakże tutaj mówić o jedności masowej? Fakt taki niczego nie dowodzi przeciw jednolitości tłumy, gdyż nie znaczy to, jakoby grupa, w jednym miejscu równocześnie zgromadzona, stanowiła jedną masę; przeciwnie, w jednym miejscu może być równocześnie kilka mas; naodwrot mogą dziesiątki, setki lub tysiące i t. d. jednostek, w różnych miejscach się znajdujących, tworzyć, pod wpływem wielkich wstrząśnień duchowych, np. wielkich wydarzeń religijnych, narodowych, społecznych—jedną masę. Zwykle wprawdzie odpowiada jedności miejsca jedność masy; wszelako nie jest to decydującem; nie chodzi o łącznik lokalny, ale o psychiczny.

Jakże sobie ten jednolity kierunek woli i akcji tłumu wytłumaczyć?

Ponętnem mogłoby się wydawać następujące wyjaśnienie: tłum składa się z nader różnych jednostek, jasnych umysłów i ciemnych mózgów, szerokich i bujnych wyobraźni i ciasnych, mglistych widnokręgów; u jednych składniki psychiczne poczynają się usamodzielniać i dają trzeźwemu rozumowi więcej wolności, u innych tworzą uczucia i myśli zbitą, niekształtną całość; otóż, aby mogło nastąpić porozumienie, musi najwyższy, mniej wyższy i t. d. zejść na szczebel najniższego, boć najniższy nie może wzbąć się w sfery wyższych i najwyższych; wszystkim razem może być wogóle wspólnem tylko *quantum quale* psychiczne osobnika najniższego; już sama praktyka życiowa wskazuje na to: mówca „dostraja“ się do poziomu słuchaczy lub też nie umie się zniżyć i pozostaje niezrozumianym.

Aczkolwiek celowość porozumienia i działania masowego domaga się takiego aktu, aczkolwiek potwierdza go praktyka życia, to jednak nie może nas taka „konstrukcja“ psychiczna zadowolić, odślania nam ona bowiem niejako skutek funkcij umysłowych, a w ukryciu zachowuje w wielkiej części ich rodzaj, rzuca nieco światła na cel dróg duchowych, drogi zaś same przeważnie zostawia w ciemności; zdolna wyobrazić w pewnej mierze napięcie uczuciowe masy, o wiele mniej już wyraża jednolitość akcji. O ile wchodzi w grę czynne, świadome zniżanie się mówcy i t. d. do poziomu najniższych, rzecz jest jasna, i nie domagamy się dalszego tłumaczenia; czynność świadoma jednostek jest nam odpowiadzą. Podobnie ma się rzecz co do jednolitego kierunku woli: o ile umyślnie starają się wyżsi wśród masy iść w kierunku woli najniższych, nie szukamy dalej dróg psychologii masowej.

Ale przecież nie odgrywa tutaj świadomość tak ważnej roli: większa część jednostek mniej lub więcej nieświadomie i biernie ulega działaniom syntezy psychicznej, z których efektu wcale nie zdaje sobie rachunku, ba, którego bodaj nie spostrzega. W ramach *nieświadomości* poczyna się problemat.

Nieświadomości?! Tak, nieświadomości.

Nowoczesna psychologia zrobiła odkrycie, że nietylko w życiu organicznem, ale także w funkcjach intelektualnych przeważają zjawiska nieświadome. Świadome życie duchowe jest tylko nader małą częścią całego życia psychicznego, którego głębsze tonie wypełnia nieświadomość. Najdelikatniejsza analiza i najbystrzejsza obserwacja odkrywa tylko małą liczbę świadomych motywów życia psychicznego. Nasze uczynki świadome wyrasta-

ją wśród gęstwiny nieświadomości; w jej gąszczu kryją się, zwłaszcza liczne, nader liczne, ślady praojców, z których składa się dusza rasowa.

Za znanymi motywami naszych uczynków migocą blade, tańce się przyczyny, z których nie zdajemy sobie dokładnie sprawy, a za niemi błakają się w ciemnej dali zupełnie tajne praprzyczyny, których wcale nie znamy.

Zwłaszcza w dziedzinie składników nieświadomych (t. j. tych, które działają bez naszej pełnej świadomości), edukacją lub nadzwyczajną dziedzicznością nieprzekształconych, w dziedzinie prostych instynktów, uczuć, namiętności, istnieje wielkie podobieństwo między członkami jednej rasy, którzy się zresztą pod względem inteligencji wielce różnią; tak między wielkim filozofem, matematykiem, politykiem i t. d. a ich służbą domową może istnieć przepaść intelektualna, ale różnice charakteru mogą być arcymałe.

Te ogólne, wśród większości normalnych osobników jednej rasy bardzo podobne właściwości psychiczne, podlegające władzy nieświadomości, „uspołeczniają“ się w masach; intelektualne zaś, a tem samem i indywidualne różnice, zacierają się w duszy masowej.

Jakież więc są drogi tej nieświadomej syntezy, która wytwarza duszę masy?

Niemające znaczenie przypisywać należy samej *liczbie*. Wielka ilość osobników, ulegających — choć w nierównym stopniu — tym samym lub podobnym wrażeniom, sprawia, że całość nastroju masowego tłoczy jednostkę z siłą, która nowe z niej wymusza daniny objawów psychicznych; tak więc wzajemność oddziaływania musi potęgować afekt. Dalej stać się może, że indywiduum nabiera w masie na podstawie samej liczby uczucia niepokonanej siły, traci wśród bezimienności i nieodpowiedzialności masy poczucie odpowiedzialności osobistej, a tem samem wypuszcza z rąk hamulce instynktów, które w odosobnieniu bardziej muszą działać.

Z liczbą wiążą się zjawiska *sympatyji*. Ścisła styczność tylu różnorodnych ludzi wywołuje — tak wolno przypuszczać — wielką ilość ciemnych odczuć sympatycznej i antypatycznej treści, spaja z różnorodnością wrażeń rozmaite powaby, popędy i kojarzenia, które razem, aczkolwiek żaden z tych czynników nie dochodzi do punktu świadomości, sprawiają nerwowość masową, która czepia się namiętnie każdej treści i rozszerza ją daleko ponad miarę znaczenia, jakie posiada dla osobnika, nie znajdującego się w tym stanie podrażnienia.

Ważniejszą jest wszelako inna forma sympatyj, którą nazwać można naśladowaniem. Naśladownictwo już w świecie zwierzęcym spełnia funkcje organizacyjne.

„Dans un troupeau de singes, de chevaux, de chiens, d'abeilles même et de fourmis, le chef donne l'exemple de l'acte qu'il ordonne in petto, et le reste du troupeau l'imité. Par degrés, on voit l'intention impérative confondue d'abord avec l'initiative de l'acte commandé, se séparer de celle-ci. Le chef se borne à ébaucher cet acte, plus tard il en fait seulement le geste. Du geste on passe au signe; ce signe est un cri, une attitude, un regard, enfin un son articulé. Mais toujours le mot réveille l'image de l'action à accomplir,—action connue, bien entendu, car on ne commande pas une invention, on ne décrète pas le génie — et cette image est l'équivalent de l'exemple primitivement donné par le chef“ (zob. G. Tarde, *La logique sociale*, IX). ¹⁾

Inny objaw wśród zwierząt gromadnie żyjących jest może nie tylko następstwem wielkiej ilości, ale również przykładem nieświadomego naśladownictwa lub wrażliwości: lekki trzepot, mały skok jednego zwierzęcia zamienia się nieraz w popłoch zupełny całej gromady.

Ale mniejsza o zwierzęta! Jakże działa nieświadome naśladownictwo wśród ludzi? Minowolnie naśladujemy nieraz ruchy, które spostrzegamy około siebie. Na ulicy tak często widzieć można, jak nie tylko dzieci, ale i starsi maszerują w takt z muzyką wojskową; nieraz nieświadomie lub na pół świadomie nuczmy melodyę, odbijającą się o nasze uszy, ba, nawet mniej lub więcej bezwiednie zabieramy się w chwilach, silniej o struny naszego serca uderzających, jakoby do tańca; widok żywej akcji uwydatniamy na pół świadomie lub bezwiednie dziwnym akompaniamentem własnego ciała.

Tak też w wielkiem zebraniu powtarzamy najpierw jedynie w formie fizycznej ruchy cielesne, zmianę wyrazów twarzy i t. d. osób obok nas się znajdujących. Ale jak wśród naszego otoczenia działa kojarzenie między uczuciem a jego objawem zewnętrznym, tak też i w nas istnieje i działa, wprawdzie w kierunku odwrotnym: nasze otoczenie uwydatnia uczucia na zewnątrz przez ruchy cielesne, niejako oryginalne; w nas zaś wywołują naodwrot ruchy naśladowane przynajmniej cząstkę odpowiedniego zjawiska wewnętrznego.

¹⁾ Prawami imitacji zajmuje się szczegółowo dzieło Tarde'a „*Les lois de l'imitation. Étude sociologique.*“

Zdanie ludowe, że trzeba tkwić w czyjej skórze, by zrozumieć kogoś, zawiera jądro głębokiej psychologicznej prawdy; naśladować kogoś, przyoblekamy się o tyle w obcą skórę, o ile skojarzenie między zewnętrznym objawem a aktem psychicznym odzwierciedla w naszej duszy uczucia, które w nas dawniej także ten objaw zewnętrzny wywołały.

Ten akt imitacji odruchowej¹⁾ znajduje nawet w zupełnie innej dziedzinie—zda się—nader praktyczne zastosowanie. Aktor, naśladowując najpierw zewnętrznie potrzebne pozycje i ruchy, wnika wreszcie w ich wewnętrzne życie, po szczeblach zewnętrznej imitacji zapuszcza się zupełnie w głąb duszy bohatera, a potem uzewnętrznia niejako swoją grą jego nastrojów psychologiczny.

Łańcuch zmysłowego uzewnętrzniania afektu ze strony tłumu i odruchowego naśladownictwa ze strony jednostki skuwa więc nas z bodźcami środowiska. Imitacja jest naturalnie tem pewniejszą, jej rozmiar tem szerszym, im częściej uzewnętrznia się około nas ten sam afekt, im bardziej nas samych cechuje wrażliwość.

Skoro tak się już dzieje, gdy z nastrojem neutralnym idziemy w gromadę, o ileż bardziej musi to występować na jaw, jeżeli nastrojów łączy się zgóry z melodią psychiczną tłumu! To musi nawzajem piętrzyć nastrojów, porywać i rzucać intelektualne i indywidualne momenty w otchłań tego uczucia, które wszystkim jest wspólne, uczucia tłumu.

Arcyważną jest także sugestywność mas. Nowe badania fizyologiczne wykazały, że można człowiekowi za pomocą rozmaitych procederów odebrać świadomość osobowości, tak, iż słucha wszelkich sugestyj hipnotyzera i spełnia czyny, znajdujące się w nader ostrem przeciwieństwie do jego charakteru i jego zwyczajów.

Zdaje się, że stan jednostki w łonie psychologicznej masy jest podobnym. Niema już świadomości, a przynajmniej pełnej świadomości swoich uczynków. Niektóre skłonności mogą w takiej jednostce, jak w duszy hipnotyzowanego, spiętrzyć się do najwyższego napięcia, gdy inne tracą istnienie czynne. Taki człowiek zdolny pod wpływem sugestyi masowej podjąć się wy-

1) O skutkach liczby, „sympatii“, naśladownictwa odruchowego, indyferencji psychologicznej jednostek i t. d. w dziedzinie działania gromadnego, ob. Jerzy Simmel, „Über sociale Differenzierung. Sociologische und psychologische Untersuchungen.“

konania pewnych czynów z zapędem nadzwyczajnym. A to napięcie psychiczne jest wśród mas jeszcze silniejsze, aniżeli w duszy jednostki hipnotyzowanej, ponieważ sugestia dla nader wielu jednostek równa, rośnie wzajemnością. Człowiek staje się wśród masy nieraz automatem!

Jednostki, które wśród tłumu znajdują siłę do stawienia oporu sugestyi, należą do wyjątków i są w zbyt małej liczbie, by mogły płynąć pod prąd. Co najwyżej mogą usiłować za pomocą innej sugestyi zmienić kierunek woli tłumu.

Najznamienniejszą drogą, wiodącą do syntezy umysłowej wśród masy ludowej, jest może brak różnic resp. mały stopień zróżniczkowania składników psychicznych u wielu jednostek ludowych. Na niskim szczeblu kultury przeważa mechaniczne kojarzenie w życiu duchowem, które łączy składniki myślowe w sposób zupełnie formalny. Podrażnienie jednego punktu rozszerza się w dziedzinach, które rzeczowo wcale się z punktem wyjścia nie stykają, i uwydatnia się stopniem wstrząśnienia psychicznego, nie odpowiadającym wcale sile i znaczeniu pierwszej pobudki. Zespół takich ludzi zdaje się wskazywać nieraz tylko łącznik podobieństwa lub następstwa. Eskimos wie z doświadczenia, że lód, ciało przejrzyste, taje w ustach, i wnioskuje stąd, że szkło, także przejrzyste, musi też stopnieć w ustach. Dziki wyobraża sobie, że, zjadłszy serce walecznego wroga, posiadzie jego waleczność; ten i ów robotnik nowoczesny sądzi, że wszyscy przedsiębiorcy są wyzyskiwaczami, ponieważ własny pryncypał go wyzyskuje.

Wyższa kultura różni w wiekowym pochodzie powoli i usamoistnia składniki psychiczne, spędza z pierwotnych wyobrażeń mgliste opary, daje myślom jasne i wyraźne zarysy, wyswobadza je z kajdan pokrewieństwa mechanicznego, a łączy węzłami pokrewieństwa rzeczowego.

Dopóki wszelako życiem duchowem jednostki włada mechanizm kojarzenia, dopóty muszą uczucia przygniatać funkcje rozumu, gdyż mglistość wyobrażeń pobudza i ożywia uczuciowość; a im bardziej ożywione uczucia, tem mniej wpływają objawy woli ze źródła kompleksów wyobraźniowych, wyraźnie określonych i logicznie dzielonych i wiązanych, wypryskają raczej z całej bezkształtnej lawy podrażnienia psychicznego, która jest skutkiem mechanicznego rozlewu pierwszej pobudki.

Jakże łączy się z tym brakiem różnic psychicznych i tą przewagą funkcji uczuciowych wśród jednostek psychologia masy, a zwłaszcza masy ludowej?

Myśl, rzucona w masę, traci wyrazistość zarysów, już z tego powodu, ponieważ jej recepcya w umyśle jednostek podlega wpływowi otoczenia. Już ten objaw sam w sobie, który się powtarza w każdej masie, nie tylko ludowej, wytwarza jedną z podstaw nastroju uczuciowego. Gdy zaś poszczególne subjekty, chwytające myśl w masie, same mało są pod względem psychicznym zróżnicowane, co zwłaszcza wśród ludu się zdarza, to oczywiście, pod wpływem zmniejszonej wyrazistości myśli, jaka wynika z recepcji masowej z jednej strony i skutkiem braku różnic wśród poszczególnych jednostek (zwłaszcza ludowych) z drugiej strony, musi dojść uczuciowość nastroju, przy współdziałaniu innych czynników wyżej traktowanych, do szczytu potęgi.

Kojarzenie między przedmiotami zupełnie niepodobnymi, a raczej tylko pobieżnie podobnymi i skwapliwe uogólnianie wypadków pojedynczych, znamionują myślenie masowe, a zwłaszcza masy ludowej. Przywódcy tłumu umieją nieraz „dorobić“ do tego rodzaju „logiki“ swoje „argumenty.“ Mówca, pragnący porwać masę ludową, potrzebuje tylko nadużywać *silnych* wyrażań, przesadzać, powtarzać, akcentować, czarować obrazami, nigdy nie wdawać się w ścisłe dowody logiczne, a dowiedzie wszystkiego i wywrze nadzwyczajne wrażenie, którego niezdolne byłoby usunąć całe tomy pracy myślicieli. Ale nie dziwny się! przecież jego mowa miała porwać masę, nie zaś być czytana w pokoju filozofa.

Oto kilka dróg syntezy woli masowej. Przecinają one teren psychiczny nader różnych mas, czy to parlamentarnej, czy też sądowej, czy to masy ze średnich warstw, czy też wreszcie tłumu ludowego. Tłum ludowy nie jest więc czemś zupełnie odosobnionem. Różnice między nim a wyższymi masami są—zda się—przewszystkiem stopniowe: minimum działania funkcji liczbowej, minimum naśladownictwa, minimum sugestyi, minimum (a czasem nawet niemal zero) wpływów indyferencji psychicznej jednostek wśród masy najwyższej, najbardziej wykształconej, najbardziej kulturalnej; maksimum wśród masy najciemniejszej, jaka wśród mało oświeconego ludu najprędzej się znajdzie. Ponieważ zaś napięcie różnic między minimum a maksimum objawów psychologii masowej może być znacznem, a tłum ludowy najwyraźniej je uwydatnia, przeto wolno go uważać za szczególny przedmiot psychologii masowej, za masę *par excellence*.

Jakże się uwydatnia na zewnątrz w niektórych szczegółach uczuciowość i jednolitość masy, zwłaszcza ludowej?

W masie schodzi wiele jednostek na szczeble *niższej* cywilizacji, niejeden staje się stworzeniem instynktownym, ba! barbarzyńcą. Masy bodaj czy kiedy będą zdolne spełniać czyny, do których potrzeba szczególnej inteligencji. O działalności parlamentu paryskiego w czasie „frondu“ sądzi kardynał Retz, że liczne ciała, chociaż mają nader wiele osób wybitnych i wykształconych, działają jednak przy wspólnych naradach i akcyach zawsze jak tłum. Porównajmy z tem „narady“ i „akcye“ niektórych nowoczesnych parlamentów, pomijając już zupełnie poziom „obrad“ i „czynów“ na niejednych wiecach socyalnych i politycznych proletaryatu. Stąd można nieco wyttómaczyć zdanie Schillera: „Jeder, sieht man ihn einzeln, ist leidlich klug und verständig, Sind sie in corpore, gleich wird euch ein Dummkopf daraus.“

Ponieważ masy tak bardzo ulegają wpływowi nieświadomości, przeto są igraszką przypadkowych zewnętrznych wrażeń i wciąż odbijają ich zmiany. Zwłaszcza w tłumie ludowym musi się to zaznaczyć: im mniej zróżnicowanym jest stan duszy, tem mniej hamulców znajdzie impuls, rozbijający się na powierzchni mglistej sfery duchowej i tem bardziej rozszerzy się bez oporu; ale stąd wynika także prędka wymiana zdań i postanowień wśród tłumu; wobec nowego impulsu bowiem jest znowu niezróżniczkowany duch niezdolnym do rzeczowego oporu; tak staje się masa ludowa niewolnicą bodźców. Ta impulsywność uwydatnia się w chwiejności tłumu, który wciąż pod wpływem wrażeń chwilowych, może przebiedz całą skalę przeciwnych uczuć; tłum podobnie mało jest zdolny do trzymywania się postanowień raz powziętych, jak do myślenia. Natomiast nie lubi przeciwieństw między postanowieniem a wykonaniem, nie tak łatwo przekona się o „niemożliwości“ czynu, co już sama liczba i brak odpowiedzialności tłómaczy.

Suggestywność masy łatwo wiedzie do czynu, a przynajmniej ma dążenie w tym kierunku.

Z suggestywnością, uczuciowością i brakiem zróżniczkowania psychicznego łączy się łatwowierność; tłum wierzy w rzeczy najnieprawdopodobniejsze. Najprostsze wydarzenie przekształca się w oczach masy, która, myśląc obrazowo, wnet wytwarza nowe obrazy bez związku logicznego z pierwszymi. Jednostkę oświeconą uczy rozum o braku związku między tymi obrazami, tłum nie zauważy tego i miesza wytwory swojej wyobraźni z rzeczywistym wydarzeniem. Różnojąkość jednostek mogłaby dawać po-chop do wnioskania, że przeinaczenia są nader różne. Tymczasem tak nie jest. Pierwsze przekształcenie zaraża innych, a w ten sposób biegnie jeden rodzaj przekręcenia w jednym kierunku. Ta-

kim jest może zawsze mechanizm halucynacyj zbiorowych, które mają rzekomo znamiona autentyczności.

Aczkolwiek poziom uczuciowości tłumu jest nader wysoki, to jednak brak mu cieniowań: uczucia jego są proste i przesadne. I nie dziw, skoro tłum, puszczając wodze wrażeniom, czyni ostre, prędkie skoki; toć delikatna tkanka cieniowań niema oparcia i musiałaby się rwać, gdyby wobec jednolitości psychicznej była wogóle możliwą.

Odczuwając w sposób prosty i przesadny, nie zna tłum, co powątpiewanie i niepewność; posądzenie łatwo zamienia się w pewność, antypatya łatwo w nienawiść. Oczywiście wchodzi tu także w grę bezinteresowność masy i świadomość siły; właśnie ograniczeni, niewykształceni, zazdrośni tracą w masie uczucie słabości a nabierają świadomości siły brutalnej, wprawdzie przejściowej, ale często olbrzymiej.

Przesada uczuciowa masy domaga się sama przesady u przywódców. Nie stosuje się to jedynie do demagogów wiecowych, o których już była mowa. Nawet zalety i cnoty bohaterów masy muszą przybierać szersze rozmiary, wypuklać się dobitniej, błyszczeć w świetle jaśniejszem, aniżeli w oczach oświeconej jednostki.

W pewnej łączności z tem znajduje się działanie faktów na fantazyę mas. Setki małych nieszczęść mogą w całości wywierać na jednostkę wielkie wrażenie, może nawet większe aniżeli jedno nieszczęście, które nie pociąga za sobą tyle ofiar; dla masy mogą przeciwnie setki małych nieszczęść minąć, jakby niepostrzeżone, jeżeli się nie uwidoczniają w sposób zmysłowy; do głębi zaś może poruszyć tłum jedno wydarzenie wyraźnie widoczne i skutki naraz zgęszczające, choćby pod względem następstw nie było tak doniosłem, co całość małych faktów niewidocznych i następnych.

Prostota i skrajność uczuć masy sprawia, że przyjmuje lub odrzuca en bloc myśli, idee i dogmaty, wehłaniane drogą sugestyi; nie znając zaś wątpliwości, co do prawdy a nieprawdy i posiadając w pełni świadomość siły, znamionuje się tłum zarówno brakiem tolerancyi, jak wiarą w autorytet. Jednostka o wiele bardziej zdolna jest znieść przeciwieństwo i dyskusyę; wśród tłumu arcyrzadka to rzecz. Ileż razy w publicznych zebraniach na lekkie sprzeciwienie się mówcy słuchacze odpowiadają rykiem oburzenia i wyzwiskami, które łatwo, jeśli mówca się nie cofa, przechodzą w czyn! Tłum szanuje siłę, a względnie mało zważa na dobroć, która mu nie imponuje siłą; to też sympatye swoje kieruje ku tyranom; a jeżeli depce strąconych, może to poniekąd stąd pochodzi, że demagogiczni tyrani-„oswobodziciele,“ skoro zostają

strąceni, należą do słabych, któremi tłum gardzi, ponieważ się ich nie boi. *Oderint dum metuant!* te słowa despoty rzymskiego kryją w sobie—zda się—także nieco prawdy socjalno-psychologicznej. Zawsze do buntu skory przeciw władzy słabej, korzy się ciemny tłum niewolniczo przed autorytetem silnym. I w ten sposób może silny autorytet opierać na woli ludu despotyzm. Ale jeżeli despotyzm jest chwiejny, wtedy tłuszcza, puszczając wodze radykalnym uczuciom, zamienia niewolnictwo w anarchię, a raczej w tyranję demagogów, która nieraz kończy się tyranją despotyczną; stąd znów pędzi na odwrót w kataklizmach dziejowych zaczarowane koło woli ludu.

Fałszywym byłby wniosek, jakoby w psychologii tłumów przeważały popędy rewolucyjne. Ich gwałty mylą. Zbyt silnie zakorzenione w masach składniki nieświadomości, zanadto znajdują się pod wpływem dziedziczności, by nie miały być w gruncie rzeczy nader konserwatywnymi. Same wnet znużą się samowolą i instynktownie dążą do niewolnictwa. Najbutniejsi i najradykalniejsi z pośród jakobinów najstanowczej zgadzali się z Napoleonem, skoro otoczył wolności rewolucyjne opieką swej żelaznej dłoni.

Nieustanna chwiejność mas dotyczy przedmiotów zewnętrznych; tłumy chętnie zmieniają nazwy instytucji, ale ich jądro zbyt silnie wyraża dziedziczne potrzeby rasowe, by nie miały przeważnie w tej lub owej formie wracać. W rzeczywistości posiada ciemny tłum instynkty tak samo pierwotne, jak istoty prymitywne. Korzenie się przed tradycją, nieświadomy wstręt do nowości, które mogłyby zmienić realne warunki jego życia, sięga do skrytych głębin jego duszy.

Gdyby demokracje były posiadały obecną władzę w okresie wynalazków mechanicznych: maszyny parowej, dróg żelaznych i t. d., możeby urzeczywistnienie tych wynalazków było przyszło do skutku tylko dużym kosztem straszego rozlewu krwi, bez którego i tak nie obyło się zupełnie. Może to szczęście dla postępu kultury, że władza mas poczęła kwitnąć dopiero po dokonaniu wielkich przełomowych odkryć w dziedzinie wiedzy i przemysłu.

Jaką jest moralność masy? Jeżeli rozumiemy przez to stałe tłumienie popędu egoistycznego, stałe wypełnianie zasad moralnych, to taka moralność niema podstaw w duszy masowej; sprzeciwia się jej drażliwość, pobudliwość, chwiejność masy. *O ile* wszelako należy do kategorii czynów moralnych przejściowy, wspaniały *wybuch* pewnych zalet, jak bezinteresowności, zaparcia się, poświęcenia, heroizmu i t. d., to taka moralność często silnym

strumieniem wytryska z duszy masowej. Na odwrót, tłum zdolny jest także *prześciowo* do nadzwyczajnych morderstw, łupów, grabieży i t. d. Pierwsze i drugie znajduje wyjaśnienie w objawach psychicznych, o których już była mowa.

Moralność lub niemoralność tłumy zależy od bodźca; a ponieważ wewnętrzne bodźce się zmieniają, a tłum elastycznie odbija ich zmianę, przeto rzuca się w skokach nadzwyczajnych z jednej ostateczności w drugą, z wyżyn nadzwyczajnej „moralności“ w przepaść „niemoralności“, a z przepaści naodwrót wzbija się z błyskawiczną szybkością na wyżyny. Tłum zdolny jest w chwili po spełnieniu krwawego okrucieństwa (jeżeli nowy bodziec skieruje wolę w zupełnie inną stronę) okazać wspaniałą szlachetność lub zajaśnieć bohaterstwem; łatwo jest katem, nie mniej łatwo staje się męczennikiem. Pobudzając uczucie honoru i sławy, uczucie religijne i patriotyczne, odzywamy się zwłaszcza do jednostki, jako części masy. Z serc tłumy płynęły strumienie krwi za wiarę. Ileż to mas poniosło śmierć heroiczną za przekonania, idee, hasła, które niezawsze rozumiały! A może rzucają się nierzadko tłumy robotnicze w bój strejkowy i wystawiają na nędzę z wyższych szlachetnych motywów, np. z sympatyi koleżeńskiej, by zaznaczyć solidarność proletaryatu, lub by podnieść wielki protest przeciw złemu traktowaniu.

Zdaje się nawet, jakoby masowość akcji uszlachetniała przejściowo skończonych łotrów. W czasie rewolucyi francuskiej składali mordercy „wrześniowi“ w ręce wydziałów rewolucyjnych np. klejnoty, znalezione u swoich ofiar.

Z drugiej strony pobudza dopiero masowość akcji straszliwe rozkielznanie instynktów wśród jednostek, które w odosobnieniu i w czasach spokojnych pozostałyby prawdopodobnie mniej więcej na zwykłym poziomie moralności środowiska.

Tak więc z jednej strony niewolniczość wobec nader niskich popędów, straszliwa drapieżność dzikich zwierząt. z drugiej nadzwyczajne wyżyny „cnoty“, rzadkie wśród pojedynczych jednostek, nawet wśród głębokich myślicieli: okrucieństwa i „cnoty“, co prawda mniej lub więcej nieświadome!

Z tą skrajnością duszy tłumy łączy się objaw, który wolno nazwać religijną „formą“ jego przekonań: ślepe wierzenie i poddawanie się, bojaźń przed magiczną siłą, nietolerancja, fanatyzm, tendencja gwałtownej propagandy. Niemalø czasu potrzeba, zanim nowe idee religijne, polityczne, społeczne wsiąkną w tłum. Przyodziejają się w arcyprostą szatę obrazową, nie połączone z sobą logicznymi łącznikami, stąd wprost przeciwnie idee mogą

spoczywać obok siebie na dnie duszy masowej, przekształcają się nieraz zupełnie, a potem dopiero, jako uczucia, wnikają w głąb duszy tłumu w formie „religijnej.“ Banalnem byłoby twierdzenie, że masy nie potrzebują religii; przeciwnie, wszelkie fundamentalne idee tłumu żyją „w formie“ religijnej. Gdyby ateizm był szerokim masom przystępnym, zmieniłyby się prawdopodobnie wnet w uczucie religijne i odział w zewnętrzne formy kultu; tłum postąpiłby może podobnie, jak ów nihilista Dostojewskiego, co pomiszczył obrazy, zdobiące kaplicę, zagasził świece, a potem niezwłocznie zastąpił obrazy dziełami myślicieli ateistycznych i zapalił na nowo świece. Wypadki z rewolucyi francuskiej zdają się potwierdzać takie przypuszczenie. Masy mogą zmienić przedmiot przekonań religijnych, ale nie wyzbywają się uczucia religijnego.

Ten pierwiastek religijno-formalny odgrywa w dziejach politycznych ważną rolę. Władza rzymskich imperatorów, którzy nawet w dalekich kątach państwa mieli swe ołtarze, opierała się w części na religijnej admiracyi ludów. Dzisiaj występują tłumy przeciw dawnym ideałom i tradycjom religijnym, za to stawiają pomniki zdobywcom dusz i czezą ich obrazami; i widzimy tu i owdzie na pół pogański kult ludzkich bożyszcz!

Skoro z tego stanowiska psychologicznego obejmujemy wzrokiem różne fakty dziejowe, jak heroizm i okrucieństwa w czasie wojen religijnych, gwałty inkwizycyi, noc św. Barłomieja, barbarzyństwa rewolucyi francuskiej, kiedy to nowe ideały poczęły zapuszczać korzenie wśród tłumu i umacniać podwaliny nowych „dogmatów religijnych,“ wreszcie ślepy pochód w śmierć za bożyszczem Napoleonem, — to wolno nam przypuszczać, że te na zewnątrz różne objawy masowe kryją się w jednym rzędzie religijno-formalnym tajników psychologii tłumu.

Podobnie jak drogi syntezy woli masowej, tak i te szczegóły życia tłumu uwydatniają się zwłaszcza w masie ludowej. I tutaj jest maksimum zjawisk duchowości masowej. Jak zaś daleko sięgają różnice w dziedzinie rysów życia psychicznego między ciemnym tłumem a najkulturalniejszą masą tej samej rasy tego samego narodu, czy i o ile poza stopniowemi różnicami uwydatniają się tutaj także różnice jakościowe — to kwestye ciemne i zawile. Pewnem jedynie wydaje się to, że im bardziej postępuje racjonalizacya, a tem samem psychiczne różniczkowanie jednostek ludowych, im bardziej się zacieraają różnice między ludem a narodem, tembardziej zanikać muszą różnice objawów duchowych masy najniższej a masy najwyższej.

Wreszcie wątpić niepodobna, że jakościowy charakter różnic psychologii rasowej i narodowej odzwierciedla się w kierunku jakościowym w szczegółach życia duchowego odpowiednich mas pośród poszczególnych ras i narodów, to znaczy np. że masy ludowe, średnie, najwyższej oświecone wśród rasy germańskiej w ogóle, a jej narodów (np. niemieckiego i angielskiego) w szczególności, okazują, poza sferą ogólną wspólności i równości gromadnej, w konkretnych, pojedynczych rysach jakościowo odmienne objawy, niż masy ludowe i t. d. wśród rasy słowiańskiej w ogóle i narodów, do niej należących, w szczególności. Znamiona tych różnic toną znów w ciemnych głębinach psychologii społecznej.

Oto kilka ziarenek z plonu psychologii socjalnej i socjologii na odłogach dziewiczych, względnie mało uprawianych. Jakże zaś stąd wynikają wnioski dla praktycznej pracy politycznej, zwłaszcza dla reformy socjalnej i współudziału ludu w życiu narodowym—na to pytanie niechaj trzeźwy sąd czytelnika sam znajdzie odpowiedź.

T.

Przebłyski literackie.

I.

Tak wypadłoby nazwać dwa fakty, w których oświetleniu kierownictwo dramatu i komedyi zdaje się zmieniać swoją dotychczasową, pozbawioną wszelkiego wyrazu fizyognomię. Akcentując wyrażenie „zdaje się“ z ostrożnością, usprawiedliwioną specyficznym układem stosunków teatralnych na scenach rządowych; bo mimo oficjalnego zainstalowania kierownika literackiego, któremu powierzono wytworzenie nieistniejącego dotąd repertuaru i otoczenie go następnie troskliwą opieką; mimo urzędowe już ogłoszenie przez dyrekcję obu scen dramatycznych konkursu, zmierzającego do zasilenia tego repertuaru, nie łudzę się bynajmniej, że łatwo i rychło dokona się takie głębokie, do samego wnętrza sięgające przekształcenie z gruntu aktorskiej duszy teatrów warszawskich. Uzbrojone we wspomnienia świetnej przeszłości, znarowione tolerowaniami przez szereg lat nałogami wszechwładztwa, aktorstwo bronić będzie oczywiście swego „stanu posiadania“ i spróbuje nawet te „buntownicze zachcianki“ literatury wyzyskać na swoją korzyść. Nie zabraknie też do tego sposobności. Wszakże łatwo mu przyjdzie po swojemu wytlómaczyć bardzo naturalną charakterystykę dyrekcyjnego konkursu, domagającego się „sztuk scenicznych“ i uważać to zastrzeżenie jako usunięcie literatury na dalsze plany, jako przyznanie pierwszeństwa czynnikom teatralno-aktorskim. Wszakże, wobec niezwyklej okoliczności, że wyznaczony do sterowania sceną dramatyczną kierownik-literat jest jednocześnie aktorem, można będzie szukać w najodporniejszym puklerzu ideowym nowego dyrektora jakiejś szczeliny, przez którą przenikną ciosy, wymierzone w jego literaturę. Tak zapewne ro-

zumuują w tej chwili zagrożeni detronizacją władcy teatralni i na tym gruncie bez walki się nie obejdzie.

Jak wypadnie walczyć? Czy na ostre cięcia, czy na zabiegi dyplomatyczne? Trudno w tej chwili przesądzać. Można tylko, opierając się na psychologii zarówno obecnej dyrekcji, jak wybranego przez nią kierownika repertuaru, przypuszczać, że częściej będzie w użyciu dyplomacya niż autorytet władzy.

Wynika to zresztą z natury stosunków w każdym teatrze. Bo jakkolwiek i gdziekolwiek kształtowałyby się stosunki teatralne między kierownictwem i aktorami, zawsze i wszędzie stają wobec siebie dwie potęce, w równym stopniu przekonane o jedynie uprawnionych tytułach do wyłącznej w rządach hegemonii. Ze zaś na dnie tej głośniejszej pewności siebie tai się jednak obustronnie cicha wątpliwość: kto właściwie komu jest potrzebniejszy i kto naprawdę bez kogo mógłby się obywać; że małostkowe częstokroć zatargi dwóch obserwujących się wzajemnie przeciwników są w gruncie rzeczy drobnym momentem zasadniczego sporu o to: gdzie mieszka dusza teatru, w twórczości literackiej, czy w sztuce aktorskiej;—więc argumentowanie wszelkimi nierozwiązalnymi dylematami, które dotąd nie rozstrzygnęły kwestyi w dziedzinie ideowych przeciwieństw między teatrem a literaturą, utrudniałoby też i codzienne pożycie tego niezgodnego stadła. Zachodzi tedy od czasu do czasu potrzeba politykowania. Idzie tylko o to, jakim może być w teatrach warszawskich to politykowanie.

Tu oczywiście osobiste czynniki dużą rolę odegrać muszą; to zaś, co o nich dotąd wiemy, upoważnia do wniosku, że, z jednej przynajmniej strony, dyplomacya w nowozawiających się stosunkach literacko-artystycznych nie na jałowym oportunizmie, nie na małodusznych kompromisach opierać się będzie; że postawi sobie raczej za zadanie oddziaływać nieznacznie kulturalnymi wpływami tam, gdzie kultura dotąd nie znalazła jeszcze dostępu. Do powodzenia takiej działalności w niemałym stopniu przyczynić się może dwoisty charakter literacko-aktorski, w jakim występować ma nowy kierownik dramatu i komedyi, Józef Kotarbiński.

Wiadomo, że podobna dwoistość ze stanowiska krańcowo reformatorskich dążeń, nie jest pożądaną. Mówiło się zawsze o tem wiele, a i teraz, z pośród mnóstwa zmieniających się ustawicznie postulatów odnowicielskich ten jeden pozostał nietkniętym. Niedawno jeszcze Teodor Lessing (ten mniejszy, dzisiejszy) w ciekawej dość książce, „Dusza teatru,“ wyraził go jako siódme z szeregu ośmiu rewolucyjnych przykazań, opiewające w lapidarnej zwięzłości: „kierownik teatru nie powinien być czynnym akto-

rem.“ Nie należy jednak zapominać, że ta lapidarność, zrozumiała przy budowie idealnego teatru, której fundamentem może być wolna od rumowisk przeszłości *tabula rasa*, musi we wszelkiej przebudowie pozbywać się swoich ostrych kantów, swej koniecznej niewzruszoności. A o przebudowę przecież chodzi naszej sceny dramatycznej, o przebudowę, którą kierując ku nowożytniejszym kształtom, trzeba uprzętać przedewszystkiem wszelkie, zawadzające w robocie gruzy biurokratyzmu administracyjnego i aktorskiego. Z pierwszym porać się przyjdzie nowemu prezesowi, który, o ile dotychczas zaobserwować można było, posiada ku temu, prócz stwierdzonej już w różnych wypadkach dobrej woli, znajomość spraw teatralnych i zmysł, wyczuwający w nich najwrażliwiej momenty artystyczne. Skuteczne więc w takim gospodarzu winien znaleźć poparcie kierownik literacki dramatu i komedyi, zwłaszcza że sam w kilkoletniej praktyce dyrektorskiej miał być już sposobność ocenić, jak ściśle w teatrze zachodzi związek między gospodarką a artyzmem.

Jeżeli kompetencya w tych obu dziedzinach Józefa Kotarbińskiego może wyjść na pożytek scenie warszawskiej, jak już przyczyniła się w swoim czasie do powodzenia sceny krakowskiej, to aktorstwo jego nie tylko nie będzie w objętem kierownictwie przeszkodą, ale stać się może w wielu razach istotną pomocą. Nie wdaję się w tej chwili w ocenę talentu aktorskiego Józefa Kotarbińskiego; patrzę tylko na mnogość punktów stycznych artysty dramatycznego ze środowiskiem, wśród którego działać mu wypadnie. Taka bezpośredniość zetknięcia, odejmująca kierownikowi charakter „intruza“, za jakiego uchodziłby niewątpliwie każdy zawodowy literat, musi z czasem wytworzyć ów prąd, wnoszący do duszy aktora coraz dostojniejsze pierwiastki literatury i sztuki.

W dzisiejszym stanie „kwestyi teatralnej“ — skoro już teatr stał się wszędzie „kwestyą“ — może to najodpowiedniejsza, przynajmniej na obecną chwilę, kombinacja, ogarniająca, bądź co bądź, w artystycznej syntezie najważniejsze czynniki twórczości dramatycznej. U nas, gdybyśmy nawet taką kombinację uważali za przejściową, trzeba jednocześnie zdawać sobie z tego sprawę, że to „przejście“ może trwać długo. Nie dojrzelismy jeszcze do „teatru jutra:“ nie mamy jeszcze prawa, my, którym tak długo więziono „słowo“, rozprawiać o mistycznej wyższości suggestywnego milczenia nad realną słowa wymową; ani rozmyślać nad sposobami „wyjawiania dyalogu wewnętrznego za pomocą muzyki plastycznych gestów:“ zawczasie też jeszcze dla nas namyślać się, kto lepiej poprowadzi nowy teatr: czy mechanik, cadami swych

pomysłów ożywiający materię; czy malarz, otwierający czarodziejskim pędzlem widnokreśli idealnych bezkresów; czy muzyk, wywołujący bez słów samą magią dźwięków tajemniczą mowę nieskończoności; czy tancerka, zamykająca dusze w rzeźbiarskiej harmonii ruchów pięknego ciała; czy wreszcie aktor, któremu „przywrócone zostaną prawa do improwizacji.“ To „jutro“ przyjdzie może kiedyś; ale nam, cośmy się zatrzymali na bożwładnem „wczoraj“, chodzi przede wszystkim o to, żeby zdobyć jaknajrychlej lepsze „dzisiaj“ i dlatego z ufnością witamy Józefa Kotarbińskiego, jako poważnego zwiastuna owego lepszego „dzisiaj.“

Ufność ta ma swoje podstawy w przeszłości. Kotarbiński spełnił na scenie krakowskiej jedno z najtrudniejszych zadań: obudził na niej kult wielkiej poezyi i otoczył teatr atmosferą kulturalną, w której aktorzy, poczuwszy się artystami, zrozumieli, że przy pracy zbiorowej potężniejszą spójnią od nakazów urzędowej karności jest umiłowanie szlachetnych tej pracy celów. I dzięki temu umiłowaniu można było repertuar teatru krakowskiego dźwignąć na wyżyny, których nie dosięgała wówczas żadna inna scena polska; można było bez wirtuozowskich popisów, bez aktorskich solistów, tylko z doskonale zorganizowanym zespołem przystępować śmiało do każdego dzieła i artystycznie zrealizować je na scenie. Takiej atmosfery niema w naszych teatrach od lat kilkudziesięciu i stworzenie jej będzie nierównie realniejszą zasługą kierownika literackiego, aniżeli wycieczki ku nieodkrytym jeszcze krainom teatralnego „jutra.“

Nie jest zresztą Kotarbiński zbyt pochopnym do podobnych wycieczek; zmysł krytyczny ostrzega go przed złudą zdrajnych majaków, zarówno w twórczości literackiej, jak w odtwórczości scenicznej. Szczery zwolennik nowych w literaturze prądów nie wszędzie za nimi podąży i nie pozwoli snobizmowi weisnąć się do swej dyrektywy; świadomy roli, jaką nowożytny aktor odegrać powinien w tej literaturze, nie przeceni jej na szkodę realizowanego przezeń utworu; wtajemniczony w dokonane już wszędzie i zamierzone tu i owdzie reformy techniki teatralnej pamiętać będzie z jakim materiałem ma do czynienia, jakie środki dostały mu się do rozporządzenia—co mu tem łatwiej przyjdzie, że pojęcia jego o sztuce inscenizacji są wyrazem najświeższej reakcji przeciw przesadnym uroszczeniom plastyki malarskiej i rzeźbiarskiej, pochłaniającym w zbyt kłopotliwej sceneryi bajeczne kapitały na uciechę dla zmysłów kosztem duszy, na odczynianie barwami i kształtami czarów myśli i słowa, na wydobywanie z tłumy publiczności zadowolonych widzów z upośledzeniem zaniedba-

nych słuchaczy. Słowem, wniesie Kotarbiński do kierownictwa artystyczno-literackiego indywidualność zrównoważoną; ta zaś równowaga nie będzie ani połowicznością, stroniącą lekliwie i bezradnie od stanowczego, całkowitego czynu, ani niefrasobliwością dyletanta, spacerującego bez celu po ogrodzie sztuki i literatury; ale świadomością praktyka, który zna wartość teoretycznych rozpędów i wie gdzie, kiedy i dokąd można im dać swobodę.

W jednym z poprzednich przeglądów starałem się już scharakteryzować materiał, jakim obecnie rozporządzać może dramat i komedia na scenach rządowych. Przy ocenie sił i środków aktorskich okazało się, że męzki personel, dobrze skompletowany, ma znaczną przewagę liczebną i jakościową nad grupą kobiecą, pozbawioną wszelkiej spójni i stanowiącą wartość nieobliczalną. Od tego czasu nic się nie zmieniło; zawsze ten sam kontyngens artystów, na których kierownik bezpiecznie oprzeć może swoje zamierzenia; zawsze ten sam niedobór artystek i brak wśród nich talentów różnostronnych, twórczych, naginających się do wymagań nowożytnego repertuaru; zawsze ta sama konieczność zdobycia takich talentów dla scen rządowych i utrwalenia stosunku ich do tych scen silniejszymi niż dotychczas ideowymi węzłami, o co niewątpliwie Józef Kotarbiński przedewszystkiem zabiegać zechce.

Gorzej jest ze sprawami repertuarowemi. I pod tym względem utrzymuje się dotąd tradycyjna w warszawskich teatrach sytuacja, w której zawsze było więcej tych, co by mogli grać, aniżeli tego, co by grać należało. Stąd ów szczególny, anormalny stan rzeczy na scenach rządowych, gdzie aktorstwo jest ciągle materiałem niepospolitym, kryjącym w sobie energie, których nikt spożytkować nie umie, a repertuar, nie kierowany żadną myślą przewodnią literacką, czy też artystyczną, zdaje się być specjalnie przeznaczony do psucia, do marnowania tego materiału. Podwójny więc trud czeka nowego kierownika: ożywienie repertuaru szerszem technieniem, więcej od szczytów literatury i sztuki i otwarcie tym technieniem przystępu do duszy aktora. I tu właśnie ma wdzięczne pole do owocnej działalności aktor-literat: tu wykazać się może pedagogiczna doniosłość repertuaru, pobudzająca ruch ewolucyjny zarówno na scenie, w sztuce aktorskiej, jak w widowni, w krytycznej edukacji publiczności, którą poprostu trzeba wyrwać z zaduchu cyrkowo-operetkowo-kabaretowego i w czystym powietrzu wyżyln na nowo—wychować.

Dwa będą ważne tej działalności momenty. Najprzód szamotanie się z chwilą obecną, domagającą się *zaraz* zapelnienia próżni duchowej, ziejącej ze scen dramatu i komedyi — i to naj-

trudniej przyjdzie literackiemu tych scen kierownikowi, który, znalazłszy się wogóle bez zasobów repertuarowych, nie może też przenieść od razu krakowskich tradycyji wielkiej poezyi na scenę, pozostawioną dotąd pod kontrolą cenzury. A potem troska o przyszłość, troska niepokojąca wobec omdlenia nietylko u nas, ale w całym świecie twórczości dramatycznej, chwiejnym krokiem błędzącej po różnych drogach i bezdrożach w poszukiwaniu ideałów, których sama sobie sformułować nie potrafi. Z pomocą dla tej twórczości występuje dyrekcya teatrów rządowych, ogłaszając konkurs dramatyczny z trzema nagrodami 1,000, 500 i 300 rubli i stwierdzając raz jeszcze dobre zrozumienie tego niezbitego pewnika: że poprawny stosunek administracyi do sceny polskiej jest nietylko moralnym atutem, ale i dobrym interesem.

Repertuar dramatu i komedyi zdobędzie sobie niewątpliwie na tej drodze obfity materyał. Jakim będzie ten materyał? Rozmyślaniom na ten temat poświęcono tu przed trzema miesiącami sporo miejsca. Rzucone wtedy luźne uwagi miały oczywiście znaczenie tylko przypuszczeń, przewidywań, opartych jedynie na psychologii dzisiejszej twórczości, w związku ze zmiennymi nastrojami chwili obecnej; jedno wszakże domniemanie sprawdzilo się w zupełności: pewien nacisk w programie konkursu na warunki sceniczne współubiegających się o nagrody utworów. Nie mogło być inaczej. Tak musi odzywać się do pisarzów dramatycznych teatr *sans phrase*, teatr, który otwarcie domaga się sztuki „do grania.“ Idzie tylko o to, co się tam nazywa „sztuką do grania“ i jakie ma znaczenie zaakcentowana z roznysłem „sceniczność.“ I tu następuje podział ról. Dyrekcya, ogłosiwszy konkurs i wyraziwszy w nim praktyczne pragnienia, zrobiła swoje, spełniła czyn gospodarski. Od tej chwili rozpoczyna się rola kierownika literackiego, który nietylko na stanowisku orędownika literatury w teatrze, ale jako członek sądu konkursowego i rzecznik jego poglądów, potrafi tym administracyjnym dezyderatom nadać idealniejsze nieco podłoże i rozszerzyć ciasnotę owych wymaganych warunków technicznych, które w aktorskiem czysto rozumieniu, podzielanem zwykle przez administracyę ze względów finansowych, zamykają sceniczną utworu w ramach sztywnego mechanizmu i wytwarzają nastrój nieufności do każdego dzieła, rozsadzającego te tradycyjne ramy. Zastanawialiśmy się już dawniej nad ewolucyą formuły sceniczności, która pod działaniem form rozwojowych samego dramatu, wchłaniała stopniowo coraz szlachetniejsze czynniki i ogarnęła nawet psychologię, skupioną do potrzeb sceny w rodzaju perspektywicznych skrótów. Od in-

terwencyi kierownika literacko-artystycznego zależy będzie, ażeby podwoje sceny, pogłębionej w dal ku rozleglejszym widnokregom, rozwarły się szerzej przed twórczością, wyswabadzającą się z dotychczasowych więzów „teatralności;“ on też odejmie zapewne wyrażeniu „sztuka do grania“ szablonową ciasnotę; za jego wreszcie sprawą znajdzie się miejsce na scenach dramatu i komedyi nietylko dla praktycznych nabytków konkursu dyrekcji rządowej, ale dla tworów czystej poezyi, jakie wydać może rok Juliusza Słowackiego, którego uświetnienie podjęła ze swej strony redakcyja „Kuryera Warszawskiego,“ wzywając poetów na turniej dramatyczny w teatrze polskim. Będzie to może w tym teatrze jutrzienka literatury, na której przebłyski patrzymy w tej chwili.

II.

Jakże w migotliwym świetle tych przebłysków przedstawiało się w ciągu minionych trzech miesięcy powszednie życie teatralne na scenach dramatu i komedyi?

Dość szaro, z małemi wyjątkami prawie bezbarwnie; ale szarość przywykliśny już w teatrze uważać za kolor tymczasowości i wydaje nam się zawsze, że jestto barwa, kryjąca w sobie nieznanne bogactwa dla artysty, posiadającego tajemnice repertuarowej palety. Nin więc ten artysta-kierownik weźmie do ręki paletę, zobaczymy, co zastał i jak sobie poczyna z szarą schedą przeszłości.

Przedewszystkiem z tego obojętnego tła wydobywa się świeżemi, soczystemi barwami „Wyzwanie“ Bolesława Gorczyńskiego, któremu w poprzednim przeglądzie krótką poświęciłem wzmiankę. Powiedział ktoś na pierwszym tej sztuki przedstawieniu, że „Wyzwanie“ albo runie odrazu bez ratunku, albo zdobędzie sobie wyjątkowe powodzenie. Sprawdziła się ta druga alternatywa; sztuka Gorczyńskiego gromadzi do dziś dnia w teatrze Rozmaitości liczne zastępy widzów, wśród których zamilkły nawet wszczęte początkowo spory o społeczno-etyczny podkład utworu, co jest tem znamiennejszem, że powód do sporów nie przestał istnieć, że temat jak był odrazu niejasno — powiedzmy szczerze — dwuznacznie postawionym, takim naturalnie pozostać musiał w dalszych przedstawieniach, których plastyka mogła raczej podkreślić, niż rozjaśnić wątpliwe momenty tezy. Bo to jest teza; że zaś mimo „wyzwający“ tytuł zgodziła się na nią publiczność; że w niej

nie dość ściśle kontrolowała walory życiowe, to tylko świadczy, jak łatwo w akcie twórczym artysta może zasłonić sobą społecznika, z jak łudzącymi pozorami prawdy potrafi z linii realnego życia wykreślić kąt, pod którym widz ma patrzeć na jego dowolnie w myśli ukształtowane założenie.

„Wyzwanie“ rzuciła „wolna miłość“ — i trzeba przyznać, że dogodną ku temu wybrała sobie chwilę, kiedy po drgających dotychczas falach wolnościowych prądów wojownicze hasło łatwo może spłynąć do podnieconej jeszcze myśli, do serca, przyspieszonym jeszcze bijącego tętnem i snadnie w niejednej duszy wywołać oddźwięk. Tylko w różnych duszach rozmaicie brzmią te oddźwięki. Są dusze podobne do owych złotych naczyń z legendy, w których jedynie zakwitnąć może kwiat miłości doskonałej, roztańczający na około czar rozkosznych barw i odurzających woni, wydobytych z życiodajnych głębin ziemi i ze słonecznych wyżyn niebios. Są inne, hodujące tylko kwiaty, wyrosłe na bagniskach, karmione jadami rozkładu, i całą piękność swoją zawdzięczające sokom zgnilizny. Dla jednych i dla drugich wolność odmienne ma znaczenie. Tamte, czcząc cudotwórczą moc żywiołowego rozkwitu radeby uchronić przedewszystkiem sam kwiat od opieki ogrodników, naginających wszelką wybujałość przyrodzonego piękna do prawidłowych linii przystrzyganej społecznie nożycami natury; tym znowu mniej chodzi o ustrzeżenie trującego kwiatu, aniżeli o nietykalność bagna, które mu życie dało.

Do jakich dusz odezwał się Bolesław Gorczyński? Komu dał głos, ciskając owo „wyzwanie?“ Kto to jest ta Antonina Krzycka, pierwsza otwierająca ramiona mężczyźnie, przyczajonemu w oczekiwaniu tego gestu? Co wart ten zawodowy kochanek nazwiskiem Karol Zieliński? Z czem tu mamy więcej do czynienia: z psychologią, czy z fizyologią? Czy w naszych oczach przygotowuje się wielka tajemnica przeniknięcia się wzajemnego dwóch światów materialnych i duchowych we wspólnej ekstazie miłosnej, czy też iści się powszedni akt zaspokojenia dwóch żądz?

Środowisko nie daje nam wyjaśnień na te pytania. „Czwartak...“ ulubiona scenerya Gorczyńskiego; a na czwartaku młodość w postaci kilku mężczyzn i kilku kobiet, wsłuchanych w dźwięki fortepianu. Gra dla swoich gości Krzycka, nauczycielka, a ta muzyka, zagarnąwszy słuchaczy w swoje niepodzielne władanie, niweluje dusze i zaciera w nich na chwilę wszelkie różnice. W każdej powinny być coś szlachetnego, skoro tam sztuka wywołuje tak silnie napięte wrażenia. Złudzenie! Zwykła perfidya muzyki, najzdradliwszej ze sztuk, najbardziej spoufalonej ze zmysłami,

najmniej w obcowaniu z duszami wybrednej. Nic też zrazu nie wiemy o tem audytoryum Antoniny Krzyckiej, prócz jednego: że sztuka jest dla jej gości typową formą tęsknoty do życia. Wszystkie westchnienia, skierowane w tę stronę, krzyżują się w dyalogu, który zdaje się rozprawdzać dalej przerwane fortepianowe melode. Nieokreślona mowa dźwięków budziła w słuchających pragnienia o treści nieuchwytniej; wyraźniejszemi niyb od motywów muzycznych są wybiegające z młodziutkich ust frazesy; ale i w tych — chociaż zaczynają już różniczkować psychologię rozmawiającego grona — bezprzedmiotowość aspiracyj przybiera tylko ponętny na takim czwartaku strój paradoksów. Mówi się tam wiele o życiu, do którego rwały się wszystkie nerwy przy słuchaniu muzyki; czem jednak jest to życie; jak ono ma wyglądać; dokąd właściwie zmierzają wyciągnięte z upragnieniem ramiona — z tego nikt jasno sprawy sobie nie zdaje. To jedno tylko wiadomo, że wymarzone, wyśnione życie powinno, musi pisać się przez wielkie Ż.

O tem, jak łatwo ta duża litera zmienia się później na małą, i czem są naprawdę ci, co przepastne tajemnice bytu w wielkich głoskach abecadła zamykać lubią — najrychlej przekona się najszczerza z pośród nich, nauczycielka z temperamentem artystki. Szczerosc Krzyckiej odrazu na jaw wychodzi — nie w mowie, tylko w czynie. Ale ona to właśnie zmaci w dziwny sposób przezroczystosc tezy.

Bo cóż stąd, że postać Krzyckiej występuje odrazu z wyróżniającemi ją indywidualnemi rysami; cóż stąd, że z brzęczącego wkoło niej rozgwaru młodocianej frazeologii, wynurza się stopniowo fizyognomia o głębszych psychicznych konturach; cóż stąd, że odgadujemy łatwo od pierwszych zaraz scen prąd gorącej sympaty dla Karola Zwolińskiego w każdym słowie, w każdym spojrzeniu nauczycielki — skoro sama bohaterka budzi w nas wątpliwosc co do gatunku tej sympaty. Ze strzępów półzwierzeń, półwykrzykników w rozmowie jej z jedyną powiernicą; z gestów, prężących się charakterystycznie da się wysnuć taki mniej więcej sens moralny.

— Czy ja wiem czy to Karol, czy wogóle mężczyzna wciela dla mnie to wielkie życia pragnienie?

Nie wie,—i w kwadrans potem oddaje się upragnionemu bez zastrzeżeń; a my także nie wiemy, komu się istotnie oddała: czy Karolowi, czy „wogóle mężczyźnie.“ I w tem właśnie wątpieniu tkwi cała dwuznaczność tezy, cała chwiejność oświecenia czynu, w którym zacierają się różnice między ukochaniem a pożądaniem,

między wolnością uczucia, w głębinach serca zrodzonego a swawolą zachcianki, w zmysłach poczętej.

Ale tej wątpliwości już nam autor nie rozwiąże; przesunie natomiast zupełnie gdzieindziej punkt ciężkości założenia. „Mniejsza o fakt, zdaje się mówić; mniejsza o przewagę w nim psychologii czy fizjologii. Stało się i już się nie odstanie. Zajmijmy się teraz następstwami rzeczy nieodwołalnych.“ I zajmuje się dzieckiem przed jego narodzinami i po przyjsciu na świat; a w tej trosce o owoc wolnej miłości ma oczywiście wszystkich za sobą.

Matka, trzeba to przyznać, dzielnie broni kochanki. Wzdryga się na myśl zrobienia z rodzicielki dzieciobójczyni, jak jej to doradzają te same przyjaciółki, które takie hymny deklamowały na cześć życia przez wielkie Ż; tuli z miłością niemowlę do piersi karmicielki, dawszy wspaniałą odprawę kochankowi, proponującemu pod zewnętrznym naciskiem porzuconej nikczemnie kochance „naprawienie błędu.“ Słowem, macierzyństwo dźwiga ją na piedestał heroizmu. Im wyżej jednak staje, tem natarczywiej domaga się od niej widz odpowiedzi na pytanie: „skąd się to wszystko wzięło w kobiecie, która naprawdę nie wie, czem był dla niej ojciec jej dziecka, w chwili, kiedy je oboje do życia powołali?“

Nie zaspokoiwszy tej uprawnionej ciekawości wprost, na drodze pozytywnej charakterystyki, Gorczyński załatwia się zręcznie z drażniącym pytaniem przy pomocy przeciwieństw, uosobionych w otoczeniu Antoniny Krzyckiej. Jaśka Cholewicz, społeczniczka-doktrynerka, zrywająca stosunki z przyjaciółką, której czyn jest według niej niedopuszczalny „w warunkach kulturalnego współżycia;“ Olesia Bardzka, również odwracająca się od nieszczęśliwej za to, że sobie nie radziła z mężczyznami, „jak pół-dziwica p. Prévost,“—to argumenty *à contrario* wykazujące czem są towarzyski Krzyckiej, a czem ona *nie jest*. I ta negatywna metoda wydała się autorowi tak dogodną, że jej użył na korzyść nie tylko osoby, ale i czynu bohaterki; jakaż bowiem pobudka skłonić mogła Gorczyńskiego do wprowadzenia Elżbiety Korewidzkiej, goniącej za Lesbijskimi dreszczami, jeżeli nie intencya nawiasowego napomknięcia: czyją to ofiarą stać się mogła Antonina Krzycka, gdyby w samą porę nie zjawił się ktoś, co pragnieniem jej właściwe dał ujście!

Intencya chybiona, bo tem domyślnem przeciwstawieniem więcej jeszcze maści czystość miłosnej inicjatywy Krzyckiej;—zbyteczna, bo, jak już wspominałem, założenie rozwijać się będzie w następstwie po innej zgoła linii, linia zaś nie skończyła się wraz z zapadnięciem kurtyny, jak to widzieć można z definicyi

sztuki, dodanej do jej tytułu. Bolesław Gorczyński nazwał „Wyzwanie“ „prologiem dramatycznym,“ po którym nastąpić mają podobno jeszcze dwie części, stanowiące z ową introdukcją organicznie skojarzoną trylogię. Nietrudno przewidywać rodzaj i grę motywów dramatycznych w tym zamierzonym tryptyku. Zwicklają one niewątpliwie około matki, zbrojnej tylko w swoje macierzyństwo i około dziecka, którego ojca odtrącono od zainprowizowanego ojcostwa, splot nieubłaganych rygorów społecznych, które zaciskać będzie przedewszystkiem obłuda towarzyska. Już w zakończeniu sztuki, w wybornych scenach między Krzycką, jej kochankiem i jego narzeczoną; w całej tej napóły inscenizowanej, napóły nieświadomej komedii „pięknych czynów,“ w której Zwoliński, oświadczający się o rękę dawnej kochanki, i jego oblubienica, odstępująca wspaniałomyślnie narzeczonego uwiedzionej przezeń ofierze, występują jakby w umówionych rolach,—wyczuwamy rozmach satyryka i temperament dramatopisarza. Odnajdziemy zapewne jeden i drugi w dalszym ciągu trylogii; spotkamy się prawdopodobnie z postaciami równie pewną ręką kreślonymi; uderzy nas niewątpliwie ta sama szczerłość, bezpośredniość uczuć i myśli, krążących po dziele krwią młodocianą i śledzić będziemy z równem, jak teraz, zajęciem tragiczne losy Antoniny Krzyckiej. Życzyłby tylko wypadło autorowi, ażeby z wrodzoną sobie intuicyą artystyczną rzucić chciał na swoją bohaterkę wsteczny promień światła, ułatwiającego nam zorientowanie się: czy przypadło nam towarzyszyć „jednej z wielu, dziewczynie, która miała wypadek,“ czy też dojrzałej kobiecie, która z całą świadomością spełnionego czynu dopomina się dla siebie swobody rozporządzania własną osobą; czy mieliśmy do czynienia z bohaterką Wedekinda, czy też z wyznawczynią Elleny Key? Bez tego oświetlenia niema ideowego „wyzwania,“ jest tylko żalсна historia opuszczonej dziewicy-matki i przygednie urodzonego dziecka.

Na to interesujące przeprowadzenie całkowitego tematu możemy tymczasem czekać cierpliwie, patrząc na doskonałą w „Wyzwaniu“ grę artystów. Wspomniałem już o pani Przybyłko-Potockiej, która tak przedziwnie wczuła się i wmyślała w postać bohaterki, że wydobywa z niej nie aktorską kompozycyę, ale człowieka, życiem bolesnem drgającego. Pan Brydziński ze zwykłym artyzmem traktuje wymagającą szczególnej dyskrecyi rolę kochanka; towarzyszki Krzyckiej wyborne znalazły przedstawicielki w pani Bogusławskiej i w pannie Lubicz-Sarnowskiej.

Jakby na zanknięcie okresu aktorskiego, którego koniec zwiastować nam mają „przebłyski literackie,“ przedstawiono kome-

dyę 4-aktową Kazimierza Zalewskiego „Dla rubla.“ I gdyby istotnie taki był motyw tej próby retrospektywnej, możnaby przyznać mu pewną historyczną rację. Sztuki Kazimierza Zalewskiego należały zawsze do repertuaru aktorskiego, do tej błogosławionej a niepowrotnej doby, kiedy to, pisząc komedię, myślało się przede wszystkim o efektownych rolach dla upatrzonych z góry aktorów i o sensacyjnych wrażeniach wśród widzów, równie z góry upatrzonych, którzy przeglądać się będą musieli w owych „rolach“, jak w lustrze, dając z siebie samych ucieśne widowisko reszcie publiczności. Cóż, kiedy czas i tu zrobił swoje! Lata rozpostarły na lustrze mglistą patynę, odgradzającą zwierciadło od życia; ręka, która je trzyma, drży, chwieje się i pokazuje wizerunki o zamazanych, postrzępionych, wyblakłych konturach i nikt się już w tem nie przejrzy, nikt tam nawet nic nie zobaczy. A gdy mimo to trzeba patrzeć na taki wysiłek wmówienia w obcą już publiczność dawnej, na innych widzów obliczonej rutyny, przypomina się wykrzyknik owego krytyka francuskiego, który po przedstawieniu jednej ze wznowionych sztuk Dumasa młodszego wołał: „czy to podobna, żeby nasi ojcowie tak niegdyś *myśleli* i *czuli*.“ Oczywiście, że w danym u nas wypadku trzeba zdumienie Francuza przetłumaczyć na język polski w formie „umiejscowionej;“ że jeżeli o „czuciu“ i „myśleniu“ można było mówić wobec twórcy „Księżnej Jerzowej“, „Półświatka“, „Zony Klaudyusza“, „Cudzoziemki“, którego Ibsenizm *avant la lettre* zatonał już w fali ewolucyjnej, to, gdy chodzi o autora „Naszych zięciów“, „Friebe-go“, można co najwyżej, bez krzywdy dla jego współczesnych, rzucić pytanie: „czy podobna, żeby to mogło niegdyś *bawić* tak stonunkowo blizkie nas jeszcze pokolenia?“

Punkt wyjścia obu wykrzykników będzie jednak ten sam.

Bo „Dla rubla“ jest naprawdę wznowieniem starych szablonów, starych sposobów, starej roboty; wznowieniem tem ryzykowniejszem, że dla odświeżenia zużytego oblicza komedii posługuje się autor szminką aktualności, która zmarszczki i brózdki jeszcze silniej pogłębia. To też na tę spóźnioną kokieteryę ubielonej i uróżowanej staruszki wrusza się tylko ramionami; nikt na seryo nie bierze historii tego wielkiego banku, w którym zainstalowany zniecka przez owdowiałą pryncypałową „szlachetny młodzieniec“ (właściwie powinien to być, jak za „dobrych czasów“, inżynier) prowadzi z nadużyciami urzędników walkę, przerwana w chwili, kiedy pracujący w dobrej wierze reformator spostrzegł, że pryncypałowa kupić go zamierza „za rubla“ na swego kochanka. Nawet artyści nie mogli wywdzięczyć się p. Zalewskiemu za dawne do tryumfów okazy; wbrew bowiem tradycyi nie znaleźli w ostat-

niej jego komedyi „ról popisowych.“ Z wyjątkiem pani Lüdowej, jedynie w sztuce uprzywilejowanej solistki, która wdzięczne swoje zadanie spełnia znakomicie, nikt tam właściwie, — że użyję odpowiedniej tu gwary zakulisowej, — „niema nic do grania“ i wszyscy, nie wyłączając p.p. Frenkla i Śliwickiego, walczą tylko z nieuleczalną anemią figur, którym żadne sztuczne rumieńce życia nie przysporzą.

Skończmy wreszcie ze sztukami aktorskimi wzmianką o hiszpańskim dramacie „Żona Yorycka.“ Utwór Emanuela Tamayo y Bana pod dwojakim względem nosi ten charakter: jako typ teatralny i jako odbicie świata, w którym się urodził. Odbicie jest tragiczne, a tragedia odgrywa się między aktorami. Na nieszczęście zepsuła wszystko muzyka, nie ta, której tutaj niema, ale ta, która gdzieindziej tak silnie grała na nerwach słuchaczy, że kiedy przyszła „Żona Yorycka“ Tamaya po „Pajacach“ Leoncavalla, spotkała się u publiczności z obojętnością prawie odporną. Nie usprawiedliwiłoby to zapewne widzów, gdyby podnieceni w nich słuchacze przekładali „Rigoletta“ Verdiego nad „Le roi s'amuse“ Wiktora Hugo lub „Mefista“ Boity nad „Fausta“ Goethego, albo „Romea i Julię“ Gounoda nad szekspirowską tragedję kochanków z Werony; ale tłumaczy ich poniekąd, kiedy patrząc na „Żonę Yorycka“, zanadto pamiętają „Pajaców.“ Nie sama bowiem muzyka jest tu usprawiedliwieniem. Podobno między autorem „Żony Yorycka“ a librecistą „Pajaców“ toczył się proces o plagiat. Nie wiem, kto sprawę wygrał i niemam zamiaru oceniać jej merytorycznie. To tylko pewna, że libretto „niezależnie od muzyki“ jest tworem o wiele efektowniejszym od hiszpańskiego dramatu i że to zestawienie rozgrzesza poniekąd publiczność, przeciw której nie staje tym razem ani Szekspir, ani Goethe, ani Wiktor Hugo; staje zapewne talent niezaprzeczonej, ale zamało przeniknionej muzyką słowa, ażeby w walce z muzyką dźwięków odnieść zwycięstwo. Bo czem tu zwyciężyć można było brutalną, lecz chwilami porywającą szczerą włoskiego *verysty*; czem można było pokonać zwartość psychologicznej charakterystyki jego bohaterów i dramatyczne napięcie wklajającej ich sytuacji, wreszcie błyskawiczną szybkość akcji tego *fait divers*, dźwigniętego na wyżyny tragedyi? Tylko silnem męskim zaprzeczeniem *veryzmu*, tylko szerokiem technieniem poezyi, któreby owionawszy ludzi, rzeczy i wypadki odebrało kłębiącemu ich konfliktowi cechę pospolitego wydarzenia; tylko nastrojeniem myśli, uczuć i namiętności na nutę, z której snułaby się symfonia duszy ludzkiej. Próbował tego Tamayo y Bana, wezwał nawet na pomoc Szekspira i wprowadził

go na scenę, jako współaktora dramatu, cofniętego do Anglii XVII wieku. Nie pomogła jednak ani perspektywa dziejowa, ani osobista interwencja wielkiego Willa; rysunek w obrazie wypadł chwiejny, koloryt blady, a intencje poetyczne, najwidoczniejsze w scenach miłosnych między żoną aktora Yorycka a jej kochankiem, wywierały wrażenie chłodnych literackich kombinacyj. Gdy zaś nadciągnęła końcowa katastrofa, kiedy mąż zdradzony, grający z amantem fikcyjny dramat, korzysta z okazji pojedynku i zabija go na scenie, a Szekspir wzywa obecnych do modlitwy „za zabójców i ofiary,“ publiczność nasłuchuje echa prostych słów pajaca *La commedia e finita* i uprzytomnia sobie przeżyty dreszcz grozy, którego nie zdołał w niej obudzić papierowy Szekspir Tamaya y Bans. Większej krzywdy nie można było prawdziwemu Szekspirovi wyrządzić.

Na cóżby się zdała wobec tego literacka sylwetka autora „Żony Yorycka?“ Zaden jej rys nie przemówiłby do czytelnika za potrzebą wystawienia utworu, który zapewne, jak zwykle u nas, przypadkowi zawdzięczał swoje zjawienie się na naszej scenie. Dowiedziałyby się tylko, że Tamayo był w swoim czasie „wielkością krajową,“ mniej jednak rozgłośną od Echegaraya, który znalazł dostęp do wszystkich scen europejskich; że pisał wiele pod hasłem konserwatyzmu klerykałnego i że w rezultacie nie stworzył nic takiego, coby mu słusznie torować miało drogę aż do... Warszawy. Znalazł ją jednak i doznał życzliwego przyjęcia... w gronie artystów, z jakimi zapewne za życia nie spotykał się w swojej ojczyźnie. Grali w „Żonie Yorycka“ p.p. Frenkiel, Ładnowski, Brydziński i pani Tekla Trapszo; ale mimo, że znaleźli się w swoim niby świecie, grali bez przekonania, czując widocznie całą tego świata sztuczność i krótkotrwałość.

Cóż tedy trwa dłużej w tej krainie złudy, gdzie się dotąd z takim natręctwem rozpierała „rzecz pospolita?“ Są tacy idealści, którym się zdaje, że wielkie słowo Poezyi dźwignie ją tam na tron królewski. Trzeba je tylko wyrzec. Nie uczynił tego Jerzy Żuławski w swoim dramacie „La Bestia.“ Tłómaczy nam natomiast, czego nie chciał, a co zamierzył. „Nie miałem zamiaru pisać dramatu historycznego — mówi autor „Erosa i Psychy“ w komentarzu do swego ostatniego dramatu — i nie napisałem go, mimo, że zewnętrzne pozory mogłyby za tem przemawiać.“ Tak jest niewątpliwie. „Historycznym może być wypadek — mówi dalej Żuławski — na którym osnuty jest dramat, historyczna przeważna część akcji, historyczne wszystkie postacie i ich imiona, ale prawdopodobnie, a nawet na pewno, inne były pobudki czy-

nów, inne charaktery działających osób.“ I to znów prawda. Więc jeżeli w intencji poety „La Bestia“ nie miała być dramatem historycznym, czemuże mieć ją pragnął? Tu znów posłuchajmy zwierzeń Żuławskiego.

„Kiedym często wiosennemi wieczorami siadywał na stopniach kolumn na Piazeccie—wśród gondolierów i ulicznych przepkupi i patrzyłem na koronkowe, upiornie białe, jakby z zastygłego snu wyrzeżane arkady pałacu dożów, wyobraźnia moja dopełniała sobie mimowoli ten cud jakąś przedziwną, złotą postacią kobiecą,—złą, bo, niestety, takie tylko bywają piękne,—i namiętną, i żądną królowania... a godną, mimo wszystko, aby ludzie dla niej marli... I ze snu mojego nad lagunami zrodził się ten dramat, któremu zewnętrznej szaty użyczył gorzki los ściętego doży Faliera.“

Mamy tedy genezę dzieła, a w niej znamiennej cechę dzisiejszej poetyckiej twórczości. Wizya malarska, jako pierwszy bodziec. Piękno wydobyte przez wizyonera z zawrotnych głębin Zła i wcielone w tajemniczą postać kobiety. Niechby i tak było. Wszakże nieinaczej tworzył, nawiedzany podobnemi widzeniami d'Annunzio; wszakże z marzeń poety o potędze średniowiecznej Wenecyi snuły się demoniczne sceny na pokładzie Bucentaura, niosącego oszalałą miłosnym obłędem *dogaresę*; wszakże i w dzisiejszym, zmartwiałym na lagunach grodzie jego *Il Fuoco* wzniecił życie, zalewające place falami słonecznej radości, nurtujące tragicznie kanałami aż pod fundamenty dumnych pałaców, które zdawały się drżeć w posadach, jakby wulkanicznemi wstrząsane dreszczami; wszakże stęskniona za lazurowymi porankami miłość kobiety i skąpiana w krwawych blaskach wieczoru żądza mężczyzny, przeniknęły wszędzie, krążyły krwią gorącą po całym organizmie miasta, budząc ze snu wiekowego każdy dom, wciskając się w każdą uliczkę, ogarniając z każdego mostu płomiennem wejrzeniem wszystkich niemych a tak wymownych świadków swego szczęścia i swego cierpienia. To też istotną bohaterką twórców d'Annunzia jest dusza Wenecyi, Jerzy Żuławski pożyczył od niej tylko—dekoracyi.

Ach, ta dekoracya! Ile ona krzywdy literaturze wyrządziła! Jakie mnóstwo poronionych płodów rzuciła i dotąd jeszcze rzuca na scenę w nałogowym uścisku z teatralnym historyzmem!

Oto poeta, nawykły do wysokich wzlotów, z oczyma utkwionemi w perłę Adryatyku wskrzesza wyobraźnią krwawy moment z życia doży-spiskowca; i ubiera swój dramat w „zewnątrzną szatę“ dziejowych ludzi, rzeczy i wypadków. Ostrzegł nas jednak sam,

że pod tą szatą z przed sześciuset lat myśli innemi mogły chadzać drogami; serca inaczej prawdopodobnie były; że odmienne zapewne były dusze bohaterów i psychologia dramatu ówczesnego zgoła do dzisiejszego nie podobna. Z żywym tedy zainteresowaniem bada widz, w jaki sposób poeta skorzystał z przysługującej mu swobody wcielenia własnej koncepcji w ten dramatyczny szkielet. I doznaje przykrego zawodu. Jako jedyne rozwiązanie zaznaczonej przez autora w objaśniającej notatce zagadki, „co właściwie skłoniło Marina Faliera do zamachu na rzeczpospolitą, który życiem przypłacił,“ dano nam tylko—gest. „I czemu ty, dożo stary, bezdzietny, — czemu swoją sławę i życie swoje?...“ wykrzykuje, nie kończąc zapytania, Marco Polani, sekretarz Rady Dziesięciu. Na co Faliero odpowiada, wzniosłszy oczy i spoglądając na żonę: „Ja nie wiem—dlaczego.“ To „nie wiem“ mówi za Faliera historia; w tym zwrocie głowy, w tem spojrzeniu skazańca zogniskował tragedję—Żuławski.

Na żonę spojrział Faliero, oddając głowę pod topór katowski. Któż więc jest ta żona i czy to ma być owa „przedziwna, złota postać kobieca, — zła, bo tylko takie bywają piękne?“ Ażebyśmy ją ujrzeć mogli w tem wizyjnem świetle poety, nie dość smętnej jego apostrofy do nieszczęśliwej Donny Aluiki, którą przeprosza za to, że dał dogaressie fizyognomię „bestyi.“ Przeproszenie zbyteczne—bo Donna Aluica niema właściwie fizygnomii, podobnie, jak nie posiada jej Marino Faliero, jak jest jej pozbawione całe środowisko obojga bohaterów. I dzieje się rzecz w takich razach zwykła. Autor prowadzi nas po różnych komnatach pałacu dożów, niby *cicerone*, prezentujący turystom wspaniałości tego cudnego zabytku świetności rzeczypospolitej weneckiej. W komnatach zaś snuje się z nami stary mąż młodej żony i czynić nas będzie świadkami swego dramatu małżeńskiego. Ściany przytem nie mówią nic, ludzie mówią rzeczy obojętne. Od dekoracyi odstają figury, nie tworząc z nią gobelinowej całości. Z ust dogaressy, otoczonej kochankami, nie pada ani jedno demoniczne słowo; po obliczu doży nie przebiega ani jedna konspiracyjna błyskawica. Są ładujące po malarsku perspektywy, są głębie efektowne i kulisy zręcznie dopasowane; są stroje na autentycznych wzorowane dokumentach; jest cały aparat włoskiego średniowiecza,—wszystko na posługach nieinteresującej rozpustnicy, która coś może ze starych kronik o żonie Mackbetha wyczytała. I gąśnie to wszystko w zetknięciu ze sceną, prócz jednego momentu, kiedy autor, zapomniawszy o dekoracyi, oddawszy w ręce „wymyślonej“ przez siebie postaci Curtuzzy, córki oberżysty, nici całej

spiskowej intrygi, iskrą jej zazdrości o kochanka dogressy wywołuje wybuch tragicznej katastrofy. Scena drga życiem: stworzył ją prawdziwy poeta.

Dramat Żuławskiego wybrała sobie na benefis pani Marczello-Palińska; ale nawet talent artystki, nawet jej temperament tragiczny nie zdołał przedłużyć mu życia. Inny natomiast benefis ze świetnem odbył się powodzeniem. Zegnała się w nim z publicznością po 55-letniej pracy w dramacie i komedyi pani Walerja Niewiarowska.

Nie zwykliśmy zatrzymywać się na benefisach, na tych przeżytkach w naszym teatrze zadawnionego prowincjonalizmu, który przez stosowaną zwyczajowo pięcioletnią peryodyczność zbanalizował ostatecznie dawniejsze uroczyste nastroje. Ale na wyjątkowe wspomnienie zasługuje artystka, budząca szacunek powagą i godnością, z jaką zawód swój traktowała. Wierna sztuce, umiłowanej z rzadką u nas stałością, pani Niewiarowska przeszła w ciągu pół wieku całą skalę repertuarową, wszędzie wnosząc z sobą doskonałą dykcję, gest dyskretny, i wyróżniającą się wytworność w obejściu, nie często dziś na scenie spotykaną. W chwili rozstania się z tą sceną wcieliła poraz ostatni dwie typowe figury „Kasztelanową“ Korzeniowskiego i panią Dobrójską w „Ślubach“ Fredry. Poraz też ostatni może przemówił do nas „styl“ najczystszy, bo nie na stroju, nie na „koafiurze,“ nie na rekwizytorskich cackach, ale na formach oparty, w jakich twórcy dramatu i komedyi wyrażali duszę swoich bohaterów i swojej literackiej doby. Odczuła to publiczność i z wyjątkową, oddawna niepamiętną sympatją pożegnała zasłużoną artystkę.

III.

Staralem się na początku tych uwag scharakteryzować indywidualność kierowniczą Józefa Kotarbińskiego, określić czem był i czem jeszcze być może u steru sceny polskiej; przysługuje mi więc słuszne prawo zaznaczenia ze szczerością bezstronnego obserwatora losów tej sceny, że wystawienie sztuki p. Wacława Grubińskiego było omyłką ze strony nowego kierownika. Omyłką, wynikłą — zastrzeżmy to odrazu — z godnych uznania pobudek, ze szczerej chęci torowania dróg oryginalnej twórczości; z gorącej sympatyi dla próbującej skrzydeł młodości. Ten drugi zwłaszcza bodziec tak silnie na pierwszy oddziałał, że oba razem wpłynęły na zmysł krytyczny dyrektora repertuaru.

Młodość! Zapewne, kochać należy z całego serca tę rzeźbiarkę przyszłości, przypatrując się jednak bacznie materyałowi, z jakiego rzeźbi. Młodość! Czarodziejka to — ani słowa — i koniecznym jest wnikanie w jej duszę; tylko, zstąpiwszy do jej głębi, trzeba badać, jakie rzuca czary i od kogo nauczyła się magicznych zaklęć. Młodość! Cudowna siła, gdy na imię jej Miłość; kiedy „wylata nad poziomy w rajską dziedzinę uludy i bryłę świata nowemi popycha tory.“ Straszna siła—gdy zwie się Nienawiścią, kiedy grzechy swego czasu, „jak Eumenida pędzi przez wężowe różgi,“ a szukając sumienia znikczemniałego świata, sięga bez miłosierdzia „do wnętrza jego trzew—i targa.“ Martwa siła—kiedy między taką Miłością a taką Nienawiścią stanęła obojętnie na punkcie *zera* i wpatrzona w tę zaokrągloną nicłość, przeglądając się w niej, jak w lusterku, kokietuje ją pretensjonalnemi pozami. Owocem takiej właśnie młodości są „Pijani“ p. Wacława Grubińskiego.

Nic też dziwnego, że pierwsze wrażenie widza na przedstawieniu tej sztuki musiało wyrazić się w zapytaniu: co to wszystko ma znaczyć i czem właściwie upili się bohaterowie osobliwszego dramatu? Źródła upojenia, biorąc na uwagę młodość autora, szukano w rozmaitych wpływach, wśród których, ze względu na różne aneksye zastosowane przez p. Grubińskiego, w pierwszym szeregu wystąpił oczywiście Stanisław Przybyszewski. Tak jest istotnie. „Pijanych“ skombinował autor z dwóch utworów swego mistrza: z „Matki“ i ze „Złotego runa.“ Widoczną intencją p. Grubińskiego było spoić oba motywy przyczynowem wiązadłem. Tragikomedia między małżonkami, wegetującymi długie lata w zateętej atmosferze cudzołostwa, które kochanka matki, za wiedzą jej męża, usadowiło u ogniska domowego, wysnuwa, jako naturalne następstwo, dramatyczną rozterkę między synami i rodzicami i dalszy tragizm tego rozłamu doprowadza do morderczej między braćmi katastrofy. Przedział między temi anteryorami i tą katastrofą wypełniają cztery akty, w ciągu których napróżno usiłowałibyśmy powiązać psychologicznie początek z końcem. Mamy bowiem do czynienia z „pijanymi;“ słyszymy słowa nie nie mówiące, patrzymy na czyny nie nie oznaczające; stoimy wobec dwóch odmiennych objawów niepoczytalności, popychającej Władysława Dargockiego, nieprzejednanego wobec matki, w objęcia zamężnej kobiety, której mężowi gotów jest wyrzucić taką samą krzywdę, jakiej własny jego ojciec padł ofiarą; a weiskającej w rękę Karolowi Dargockiemu rewolwer pesymisty-desperata, który pod wpływem waryackiego podejrzenia, że brat uwodzi mu

narzeczoną, odruchowo, jak lunatyk lub chory na *delirium tremens*, kładzie go trupem w domu rodzicielskim. Łatwo sobie wyobrazić, jak wygląda dramat oparty na niepoczytalności bohaterów. Chwilami odbiera się wrażenie jakiegoś snu w malignie; niekiedy trudno się oprzeć przypuszczeniu mistyfikacji; w najlepszym razie cisną się do głowy zapytania: co w tych chłopcach tkwi, na jaki grunt myślowy i uczuciowy padło owo nieokreślone, zagadkowe pijaństwo; w jakim ono jest stosunku do zachwianych czy też do szczętu zburzonych wartości moralnych i czy przenikając do duszy obu braci, miało tam wogóle cokolwiek do zachwiania i do zburzenia? Na to nie daje autor wyraźnie żadnej odpowiedzi; niewyraźnie pozwala się domyślać, że go takie pytania nie obchodzą. Bracia Dargoccy są takimi, jakimi są; co do reszty... *je m'en fiche pas mal*, zdaje się mówić p. Grubiński z gestem modernistycznego wyzwolenia. Czy ta głęboka filozofia formułuje się autorowi *in petto* we francuskim czy raczej w innym języku, o tem może wypadnie dalej coś jeszcze powiedzieć; w tej chwili wystarczy zaznaczenie, że od sceny, w której starszy Dargocki, oznajmiwszy Skorowskiemu o swoich „prawach“ do jego żony, proponuje mu postawienie jej na kartę, jako stawki śmierci dla jednego z grających i całym bufońskim nastrojem niedorzecznej rozmowy zdaje się wyrażać zdziwienie, że ugodzony takim ciosem mąż nie przyjmuje tego na wesoło,—od tego momentu nie p. Grubiński rozstaje się z Przybyszewskim, ale Przybyszewski odwraca się od p. Grubińskiego. I tu rozpoczyna się oryginalność autora „Pijanych.“

Określić jej istotę nie łatwo — wszystko bowiem zależy od pojęcia, jakie sobie kto o oryginalności wyrobi. Dla p. Grubińskiego powtórzenie całej kapitalnej sceny ze „Złotego runa“ nie jest naśladownictwem, lecz prostem przyswojeniem sobie technicznej budowy dramatu. Z drugiej strony autor „Pijanych“ powołuje się na niewątpliwy pewnik, że naśladownictwem nie nazywa się również wpływ danego pisarza na młodą twórczość. Jeżeli zatem od Przybyszewskiego zapożyczone zostały tylko zewnętrzne kontury, cóż poza nimi decydująco oddziaływało na kierunek, w jakim podążyła oryginalność młodego autora?

Rozbieżność uwag na ten temat wynikała, jak miemam, z nieporozumienia co do gatunku sugestyonujących wpływów. Ci, którym nie imponowała teoria o powierzchownych podobieństwach, obstawali za Przybyszewskim, mimo zapobiegawcze zastrzeżenia autora i jego autoreferatowe komentarze. Odzywały się jednak głosy, wyprowadzające psychologiczny indyferentyzm dramatu

ubocznymi drogami, przez ścieżyny nowelistyczne od dalszego Zachodu. Nie mam zamiaru zastanawiać się w tej chwili nad tem, która strona zyskuje, a która traci na takich wywodach; wydaje mi się tylko, że skądinąd płyną prądy, którym dał się porwać p. Grubiński; i gdyby oryginalność wypadło zamknąć w definicyach przeczących, trzeba by powiedzieć o „Pijanych“: nie, to nie jest świat, gdzie na nadludzkich wyżynach stoi *Homo sapiens*, a na padole płaczu biedni argonauci tańczą obłądną sarabandę śmierci, popchnięci w jej wir potęgą kosmicznej miłości, która zmiata z nizin chwiejne moralne budowy; nie — to nie jest także świat wytwornego *dandyzmu* i paradoksalnych „Dyabelstw“ arystokratycznych przeczników; ani świat drapieżnych indywidualistów, rozkochanych w Renesansie. To jest świat, w którym ludzie upili się prostą gorzałką rosyjskiego nihilizmu i bredząc w tem pijaństwie, — najbardziej odpychającym, na jakie odważyć się może polski pisarz, — powtarzają gesty nie Barbey d'Aurevillego lub Stendhala, nie Wilde'a albo Shawa, ale... Arcybaszewa.

Niczewo... taki jest zasadniczy motyw tych „Pijanych“, o których też w rezultacie nic innego nie można powiedzieć tylko: *ex nihilo—nihil*. Nie znaczy to oczywiście, że pan Grubiński nie ma talentu; ale ten talent, ujawniony nawet w owych niefortunnych „Pijanych“, w scenie między kochankami, bardzo żywej, mocno erotycznie odczutej, potrzebuje otrzeźwienia i takie otrzeźwienie powinien był przynieść młodemu autorowi znamienne w naszych stosunkach upadek sztuki po trzech przedstawieniach, których nie mogły ratować nawet pracowite usiłowania pań Przybyłko-Potockiej i Barszczewskiej, panów Ładnowskiego i Brydzińskiego.

Z jakąż rozkoszą po tym nowym autorze spotkaliśmy się z takim starym, jak Sheridan, pisarzem! Wszakże to sto trzydzieści dwa lata upłynęło od pierwszego przedstawienia „Szkoły obmowy“ w Londynie, a 116 lat od utrwalonej przez Bogusławskiego w pierwszym tomie jego dzieł daty, kiedy zlokalizowana przez niezmiordowanego dyrektora przeróbka komedyi angielskiego Beaumarchais'go „własną dobrotliwego króla ręką poprawiona była.“ Nikt już oczywiście nieżyje z pośród tych, co patrzyli na tę „adaptację“ i na uwijające się w niej grono „umiejscowionych“ Gdyrałskich, Bogackich, Plotkiewiczów i Wydrzyźniałskich; nikt też potem nie widział oryginalnych Teazłów, Surface'ów ani londyńskich plotkarek z autentycznymi nazwiskami Candour, Sneerwell; przy naszym zaś poziomie kultury literackiej mało kto zapewne wiedział dziś o Ryszardzie Sheridanie; a jednak od pierw-

szego przedstawienia „Szkoly obmowy“ publiczność poczuła się pod dziwnym jakimś urokiem.

W czym kryje się tajemnica tego uroku? „Szkola“ nie wysnuta jest z wielkiej, genialnej inwencji, ani się też na doskonałych, skończonych nie opiera typach. Galeria oszczerców obojej płci uwija się około zręcznie wyzyskanego kontrastu między dwoma braćmi, z których jeden, birbant, utracysz, lekkoduch zdobywa szczerym, sercowym odruchem sympatyę nieznanego sobie stryjaszka, przyglądającego się jego sprawkom pod zmyślonem nazwiskiem; drugi, obłudnik, krętacz i potwarca łapie się wobec ojca swej narzeczonej w potrzask, zastawiony we własnem mieszkaniu na cnotę jego żony. Nic więcej. Ale jest w tem tak przedziwne skojarzenie duszy francuskiego i angielskiego teatru, że dziś jeszcze nie można oprzeć się pełni życia, tryskającego z tej klasycznej w swoim rodzaju komedyi. Zestawiano Sheridana z Molièrem, od którego się zapożyczał, i ze współczesnym mu autorem „Wesela Figara,“ z którym go łączy pokrewieństwo temperamentów i awanturnicznych przygód. Dwa stulecia zatem i dwa narody współpracowały z pisarzem, kiedy tworzył „Szkolę obmowy“ i znać niewątpliwie w dziele Sheridana ślady tej kollaboracyi, a w niej wzajemne na siebie oddziaływanie współpracowników. Kreśląc postacie Józefa Surface'a i lady Sneerwell, Sheridan, wpatrzony w Tartuffe'a i w Celimenę, nie mógł jednak do swych wizerunków przenieść wszystkich rysów Molière'a; nie pozwoliła mu na to jego indywidualność anglika, cofająca się przed francuską symetrią konturów, zamykających w wielkich liniach psychologię jednej wyłącznej wady, zdrożności, przywary ludzkiej. Anglo-saksońska właściwość odczuwania życia realnego w szczegółach obniżyła może typy ideowo, ale kształtując je prawie osobniczo, wzbogaciła różnaitością cech charakterystycznych. Pod wpływem angielskiej poetyki i prostolinijna logika molierowskiej akcyi musiała uleść podobnym przeistoczeniom, które w pewnych momentach, kipiących swadą i temperamentem, zbliżają „Szkolę“ więcej do „Folle journée“ Beaumarchais'go, aniżeli do Świętoszka“ lub „Mizantropa.“ Są chwile, kiedy wszystko tam wre tak wyteżonym komizmem, kiedy z różnych szczeblów drabiny społecznej padają takie znamienne słowa, że uprzytomniamy sobie w pisarzu człowieka, który je w życiu przebiegł wszystkie od szczytów pomyślności, do nizin niedoli i był, jako twórca, najwymowniejszą ilustracją określenia, w jakim Taine zamknął całą grupę pisarzy scenicznych: „bez wysiłku, zupełnie naturalnie znajdują oni na palcu zarówno silne barwy do malowania swoich

barbarzyńców, jak ładne farby do kolorowania swoich wytwornisów.“ Sheridan używał tej palety ze zdumiewającą sprawnością, harmonizując koloryt i światłocien subtelnościami dyalogu, dowcipem o zwrotach niespodzianych, świeżością metafor; i powstał stąd obraz stylowy, który w starannej inscenizacji p. Sliwickiego i w grze do tego stylu artystycznie dostrajanej przez panie Lüdową i Siennicką i panów Ładnowskiego, Rapackiego, Wolskiego, Sliwickiego i Wojdałowicza żywością barw zwalczył zwycięsko patynę czasu.

Specjalnością pana Kamińskiego jest stylizowanie plastyczne współczesnej literatury, zwłaszcza w tworcach naturalizmu, najżywiej przy realizacji odczuwanego przez znakomitego technika. Wdzięczne też pole nastęrczył reżyserowi głównemu Gerhart Hauptman w swoim „Koledze Cramptonie,“ który znalazł istotnie w teatrze Rozmaitości doskonale ramy i tło pełne wyrazu.

Jak się w tej pracowni obmyślanej oprawie przedstawia znane zresztą warszawskiej publiczności z dawniejszych ogródkowych przedstawień naturalistyczne malowidło Hauptmanna? Przewszystkiem jako portret, którego całe otoczenie, odsunięte z intencją na dalsze plany, odgrywa rolę podrzędnego sztafażu. Mniejsza o to, czy w rzeczywistości ktoś autorowi mimowiednie do tego wizerunku pozował; zbyt wielkim artystą jest Hauptmann, abyśmy dopatrywać się mieli w tym doskonałym wizerunku marnych fotograficznych intencji. Ale właśnie stosunek pierwszoplanowej figury do jej otoczenia wyraźnie w portrecie zaznaczony, obalając pogląd tych, którzy, jak Adolf Bartels, chcieli w „Koledze Cramptonie“ widzieć „dramat środowiska,“ charakteryzuje zarazem przekonująco moment procesu psychologicznego, odbytego już w duszy bohatera. Nie jest to moment walki, poprzedzającej upadek artysty i człowieka; poznajemy Cramptona od pierwszego podniesienia zasłony, jako zdecydowanego alkoholika, poddającego się już bez oporu niszczącemu nałogowi. Zmagał się zapewne przed abdykacją z godności ludzkiej i artystycznej, z wrogim sztuce układem stosunków sfilistrzałego miasta; protestował prawdopodobnie czynami i dziełami; ale nie widzieliśmy tych zapasów z ciemnymi mocami; to zaś, na co patrzymy od początku, jest ruiną fizyczną i moralną tak zupełną, że z tych szczątków zmurowanej duszy trudno nawet dociec: czy Crampton był istotnie genialną naturą, czy i jaki miał rzeczywiście talent. A od promyka, który mógłby rozproszyć tę wątpliwość, zależy przecież oświetlenie całej postaci. I dla tego wydobyć tych lub innych plastycznych rysów z tej figury jest tak całkowicie w rękach ak-

tora. Pewne akcenty, naciśnięte w grze silniej; pewne nuty, odzywające się w niej głośniej, wywołać mogą, jak się wyraża Edgar Steiger, *zweierlei Lachen*. Będziemy się śmieli swobodniej, weselej, kiedy z Cramptona, zaglądnącego co chwila do butelki, wychyli się skończony kabotyn, wmawiający we wszystkich i w sobie wielkość swego zapoznanego geniuszu i kolosalność nieurodzonych dzieł swoich, a tęskniący do knajpy, która jest naturalną ostoją jego cygaństwa. Lub też uśmiechniemy się tylko melancholijnie, kiedy przyszedł zięć malarza, wyciągnąwszy go z brudnej szynkowni, dokąd się był schronił po ostatecznem bankructwie swoich rojeń artystycznych, zaprowadzi Cramptona do urządzonej u siebie nowej pracowni, zapełnionej starymi mistrza gratami, z młodzieńczą wiarą, że odtąd zacznie się „poprawa.“ Uśmiech nasz smutkiem się nawet zabarwi na widok bezradnego alkoholika, bo uprzytomnimy sobie przytem całą ułomność natury ludzkiej. Cóż stąd, że Maks i Jadwiga pobiorą się z sobą, a owa pracownia może przy nich stać się dla artysty ogniskiem domowem; coż stąd, że „wszystko dobrze się kończy,“ kiedy to, cośmy widzieli, za miesiąc powtórzyć się może. Niedopowiedział tego Hauptman, bo mu na tem nic nie zależało; kto wie nawet, czy w owem niedomówieniu nie tai się artystyczna twórcy intencja; ale ta powściągliwość nie jest obowiązującą dla aktora. Nie krępują się też nią różni przedstawiciele Cramptona. W interpretacji Winklera przeważała niegdyś komedia rozpojonej cygany; Frenkiel skłania się ku dramatowi upadłego artysty. Odczuwamy ten zasadniczy ton od pierwszego odezwania się Cramptona. To nie jest knajpiarz z temperamentu, pozujący świadomie na nieuznaną wielkość; to nie jest impotencja, trapiąca manią prześladowczą, którą osłaniać lubi swoją niemoc. To dusza twórcza, obez władniona bez ratunku w zarobkowej niewoli u oficjalnej sztuki; to zaprzepaszczonego artysta, szukający jeszcze na dnie przepaści myślą zamroczoną szczątków swego ja; to człowiek słaby, krzepiący ducha maksymą: *spiritus flat ubi vult*, przystosowaną do... flaszki. Kompozycya takiej figury nie była łatwą; nie można bowiem wyłączyć z niej rysów komizmu, występujących od czasu do czasu w stosunku Cramptona do otaczających, w naiwnem akcentowaniu jego wyższości względem wszystkich i wszystkiego, w poufałem obcowaniu ze sztuką, którą traktuje ze specyficznie niemieckimi, brutalnemi karesami. Zadanie stało się jeszcze trudniejszym od chwili, kiedy Frenkiel ostatnie sceny drugiego aktu: zawód doznany od księcia-protektora, dymisyę z Akademii, pożegnanie z córką, nastroił na nutę, z której, jak

się zdawało, można było snuć dalej tylko tragiczne motywy upadku artysty. Ale wiemy z kim mamy do czynienia i ilu strunami dźwięczy talent Frenkla. Nęciło widocznie artystę zadanie uprzytomnienia plastycznie rozedrgannej płataniny nastrojów, przenikających się wzajemnie w mętnych myślach i czuciach alkoholika. Nie oparł się pokusie pochwylenia w migawkowych zdjęciach tej rozluźnionej, wytraconej ze wszystkich spojeń i żyjącej w samych błyskawicach duszy. I dokonał tego świetnie, we właściwy swej odtwórczej naturze sposób, który nawet określić się nie da; bo w interpretacji, podobnie jak w dziele, każdy wyraz jest częstką mówiącego człowieka, oderwanym strzępkim jego duszy; bo zresztą nie można definicyjami rozczłonkowywać, rozdrabniać naturalistycznego portretu — trzeba go zobaczyć.

IV.

W tym samym czasie, kiedy w „Rozmaitościach“ pijaczyna z duszą artysty, czy też artysta z pijacką żyłką zdobywał sobie sympatyę publiczności, na scenie Teatru Małego, kierowanej zawsze z niesłabnącą ruchliwością przez Maryana Gawalewicza, poznaliśmy bardzo ciekawą odmianę typu niedocenionego malarza, który mógłby z racji swojego zawodu i swoich zawodów nazwać się „Kolegą Dubedatem“, gdyby od wszelkiego „koleżeństwa“ nie odsuwała go cała psychologiczna odrębność tej osobliwej figury i modernizm oświecenia, w jakim ją nam przedstawiono. Prezentował swego bohatera Bernard Shaw. Nazwisko starczy za komentarz i przygotowuje nas odrazu na wszelkie niespodzianki. Więc najprzód Dubedat, którym się autor tak żywo zajmuje w różnych momentach jego krótkiego suchotniczego życia, że nam każe być świadkami śmierci malarza, nie jest główną figurą pięcioaktowej komedyi. Satyryk nie mógł się obyć bez tła społecznego, a na tem tle uwija się grupa szarlatanów medycyny, których ofiarą ma ostatecznie paść chory artysta, zetknąwszy się z „Lekarzem na rozdrożu“ (taki jest tytuł sztuki). Satyryk, przepojony subiektywizmem, nie może też malować portretu naturalistycznego; temperament popycha mu rękę do karykatury, zamykającej w rysach rozmachanej negacji rozmyślnie wykrzywioną fizyognomię obserwowanych gromad społecznych. Z tego tła, wypełnionego medykami i z otoczonej nimi, a więcej na czoło wysuniętej postaci artysty, wydobyl Bernard Shaw wspólny w nich

typ *kabotyna*. Kabotynami są wszyscy ci doktorzy, probujący na pacjentach swoich fantastycznych odkryć i wynalazków; ale największym kabotynem jest ów stroniący od pijaństwa, trzeźwy jęgomność z paletą, w przeciwieństwie do naiwnego Cramptona nie tylko zupełnie swego kabotynizmu świadomy, ale posługujący się nim cynicznie, jakby naturalną przynależnością duszy artystycznej, nie wyrzekający się go nawet przy skonaniu, kiedy odmawiając modlitwę do bóstwa Sztuki: „wierzę w Velasqueza, w Michała Anioła,“ ogląda się w ostatnim wysiłku, czy słyszy to dobrze... reporter. W urąganiu nad całą tą kompanią Bernard Shaw, jak zwykle, nie omija i siebie; jego genialny kabotyn, chełpiąc się swoim amoralizmem, wyjaśnia nam, że jest uczniem Bernarda Shawa. Stosunki zatem między kabotynami są, jak widzimy, najlepsze; mistrz kontent, a publiczność śmieje się z pewnem jednocześnie zdziwieniem nad tym śmiechem, w którym nie czuje ani życiowego wesela, ani filozoficznego smutku, ani artystycznej rozkoszy.

Jak tę sztukę grano na scenie Gawalewicza? W granicach sił, których nie brak w tym teatrze i którym potrzeba tylko normalniejszych warunków i skuteczniejszej zachęty, ażeby niewątpliwe wśród nich zdolności i talenty rozwinąć się mogły w całej pełni. Przez tę pożądaną normalność rozumiem nie tylko rozszerzenie techniczne ram na prawdziwej scenie, ale i poparcie publiczności, która uwolniłaby dyrektora od uciążliwej i nieartystycznej konieczności ustawicznego zmieniania afisza. W dzisiejszych warunkach personel Teatru Małego, umiejętnie skompletowany, poruszać się musi w podwójnej ciasnocie: materalnej, krępującej fizycznie w przestrzeni rytm dykcji i linie gestu; i artystycznej, która w czasie nakłada więzy pośpiechu na wszelkie intencje aktora, marzącego o pogłębieniu roli. Dość spojrzeć na długą listę sztuk wystawionych na tej miniaturowej scenie od czasu ostatnich naszych o niej uwag; dość przeczytać nazwiska autorów różnych narodowości, zasilających repertuar Gawalewicza, ażeby stwierdzić nawał dokonywanej tam pracy, w której literatura zajmuje niepoślednie miejsce, a realizacja jej w tak ciężkich warunkach ujawnia coraz częstsze i zamało oceniane „przebłyaski artystyczne.“

PIŚMIENNICTWO.

Dr. STANISŁAW KARWOWSKI. *Czasopisma wielkopolskie. Część pierwsza.* 1796 — 1859. 8-o, str. 83. Poznań, 1908. Odbitka z „Dziennika Poznańskiego.“

Nasza literatura peryodyczna nie posiada dotychczas wyczerpującej monografii naukowej. Z dziwną, zgoła nieuzasadnioną obojętnością traktowany jest obfity dział tego rodzaju piśmiennictwa; poświęcano mu zazwyczaj skromny jedynie kącik w historii literatury. Opracowania Czarnowskiego i Sobieszczańskiego nie wyczerpują tego rozległego i trudnego do ujęcia tematu. Omówienie całokształtu dziejów literatury peryodycznej i z tego względu napotyka na przeszkody, iż żadna z naszych bibliotek nie posiada kompletnego zbioru czasopism, nietylko z wieku XVII lub XVIII, lecz i z XIX-go, nie mówiąc już o pierwszych naszych gazetach, których zaledwie kilka dochowało się egzemplarzy. O wiele łatwiejszymi do wykonania są monograficzne studia o poszczególnych czasopismach, lub o ich pewnych grupach ukazujących się w danym okresie lub dzielnicy. I w tym jednak kierunku nieliczne dotychczas ujawniono próby, z tem większem przeto uznaniem przyjąć należy pracę dr. Karwowskiego o czasopismach wielkopolskich.

W krótkim i nadzwyczaj zwięzłym wstępie do swej broszury podaje autor wiadomość o najdawniejszych czasopismach politycznych w Polsce. Wzmianka ta nie wykracza poza suchą notatkę encyklopedyczną, bynajmniej nie wystarczającą. Sądzymy, iż tu właśnie należało wspomnieć o najdawniejszych czasopismach naukowych, wydawanych w prowincyi wielkopolskiej, wprawdzie w języku niemieckim, lecz dla spraw, dotyczących Polski. Takim wydawnictwem był miesięcznik p. t. „Polnische Bibliothek,“ poświęcony wyłącznie dziejom polskim i mający za zadanie zapo-

znanie czytelników z rzeczami ojczystymi oraz krytykę naukową naszych kronikarzy. Redaktorem był słynny uczony Gottfried Lengnich; pismo wychodziło w Gdańsku, choć na tytule widniała zmyślona, a nader charakterystyczna nazwa miejsca druku: „Tannenberg, wo Wladislaus Jagiello die Kreutzherren schlug;“ pierwszy zeszyt nosi datę 1 czerwca 1718 r., wyszło tylko dziesięć zeszytów. W r. 1722 Jerzy Piotr Schulz począł wydawać w Toruniu miesięcznik o programie zbliżonym do pisma Lengnicha p. t. „Das gelahrte Preussen aus neuen und alten Schriften, wie auch der gelahrten Männer, welche in Preussen geboren, oder daselbst gelebt, oder von preussischen Sachen geschrieben, Namen und Leben,“ wyszło do r. 1725 pięć części. W następnych latach ukazują się jeszcze następujące czasopisma naukowe w Prusach: „Preussische Zehenden“ i „Erläutertes Preussen,“ ostatnie wychodziło od 1723 do 1728 r. w Królewcu nakładem profesora tamtejszego uniwersytetu pastora Michała Lilienthala, niestrudzonego współpracownika poprzednich czasopism. W tym samym czasie ukazało się w Lesznie pod redakcją Gottloba Efraima Hermana, fizyka miejskiego w Bojanowie i Ernesta Jeremiasza Neifelda, lekarza leszneńskiego, pierwsze pismo lekarskie w Polsce p. t. „Primitiae physico-medicae, ab iis, qui in Polonia et extra eam medicinam faciunt, collectae“ (Lesnae typis Presserianis); wyszły trzy zeszyty.

Nadto od roku 1718 do 1720 nakładem drukarza królewieckiego, Jana Cenkiera, wychodził w Królewcu tygodnik polityczny w języku polskim p. t. „Począta Królewiecka.“

Praca d-ra Karwowskiego, omawiająca wyłącznie czasopisma polskie, wydawane w W. Księstwie Poznańskim w okresie 1796—1859, z pominięciem Prus Zachodnich i Ślązka pruskiego, dzieli się na następujące części: I. Dzienniki polityczne (Gazeta Prus Południowych, Gazeta Poznańska, Gazeta W. Księstwa Poznańskiego, Gazeta Polska, Wielkopolanin, Wiarus, Dziennik Polski, Goniec Polski, Krzyż a Miecz); II. Czasopisma treści literackiej (Pismo miesięczne, Mrówka Poznańska, Rozrywki Literackie i Biblioteka Konwersacyjna, Weteran Poznański, Przyjaciel Ludu, Tygodnik Literacki, Orędownik Naukowy, Dziennik Domowy, Rok pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych, Przegląd Poznański, Znicz); III. Pisma ludowe i pedagogiczne (Szkółka Niedzielną, Pismo dla nauczycieli ludu i ludu polskiego, Kościół i Szkoła, Szkoła Polska, Szkołka dla dzieci, Szkołka dla młodzieży); IV. Czasopisma kościelne (Archiwum Teologiczne, Gazeta Kościelna, Tygodnik Kościelny, Obrona Prawdy); V. Cza-

pisma rolnicze i przemysłowe (Przewodnik rolniczo-przemysłowy, Ziemianin, Przyroda i Przemysł).

O każdym z powyżej wymienionych czasopism podaje dr. K. najważniejsze szczegóły historyczne i bibliograficzne, wymienia redaktorów oraz cytuje najbardziej charakterystyczne ustępy z cenniejszych artykułów. Przy końcu swego opracowania wylicza autor jeszcze dwanaście czasopism wielkopolskich, wymienionych w Bibliografii Estreichera, których wszakże dla nieznanych nam powodów nie omawia; pominięte również zostały, jak to wyżej zaznaczyliśmy, czasopisma, wydawane w Prusach Zachodnich, jak „Biedaczek“ wyd. w 1848 w Toruniu i Chełmży; „Szkółka Narodowa;“ „Nadwiślanin“ w Chełmie; „Przyjaciół ludu lecki,“ wydawany przez pastora Gizewiusza w latach 1842—1850 dla Mazurów pruskich ewangelików, i w tym celu drukowany literami niemieckimi; prusofilski „Kalendarz królewsko-prusko-ewangelicki“ wyd. w r. 1858; wreszcie czasopisma polskie na Ślązku pruskim, jak „Telegraf,“ redagowany przez Józefa Lompę w 1848 r. w Olesznie; „Gazeta wiejska dla Górnego Ślązka“ w 1849—50.

Praca d-ra Karwowskiego, aczkolwiek nie daje całkowitej syntezy ruchu czasopiśmienniczego w Wielkopolsce w okresie 1796—1859, stanowi jednak cenny i pożądaný przyczynek dla historii naszej literatury peryodycznej.

H. M.

SAVITRI. *Poezye.* Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1908.

Oto leży przed nami gustownie wydany tomik poezyj.

Mężczyzna czy kobieta ukrywa się pod imieniem indyjskiem Savitri, trudno odgadnąć. Raz bowiem w męskim rodzaju, to znów w żeńskim w pierwszej osobie występuje.

Przypuszczalibyśmy raczej, że to poetka nowa wkracza w szranki literackie, mówi bowiem o sobie, jako o kobiecie, w tych utworach, gdzie najtajniejsze głębie duszy swej odkrywa, mężczyzną zaś mianuje się w wierszach refleksyjnych przeważnie i filozoficznych.

Zaprzeczyc się nie da, że Savitri posiada niemalą siłę i szczerść wyrazu swych uczuć i pożądań. Najlepiej da się to zastosować do pierwszego cyklu, jakby umyślnie wysuniętego na czoło, p. t. „Rzeźby z lawy.“ To garść erotyków o płomiennych, jaskra-

wych barwach, owianych gorącym tchem szału miłosnego, palącego żaru namiętności.

Śnieżystem ramieniem oplotę ci szyję,
wargami w twe wargi się wpiję,
przedziwny aromat mych ciemnych warkoczy
twą wolę opęta i pamięć zamroczy,
pozwolę ci słuchać, jak pierś mi oddycha,
w ramionach twych usnę, marząca i cicha.
Otworzę przed tobą ekstazy podwoje,
nieziemskiej rozkoszy cię szałem upoję
i krzyknę ludzkości klębiącej się masie,
że dwoje nas tylko w przestrzeni i czasie...

I tak płyną z pod pióra Savitri wrzającą lawą takie utwory, jak: „Misteryum miłości,“ „Krzyk życia,“ „Pieśń o pragnieniu,“ snują się węzowymi skręty płomienne wizye anachorettek („Muiszka,“ „W klasztorze“), by wreszcie rozwiać się we mgłę tęsknoty i smutku, kiedy ułożyła się burza zmysłów, a po chwili upojenia i szału następuje długa cisza, kładzie się na duszę szary cień żalu, poczucia pustki i jakichś pragnień nie zaspokojonych.

I tu dopiero jest prawdziwa poezya, jak np. w następującym wierszu:

O północnej, bezsennej godzinie,
kiedy księżyc wysrebrza aleje,
schodzą ku mnie ze wspomnień tajemicy
dni umarłych, przeżytych dni dzieje.

I ja śnię, że przychodzisz znów do mnie
o północnej godzinie bezsennej,
i że pierś ma znów pełna potęgi,
i że skroń znów lśni w gloryi promiennej... i t. d.

Czystsza jeszcze, szlachetniejsza nuta popłynęła z wiersza, zaczynającego się od takich zwrotek:

Dał woła, dobra, dał pogodna,
oto od ciebie już odchodzę,
a jakom przyszła, idę głodna,
nie błogosławię twojej drodze...

A kończy się wiersz ten taką smutną skargą:

Puhar mej wiosny, dar ochoczy,
spełniłeś w krótkiej chwili do dna...
Odchodzę. We łzach moje oczy,
i jakom przyszła, idę głodna...

Po ekstazach miłosnych przychodzi kolej na—zwątpienie i rozterkę. Obrazem tych przejść duchowych jest cykl p. t. „Nietopierzowe loty.“

I pieśń się zrywa, pieśń się zrywa,
taka szalona i zgrzytliwa:
taką weselną grzmi fanfarą
nad połamaną moją wiarą—

oto zwrotka, z utworu p. t. „We mnie jest noc...“ najlepiej charakteryzująca nastrój duchowy twórcy. A w „Fantazyi panteistycznej“ Savitri pyta: „Gdzie moje ja?“ co „wybłysło, jak barwista raca, w tysiące skier pierzchnęło—i nie wraca...“

Ale utwory refleksyjno-filozoficzne są już niższego, cięższego lotu. Wiersz np. p. t. „Dwom bogom“—gorzki wyrzut Ormuzdowi i nizki pokłon dla Arymana—to swojego rodzaju dydaktyka, chociaż *à rebours*. Takie wiersze, jak „Skazaniec“ lub „Wizya“, to znowu prześciganie się w okropnościach—czyżby *pour épater le bourgeois*? A krajobrazy—to jakby zielniki ze starannie wykaliografowanemi nazwami z klucza botanicznego, np.:

lekkie altany z łez perłowych
oplotły *wodorosty*,
sargas porasta wodne łąki,
splotły się w las *morszyny*,
pływa *krasnorost* karminowy,
królują wśród głębiny
barwne, pstrociste *anemony*...

Gdzież tu obraz poetycki? gdzież nastrój?

Jakby syntezą poprzednich dwóch cyklów jest trzeci: „Dni pogody.“ Po uniesieniach namiętnych, po chwilach niewiary i wątpienia następuje—głębokie ukojenie. Rozkołysanemu duchowi przywraca równowagę—wiara filozoficzna, wiara w ewolucyjne dążenie wszechświata ku lepszemu jutru. W suchym nieco, ale pełnym treści ideowej wierszu, p. t. „Z dyalogów o przyszłości“, tak się ta myśl i ta nadzieja wyraża:

I czemuż jest życie?

Przemianą i ruchem.

Radośnie się odmieni płomiennym wybuchem
i rwij się w przyszłości błękitne oddale,
ocean nie ginie, choć giną w nim fale!

Wiara panteistyczna i panteistyczna miłość natury cechują tę wiązaną poezji. Na łonie przyrody słodkiej, jasnej, wonnej, anielskiej jakże błogo spoczywać skołatanemu w burzach żywota sercu. I takie nastroje, szczerze poetyckie i pociągające wyobrażenie, składają się na takie utwory, jak: „W zatoce,“ „O świetle,“ „Czeremchy kwitną,“ „Ekstaza.“ W ostatnim z nich takie np. czytamy zwrotki:

Źródło najczystszych wyanieleń,
źródło rajskiego zachwycenia...

Przedemną cudnych sadów zieleń,
złoto owoców je splomienia.

Wokoło mnie szafiru ścieżka,
na nią spadają lili deszcze.

Tu oto szczęście wieczne mieszka,
tu oto ekstaz słodkie dreszcze...

Niema grzechowej we mnie skazy,
cicho dzwoneczki srebrne dzwonią...

Wśród nieskończonych cisz oazy
poję się wieczną sfer harmonią...

W tych trzech cyklach najlepiej odzwierciedlił się duch twórcy. Inne („Im,“ „Chwile,“ „Bryzgi“) są niejako uzupełnieniem zbiorku.

Talent niezaprzeczonego. Talent mocny, indywidualny, szeroki. Nie idzie utartym szlakiem. Szuka drogi własnej. Jeszcze nie znalazł. I błąka się to po spiekłych pustyniach zmysłowości erotycznej, to po lodowcach najwyższych, dostępnych tylko najwyższym duchom abstrakcyi.

Dotychczas zamknął się w szczupłym kole erotyzmu, osobistych zwierzeń, tęsknot, marzeń i rozmyślań. Tak rozpoczynają zazwyczaj młodzi, dla których własne „ja“ jest punktem środkowym wszechświata.

Ale młodzi dojrzewają, mężnieją, dochodzą do równowagi i opanowania środków artystycznych. Czy to samo będzie z p. Savitri—zobaczmy.

HENRYK GALLE.

WACŁAW SIEROSZEWSKI. *Małżeństwo. Być albo nie być. Tulacze*. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka. 1909. 8-o, str. 410.

Lat piętnaście upłynęło od chwili, gdy ukazał się pierwszy utwór nieznanego dotąd autora, p. t. „Na kresach lasów.“ Rzecz nabrała w krótkim czasie niezmiernego rozgłosu, a autor, pod pseudonimem Sirki ukryty, wstępny bojem zdobył sobie uznanie i sympatyę.

Dwa się na to złożyły pierwiastki: uczuciowy i malarski.

Tem uczuciem jest wielka i nieprzeparata tęsknota, co skroś pól śnieżnych bez kresu, przez rzeki niezbrodzone i góry niebotyczne niesie duszę do tych „pól, malowanych zbożem rozmaitem,“ do tych „pagórków leśnych,“ do tych „łak zielonych.“

Tyle mil, tysiące całe, tyle dni męczeńskiej, krwawej podróży, a przecież... jakże niewiele trzeba, by sobie ten kraj daleki, a tak ukochany uprzytomnić. Już nietylko uroczyscie przełamany i obnoszony, jak świętość jaka, „opłatek z Warszawy,“ ale nawet skrawek gazety z miasta rodzinnego wystarcza, by rozszlochać duszę, serce wstrząsnąć do głębi. Liryzm Sieroszewskiego odzywa się zawsze dźwięczną a potężną nutą—nostalgii.

A motywy malarskie? Małoż ich w tych pejzażach tak dziwnych a groźnych, tak od przeciętności europejskiej odległych? trudnoż je odnaleźć w obrazach obyczajów i życia tuziemców syberyjskich, tych Jakutów, Czukeczów, Tunguzów, Buryatów, których nam tyle w nowelach swoich i powieściach daje Sieroszewski, które z taką wyrazistością i plastyką wystąpiły już w pierwszym jego utworze? Jako malarz obrazów egzotycznych, życia i natury, dalekich od „środowiska“ europejskiego, Sieroszewski niema sobie równych w dzisiejszej naszej literaturze.

Nie dość na tem. Motywy orientalistyczne nie są u autora „Dna nędzy“ li tylko środkiem zewnętrznąj ornamentyki, dekoracyi, jak np. u Szymańskiego; one istnieją same w sobie, same sobie służą celem. Inaczej mówiąc: folklorysta-Sieroszewski, autor wybornego studyum „Dwanaście lat w kraju Jakutów,“ nie wynosi się ponad Sieroszewskiego-poetę, co, zgodnie z hasłem: „miej serce i patrzaj w serce,“ przenika do dna tajemnicze dusze swych bohaterów—syberyjskich autochtonów, odkrywa w nich przedziwnie głębokie tragedye, szuka drgnienia serca ludzkiego, które wszędzie jest jedno, bez względu na szerokość i długość geograficzną, klimat, rasę, pochodzenie i t. p. cechy zewnętrzne.

Cisnęły nam się te przypomnienia, gdy rozczytywaliśmy się w ostatnich nowelach Sieroszewskiego, ujętych w tom p. t. „Mał-

żeństwo. Być albo nie być. Tułacze.“ A cisnęły nam się dlatego, iż odnaleźliśmy w tych utworach wiele dawniej nam już znanych cech jego twórczości, spostrzegliśmy też i coś nowego, czegośmy dotąd w jego utworach nie widzieli. A przede wszystkim—z radością zauważyliśmy, że artyzm autora „Brzasku“ wznosi się na coraz wyższe stopnie udoskonalenia. I—rzecz dziwna, ale psychologicznie zupełnie zrozumiała—jest Sieroszewski tem wyższy pod względem estetycznym, im obojętniejsze, bardziej dalekie podejmuje przedmioty.

I dlatego też pierwszą z nowel, „Małżeństwo,“ uważamy za najlepszą w zbiorze i śmiało nazwać ją możemy małym arcydziełem. Dwoje ludzi młodych, zdrowych i silnych, gdzieś w głębi Syberyi, zamieszkuje na samotnej wyspie, wśród spienionych nurtów szumnej rzeki. Dwoje wygnańców-Polaków objęło tę małą grudek wielkiej ziemi sybirskiej w niepodzielne, chociaż czasowe posiadanie: on—wziął w dzierżawę bujne łąki na tym szczupłym obszarze, ona—dzieli wszystkie jego trudy i nadzieje, jako pomocnica, kochanka i żona.

A dodać należy, że cała ta sielanka, to rozkoszne sam-na-sam tych polskich Pawła i Wirgini i na odludziu syberyjskiem roztacza się na tle przebogatej, istic pierwotnej, dziewiczej natury, nietkniętej niemal brutalną ręką człowieka. Przedziwny pomysł! A jakże cudownie kreślą się miękkie linie szczęścia wspólnego i miłości tych dwojga na podłożu bujnej, nieprzebranej hojności darów przyrody!

Jeżeli główną cechą sielanki jest owa czarowna wspólność człowieka z naturą, to „Małżeństwo“ jest jedną z najpiękniejszych sielanek literatury nowoczesnej.

Sielanką — w pierwszej części. Ale idylla, niestety, prędko się kończy, następuje dramat. Już na wyspie błogą harmonią dusz i ciał macą od czasu do czasu przykre rozdźwięki: brutalna, żywiołowa, bardziej pierwotna i bezwzględna dzikością barbarzyńcy natura mężczyzny raz wraz rani boleśnie subtelną, wyczuloną, nieumiejącą pozbyć się wszystkich przesądów cywilizacji duszę kobiecą (doskonałe sceny np. podczas polowania na łabędzie lub podczas kąpieli w rzece). A gdy pierwsze chwile radości i upojenia przeminają, zaczynają ciężać sobie nawzajem, czują, że są sobie coraz bardziej obcy.

To uczucie wzmagą się z chwilą opuszczenia wyspy z nastaniem jesieni. Już sama konieczność „meldowania“ światu swego stosunku, strąca w ich duszach pewien osad goryczy. A przytem zjawia się drugi mężczyzna: melancholik, schyłkowiec, z du-

szą, przeżartą rdzą refleksyi i „weltschmerzu,” o słabej woli i wą-
tłem ciele, po nic sięgać i niczego spodziewać się nie może. Ale
góruje nad swym rywalem wykwintnością i wrażliwością ducho-
wą, całą treścią „europeizmu,” którego tanten pozbył się, jako
zbytecznego balastu. Ale zyska przyjaźń i współczucie kobiety
z wyspy—i tyle tylko. Zażądał więcej, a spotkawszy się z bez-
litością, chłodną odmową, kończy życie samobójstwem.

I odtąd ten trup stoi nieustannie między dwojgiem kochan-
ków; „Małżeństwo“ kończy się rozstaniem, pomimo iż niezadługo
ma ich połączyć nowy węzeł widomy—spodziewane dziecko, owoc
miłości.

Cóż, kiedy wewnętrznej, duchowej spójni zabrakło!

Dawno już Sieroszewski nie napisał rzeczy tak skończonej
w sobie, doskonale skomponowanej, bogatej w środki ekspresyi
malarzkiej i głębię psychologicznego odczucia. „Małżeństwo“ sta-
nie niezawodnie w rzędzie najlepszych jego utworów.

O pozostałych dwóch nowelach o wiele mniej mamy do po-
wiedzenia. Wielkie, silne wrażenie wywiera „Być albo nie być,”
straszny obraz życia więziennego, samowoli strażników, podstępów
skazańców, rozmów przez wypukiwanie, „głodówki,” strasznych
mąk cielesnych i duchowych, których kresem—śmierć lub szaleń-
stwo. Ale to wstrząsające wrażenie przypisujemy nietylko formie
artystycznej, lecz i samemu przedmiotowi, który chwyta za serce
i zniewala je do żywszego bicia.

„Tułacze“ przypominają motywy „Uciezki“ i „Powrotu:“
Kalwarya wygnańca, który boso i nago ucieka z miejsca osiedle-
nia do kraju rodzinnego, wśród ciągłych walk z naturą i ludźmi.

W zakończeniu występuje, podobnie jak i w „Być albo nie
być,” nowy motyw w twórczości Sieroszewskiego: wspomnienia
niedawno minionej epoki rewolucyi. Bo oto bohater, dostawszy
się wreszcie do miejsc rodzinnych, ginie, wraz z ukochaną kobie-
tą, straszną śmiercią podczas jakiegoś „pogromu.“ Scena ta jest
tak okropna, że aż przestaje być artystyczna. I znowu sprawdza
się to, co pisaliśmy na początku niniejszego rozbioru, że, im przed-
miot dalszy jest od bezpośredniego odczuwania, w tem wyższe
wznosi się krainy arcyzmu.

I dlatego to „Małżeństwo“ stawiamy nierównie wyżej od
„Tułaczy“ i „Być albo nie być.“

HENRYK GALLE.

Kronika miesięczna.

Skasowanie fortec w Król. Polskiem.—Sprawa chełmska w najnowszej swojej fazie. —Warszawska Szkoła sztuk pięknych w r. 1908. —Nastrój chwili.—Delegacya obywatelska.

W prasie warszawskiej ukazała się niedawno wiadomość, obok której niepodobna przejść obojętnie. Wiadomość ta dotyczy wstrzymania przez ministerjum wojny wszelkich robót budowlanych i fortecznych w Królestwie Polskiem. Powodem tego zarządzenia ma być stwierdzenie faktu, że Królestwo Polskie traci obecnie swoje znaczenie, jako teren strategiczny. Z tych więc względów istniejące w Królestwie fortece: Warszawa, Modlin, Dęblin i Zegrze mają być zupełnie skasowane, niektóre forty twierdz zrównane z ziemią, inne zaś obrócone na koszary i składy intendentury. Jednocześnie ma być także zmniejszona ilość wojska, konsystującego w Królestwie, a mianowicie w ten sposób, że pozostanie w niem przeważnie kawalerya i artylerya, piechota zaś zostanie cofnięta za Bug, ku nowej linii obronnej, przecinającej Osowiec, Brześć Litewski i Kowel.

Nie wdając się w ocenę tych projektów ze stanowiska wojskowego, stwierdzić należy, że pogłoska taka, gdyby okazała się prawdziwą, może pociągnąć za sobą bardzo poważne następstwa natury ekonomicznej.

Sprawa ta musi być rozpatrywana z dwóch stron — z jednej zniesienie fortec i wycofanie części wojska będzie dla nas faktem niekorzystnym, z drugiej niewątpliwie korzystnym. Przyjrzyjmy się więc kolejno obu stronom.

Armia rosyjska, przebywająca stale w Królestwie, liczy kilkrokroćtysięcy głów. Taka armia jest znakomitym konsumenten-

tem i mimo, że jej intendentura dokładała zawsze starań do tego, aby o ile możliwości wszelkie zapasy swoje sprowadzać z gubernij środkowych cesarstwa, z konieczności wywoływała ona pewien ruch handlowy w główniejszych ośrodkach swego skupienia. Wśród ludności żydowskiej naszych miast i miasteczek wytworzył się nawet specjalny typ „dostawców dla wojska.“ Wszyscy oni żyli z wojska i na wojsku robili interesy. Obrrotniejsi z nich stawali się nawet przedsiębiorcami szerokiej ręki i śmiałej inicjatywy i dochodzili do majątków. Ta więc kategoria ludzi poniesie niewątpliwie straty. Dostawy się urwą, wydzierżawione wojsku na koszary domy opustoszeją, a pośrednictwo — ten ulubiony przez Żydów sposób zarabkowania — będzie musiało zwrócić się w inną stronę, gdzie prędzej czy później spotka się z coraz silniejszym współzawodnictwem kooperatywy chrześcijańskiej. Z tego więc punktu widzenia projekt ministerjum wojny, o ile będzie urzeczywistniony, nastęrcza pewne ujemne refleksje ekonomiczne.

Przy bliższem jednak rozważeniu rzeczy, jak powiedzieliśmy wyżej, wychodzą także na jaw pewne korzyści, których przeczoać niepodobna. Oto wojsko, będąc przyczyną bardziej ożywionego ruchu w pewnych okolicach kraju, jednocześnie wywoływało w innych wprost niezdrowe i szkodliwe zjawiska ekonomiczne. Dotyczy to zwłaszcza miast większych, a w szczególności Warszawy, która wprost została otamowana w swoim rozwoju, dzięki zarządzeniom władz wojskowych. Już od chwili, kiedy na gruzach dawnego Żoliborza stanęła cytadela, miasto przestało się rozwijać w swoim kierunku normalnym, t. j. z biegiem rzeki. Nie ulega żadnej wątpliwości, że gdyby cytadeli nie było, Warszawa doszłaby już dzisiaj do Bielan i park młociński byłby naprawdę jej parkiem miejskim. Ale nietylko ta jedna zapora zaszkodziła miastu. W roku mniej więcej 1880 ministerjum wojny doszło do wniosku, że Warszawę należy ufortyfikować. Wypracowano więc odpowiedni projekt i nie szczędząc milionów przystąpiono do budowania fortów, które w przeciągu lat kilku opasały nas żelaznym swoim pierścieniem. Było to w momencie, kiedy miasto rosło szybko, odrazu też dały mu się uczuć surowe przepisy forteczne, nie pozwalające mu rozszerzać się w sposób prawidłowy. Tu nie wolno było zupełnie budować, tam władze wojskowe nie pozwalały na wznoszenie budynków murowanych, lecz tolerowały tylko domy i szopy drewniane. Ograniczenia te były najzupełniej usprawiedliwione i umotywowane względami wojskowemi, przez co jednak bynajmniej nie zmniejszała się wynikająca z nich niedogodność. Z biegiem lat stało się też to, co musiało nastąpić. Oto

Warszawa jest dziś jedynem prawie w Europie wielkiem miastem, które nie posiada osad i miejscowości podmiejskich, a nawet przedmieść, przygotowanych na przyjęcie nadmiaru jej ludności. Miasto zabudowało się ciasno, domy spiętrzyły się w niem nad domami, place doszły do niebываłej ceny, a co za tem idzie lokale podrożały i drożeją nieustannie, stając się coraz mniej dostępnymi już nie dla warstw ubogich, ale nawet dla warstw średniozamożnych.

Nie budując się na Powiślu, wskutek nieuporządkowania dzielnicy nadrzecznej, nie mogąc rozszerzać się ani w kierunku cytadeli, ani w kierunku Woli i Powązek, ani nawet Pragi, musiało się miasto stłoczyć, zacieśnić, zamknąć na bardzo w stosunku do ilości swoich mieszkańców szczupłej przestrzeni. Jedyny teren wolny, jaki w tych warunkach pozostawał i był jakby wskazanym na stworzenie nowej dzielnicy, owej dzielnicy ogrodów i willi, jakiej brak tak bardzo odczuwa Warszawa—plac Mokotowski był także zajęty przez wojsko i obrócony na pole ćwiczeń i obóz letni. Nie pozostawało więc nic innego, jak gnieść się i skupiać coraz bardziej. Nic też dziwnego, że w takich warunkach, mógł powstać w Warszawie jeden tylko niewielki park Ujazdowski, jedyny zresztą park, jaki wogóle powstał w Warszawie w ciągu wieku XIX-go (!), że nie przybył jej ani jeden plac, że pod siekierami padły drzewa folwarku Ś-to-Krzyżskiego, że place po szpitalu Dzieciątka Jezus zostały rozparcelowane i sprzedane bez pozostawienia miejsca nawet na skromny skwer, że temu samemu losowi uległ ogród Kronenbergów przy rogu ulic Hożej i Marszałkowskiej, gdzie dziś ul. Sadowa, obszerne ogrody pomiędzy Piękną, Kaliksta a Koszykową, dalej ogrody, gdzie dziś ul. Chopin'a, Natolińska, Al. Róż i Służewska i wiele innych jeszcze posesyj, które mogły stać się z biegiem czasu ozdobą miasta, a zostały zniszczone i zabudowane, jak Al. Ujazdowskie, szaremi kamienicami o 3 lub 4 piętach. Nadto kilkakrotnie w tym okresie zjawiały się projekty uszczuplenia ogrodu Saskiego i ogrodu Krasińskich.

Wszystko to są dokumenty dla rozwoju historii miasta niezmiernie charakterystyczne.

Niepodobna też patrzeć bez zazdrości na wzrost innych miast w Europie w tym samym okresie, miast, które miały możność urządzania się i rozrastania, zgodnie z wymaganiami higieny, gdy u nas najkardynalniejsze przepisy nauki o zdrowiu z konieczności musiały być poniewierane.

Ileż przestrzeni, placów i ogrodów mają np. nowsze dzielnice Wiednia, gdy Warszawa nie może nawet rozwiązać pytania, gdzie postawić pomnik Chopin'owi, a nielada miała kłopot z wyborem miejsca pod pomnik Mickiewicza.

Wszystko to są proste skutki zarządzeń wojskowych i przepisów fortecznych. Dodać do tego można chyba to jeszcze, że magistrat zaangażował się poważnie, nabywając za cenę z górą 800,000 rb. place we wsi Koło, pod budowę rzeźni miejskiej i utopiwszy już te pieniądze w dokonanej transakcyi, przekonał się, że na tych placach budować mu nie wolno.

Otóż można mieć nadzieję, że z chwilą, gdy Warszawa przestanie być fortem a pierścień, który ją dziś opasuje, pęknie i część wojsk zostanie z niej wycofana — miasto wejdzie w nowy i pomysłniejszy od dotychczasowego okres rozwoju.

Przedewszystkiem ustanie w niej spekulacya placami, ceny mieszkań spadną, przedmieścia zaczną się zabudowywać odpowiednio do wymagań ludności miejskiej, warstwy mniej zamożne będą się mogły tam osiedlać, a jednocześnie powstaną nowe dzielnice w samem mieście, przez włączenie do jego granic pola Mokotowskiego i sąsiadującego z niem Rakowca, który powinien stać się dzielnicą szpitalną miasta.

To samo dotyczy nietylko Warszawy, ale w pewnym stopniu także i niektórych miast gubernialnych, gdzie pobyt wojska wywołał podrożenie artykułów spożywczych, niepomysłnie odbijające się na egzystencyi ludności niezamożnej, gdzie więc wycofanie wojsk przywróci bardziej normalny stan rzeczy.

Te względy przemawiałyby raczej za tem, że projekt ministerjum wojny, acz pod pewnemi względami niekorzystny, w gruncie rzeczy jednak powinien przyczynić się do postępu kraju.

Nie uprzedzając wszakże faktów, powstrzymujemy się na razie od obszerniejszego omówienia tej bądź co bądź ważnej sprawy.

*

*

*

Stało się już wiadomem, że w pierwszych dniach kwietnia r. b. nastąpiło Najwyższe zatwierdzenie uchwały Rady ministrów, upoważniającej p. ministra spraw wewnętrznych do przedstawienia ciałom ustawodawczym poprawionego w myśl wskazówek

Rady ministrów wniosku w sprawie utworzenia ze wschodnich powiatów gub. siedleckiej i lubelskiej oddzielnej gub. chełmskiej.

Zapatorywania Rady ministrów, podane przez prasę rosyjską, obracają się dokoła następującej osi:

Przedewszystkiem zwrócono uwagę na to, że projekt zachowuje w nowej gubernii chełmskiej dawniejszy ustrój administracyjny, przez co zwięża rozmiary zmiany projektowanej. Większość w Radzie zgodziła się na to, że przerabianie instytucyj miejscowych i burzenie wytworzonych stosunków prawnych przez zaprowadzenie w kraju instytucyj ogólnopństwowych, o wiele mniej doskonałych, aniżeli miejscowe, nie odpowiadałoby celowi, a to tembardziej, że „instytucye te przeżywają ostatnie dni swoje i oczekują rdzennej reformy, projektowanej przez rząd w dziedzinie zarządu państwowego i stanu cywilnego.“

Ponieważ jednak reformy nie mogą być uskutecznione w najbliższym czasie, utrzymanie zaś na Rusi chełmskiej obecnego ustroju doprowadzi—zdaniem Rady—do „ostatecznego spolonizowania“ kraju i uczyni dla rządu zbyt ciężką wszelką troskę o jego ludność rosyjską, przeto niezbędną rzeczą jest wyłączyć tę „odwiecznie rosyjską ziemię ze składu polskich gubernij, nie czekając na rdzenną reformę jej ustroju administracyjno-prawnego.“ Wyłączenie takie „doda otuchy rosyjskiej prawosławnej ludności kraju“ i doda jej nowych sił do „odparcia dążeń polonizacyjnych duchowieństwa i szlachty polskiej.“ Możliwość wywołania przez to „niezadowolenia Polaków“ nie powinna być przeszkodą w urzeczywistnieniu wytkniętych celów.

Przyłączenie gub. chełmskiej do kraju Zachodniego czyni—zdaniem Rady ministrów—zupełnie naturalnem rozciągnięcie na nią specjalnych ustaw, wydanych w kraju Zachodnim „dla obrony samodzielności ludności rosyjskiej przed wpływami polskimi.“

Protest przeciw przepisom, ograniczającym polską własność ziemską, nie może również zmienić stosunku rządu do tej sprawy, doświadczenie bowiem stwierdziło całą celowość ograniczenia takiego, które współdziałało „odpolszczeniu kraju“ i rozwojowi w nim rosyjskiej własności ziemskiej. Taki sam proces „rozegrać się winien na Rusi chełmskiej.“

Ażebym złagodzić nieco wrażenie, wywołane przytoczonymi powyżej względami, niektórzy z członków Rady ministrów wysunęli nowe, inne argumenty, przemawiające za projektowanymi ograniczeniami.

Zaznaczono więc, iż chociaż mimo wszelkich starań, według nowego projektu „liczba katolików przewyższa liczbę prawosław-

nych," to jednak przewaga ta katolików usunięta zostanie przez to, iż „wielu Rosyan, którzy przyjęli katolicyzm, powróci znowu na łono prawosławia, gdy poczuje się w Rosyi, a nie w Polsce.“ A jeżeli tak jest, to „projektowane ograniczenia praw Polaków wprowadzane są, oczywiście, w gubernii nie polskiej, lecz czysto rosyjskiej.“ Żeby jednak z Rusi chełmskiej utworzyć taką gubernię rosyjską, trzeba, zilianiem Rady ministrów, zaniechać myśli wyłączenia z Królestwa Polskiego całej Rusi chełmskiej, wiele bowiem powiatów jej utraciło samoistność rosyjską i przy włączeniu ich w skład nowej gubernii ludność prawosławna tej ostatniej znajdzie się w poważnej mniejszości. Dlatego też mimo, że pożądanę byłoby pewne wyrównanie zbyt nierównej granicy nowej gubernii, zgodzić się należy na tę część projektu i uznać za prawidłowe rozdzielenie miejscowości na zasadach cech wyznaniowych, nie zaś narodowych.

Tu Rada ministrów znów łagodzi swą formułę, dodając, że takie wyodrębnienie w osobną gubernię miejscowości z przeważającą ludnością rosyjską da rządowi swobodę działania względem całego kraju Zachodniego. Następstwem takiej swobody będzie możność rychlejszego i szerszego urzeczywistnienia w całym kraju wielu reform... pomyślnych i dla ludności polskiej.

Jedną z takich reform jest wprowadzenie samorządu miejskiego i ziemskiego. Tę stronę sprawy Rada ministrów zaleca wskazać w samym projekcie.

Jednocześnie w celu „ostatecznego odpolszczenia kraju," Rada uznaje za konieczne zwrócić uwagę szczególną na szerzenie wśród ludności rosyjskiej nowej gubernii oświaty duchowno-prawosławnej i na umocnienie w niej uświadczenia narodowego. Rząd w tym celu powinien powiększyć liczbę szkół rosyjskich, zwłaszcza cerkiewno-parafialnych, zając się ulepszeniem składu duchowieństwa prawosławnego i pomocą czynnym w kraju klasztorom prawosławnym, kuratoryom i t. p. instytucyom.

Dalej Rada ministrów wypowiedziała się przeciw proponowanemu w projekcie prawu pozostawienia gub. chełmskiej w zawiadywaniu warszawskiej Izby sądowej i lubelskiej Izby obrachunkowej, ponieważ celem wyodrębnienia jest „zerwanie wszystkich nici, łączących nową gubernię z środowiskiem zarządu kraju Nadwiślańskiego.“ Z tych względów postanowiono gub. chełmską włączyć do okręgu Izby sądowej kijowskiej, a co do zarządu majątkami skarbowymi — do wołyńskiego zarządu rolnictwa i dóbr państwa. Rewizya rachunkowości podlegać będzie Izbie obrachunkowej kijowskiej.

Nadto Rada ministrów zwróciła uwagę na fakt, że w projekcie ministeryum spraw wewnętrznych ustawy ograniczające, wprowadzone dla Żydów kraju Zachodniego, surowsze, aniżeli w guberniach Królestwa Polskiego, „nie są rozciągnięte na Żydów gub. chełmskiej.“ Rada ministrów uważa wobec tego, że wytworzy to dla ludności żydowskiej nowej gubernii warunki przyjaźniejsze, aniżeli dla ludności polskiej, względem której zamierzono stosować ograniczenia, stosowane do Polaków w gub. Zachodnich. Wyrażając zdanie, iż do utworzenia dla Żydów „podobnego uprzywilejowanego położenia niema żadnych podstaw,“ Rada ministrów obawia się nadto, iż środek taki da przeciwnikom projektowanej reformy jeszcze jedną zasadę do sprzeciwiania się stosowaniu względem Polaków wymienionych ograniczeń.

Z uwagi na to postanowiono wprowadzić do projektu punkt co do rozszerzenia na gub. chełmską ograniczeń tych samych, jakie dotyczą Żydów w gub. Zachodnich, w szczególności zaś praw co do użytkowania gruntów w granicach osiadłości.

Wreszcie Rada ministrów wypowiedziała się przeciw utrzymaniu w projekcie wniosku ministeryalnego co do wniesienia do ciał prawodawczych szeregu projektów, mających związek z zamierzoną reformą, a to z obawy, że pozostawienie takiego wniosku w projekcie, podlegającym rozważaniu w drodze prawodawczej, „byłoby równoznaczne z przyznaniem nowym instytucjom prawodawczym prawa wydawania poleceń rządowi, do czego instytucje te przez prawo nie są upewnocnione.“

Instytucje prawodawcze mają tylko prawo wnosić *interpelacje* z powodu nieprawidłowych czynów organów rządowych, ale nie mają pełnomocnictwa dla obciążenia władzy wykonawczej obowiązkiem wnoszenia projektu praw, odpowiadających ich żądaniom.

Postanowiono tedy wykreślić wniosek ten z projektu i polecić ministrowi spraw wewnętrznych, ażeby wniósł projekt do Dumy po wprowadzeniu poprawek zgodnie ze wskazówkami Rady ministrów.

Kiedy projekt ten wejdzie pod obrady Dumy, czy jeszcze przed feryami letnimi, co jest bardzo wątpliwe, czyli też późną dopiero jesienią i jak przyjmie go Duma, tego na razie przesądzać nie można; nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że obecny rząd z raz obranej drogi nie zejdzie, a co za tem idzie, walka o egzystencję żywiołu polskiego w Chełmszczyźnie wchodzi obecnie w ostrą fazę.

*

*

*

Warszawska szkoła sztuk pięknych istnieje od marca r. 1904, t. j. od chwili, kiedy zabiegi i starania ś. p. Adama hr. Krasin'skiego i d-ra Teodora Dunina, pierwszych inicjatorów i orędowników tej sprawy wspólnie z Maurycym hr. Zamoyskim i p. Kazimierzem Stabrowskim, uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem, i projekt, podjęty jeszcze w r. 1900, mógł się urzeczywistnić.

Przez te 5 lat szkoła, aczkolwiek nie przestaje dotąd walczyć z trudnościami, które są tem większe, że okres jej powstania przypadł na lata dla społeczeństwa wogóle ciężkie, a dla sztuki zgoła niepomysłne — zdążyła już istnienie swoje zaznaczyć, przygotowując do samodzielnej pracy twórczej spory zastęp młodzieży artystycznej.

Przekonywa nas o tem świeżo wydane sprawozdanie szkoły za rok ubiegły. Uczniów uczęszczało do niej ogółem 150. Jednocześnie z rozpoczęciem wykładów urządono, jak lat poprzednich, w salonach Tow. Zach. Sztuk Pięknych doroczną wystawę prac uczniowskich, wystawiono około 500 prac, w tem 200 rysunków, 100 pejzaży i 70 okazów sztuki stosowanej i fluorofort. W lutym 1908 r. szkoła wystawiła prace swoich uczniów w Akademii petersburskiej, gdzie zostały one przychylnie przyjęte przez krytykę.

Obok wystaw urządzano *pleinair'y*. Pierwszym był *pleinair* wakacyjny w Werkach z prof. Krzyżanowskim. W końcu września urządono w pałacu hr. Tyszkiewiczowej w Wilnie wystawę *pleinair'ową*, na której było 260 prac. Trwała ona 4 tygodnie i obok zachęcających krytyk przyniosła uczniom korzyści materialne, gdyż dużą ilość obrazów zakupiono.

W grudniu 1907 r. 12 uczniów szkoły wyjechało na *pleinair* dwumiesięczny zimowy do Rybiniszek, gdzie ofiarowała im gościnę p. Kierbedź.

W pierwszych dniach maja 1908 r. Zarząd szkoły zorganizował *pleinair'y* szkolne, przedwakacyjne, na czas 6-tygodniowy. Dyrektor Stabrowski wyjechał z częścią uczniów do Pieskowej Skały, a p. Konrad Krzyżanowski obrał za miejsce studyów Stalsen pod Windawą nad Bałtykiem. Ten *pleinair* jednakże do skutku nie doszedł z powodu stanu wojennego nad morzem Bałtykiem i przeszkód ze strony władz. Część uczniów wyjechała więc z p. Krzyżanowskim do Finlandyi, część zaś udała się do Pieskowej Skały.

Nadto podczas roku szkolnego uczniowie malowali przez czas dłuższy we Frascati, oraz przy 3-im moście i w parku Łazienkowskim.

Po trzyletnim okresie studyów początkowych uczniowie przyszedli do tego stadyum rozwoju, w którym artysta powinien model doprowadzić już do pewnej miary wydoskonalenia i wykończyć. W tym celu musi mieć go dłużej, niż tydzień, jak to było dotąd praktykowane w szkole. Z drugiej zaś strony okazała się potrzeba częstszego zmieniania modeli dla początkujących, nowozapisanych uczniów, a zatem rozdziału uczniów starszych, więcej zaawansowanych, od młodszych. Okazało się więc rzeczą konieczną założenie pracowni specjalnych każdego z osobna profesora, do których weszliby uczniowie danego profesora. To ukonstytuowanie pracowni specjalnych było jednym z naczelných zadań szkoły. Wykonanie tego napotkało jednak w praktyce na takie trudności, że musiało być odłożone na rok następny.

Obok zabiegów w tym kierunku, jednym z główných starań Zarządu było przyciągnięcie do szkoły najlepszych sił artystycznych. Dzięki tym staraniom szkoła pozyskała tak wybitną siłę profesorską, jak Władysław Ślewiński.

W ciągu roku 1907/8 uczniowie szkoły brali udział w kilku konkursach z wynikiem pomyślnym, a niektórzy z byłých uczniów szkoły zdobyli w tym roku odznaczenia w Paryżu w *Académie Internationale des beaux arts* i w *Salon des Indépendants*.

Na szczególną uwagę zasługuje fakt, że przez cały rok uczniowie urządzali własnym kosztem wykłady historii sztuki, które prowadził, jak lat ubiegłych, profesor Eligiusz Niewiadomski.

Wszystko to świadczy, że szkoła rozwija się pomyślnie, nawet pomimo trudności materyalnych, krepujących ją na każdym kroku.

Staneła już ona na stanowisku pewnego rozwoju artystycznego i ściśle rzeczowego dorobku swych uczniów. Potrzeba jej tylko trochę więcej środków.

Nadewszystko zaś, jak zaznacza sprawozdanie — potrzeba jej *własnego gmachu*—w najprostszej choćby formie, najskromniej pobudowanego, ale gmachu, w którymby mogła się rozgospodarzyć, gdzie nie potrzebaby mieścić *Szkoły Sztuk Pięknych* w trzech pracowniach, gdzie byłoby dość miejsca na oddzielne, specjalne pracownie, na warsztaty, na prace sztuki stosowanej i t. d.

Jak wiadomo, komitet uzyskał już pod budowę szkoły plac od miasta na Powiślu. Z uwagi jednak, że na tym placu budowy nie można było rozpocząć z powodu wielkiego jeszcze nieuporządkowania tamtej dzielnicy, oddalenia i braku dobrej komu-

nikacyi tramwajowej, komitet opiekuńczy rozpoczął starania o wyjednanie zamiany tego placu na inny i wniósł do magistratu prośbę o przyznanie szkole placu w okolicach politechniki. Jakkolwiek decyzya władz odnośnych w tej mierze jeszcze nie nastąpiła, to jednak komitet żywi nadzieję, że uda mu się tę zmianę u magistratu wyjednać i wtedy niezwłocznie będzie mógł przystąpić do budowy własnego gmachu.

Drugą palącą potrzebą szkoły jest rozwój sztuki stosowanej—tej sztuki stosowanej, która przy zakładaniu szkoły była jednym z jej zadań naczelnych i która bez żadnych niemal środków zdobyła sobie w szkole miejsce na równi ze sztuką czystą i wydała najlepszych uczniów. Sztuka stosowana w szkole stoi dziś na tym stopniu rozwoju, że mogłaby stać się ważnym czynnikiem w naszym życiu artystycznym i przemysłowym. Potrzeba do tego przede wszystkim środków na warsztaty, które pozwoliłyby uczniom wypraktykować pomysły swe na materyałach, zastosować się do nich i wydoskonalić.

Jest to sprawa ważna, gdyż rozwój sztuki stosowanej może z czasem doprowadzić do stworzenia *stylu polskiego*, a co zatem idzie, zachować dla kraju setki tysięcy rubli, które corocznie przemysł nasz płaci za obce wzory zagraniczne.

W interesie więc własnym społeczeństwo powinno baczniejszą niż dotąd zwracać uwagę na szkołę i jej potrzeby, zwłaszcza, że pomoc, której szkoła dla siebie żąda, da się łatwo uskutecznić.

Charakter tej pomocy określa paragraf ustawy szkolnej, który opiewa, że „członkami współdziałaczami są osoby, które zobowiązują się wносить corocznie na rzecz szkoły nie mniej niż 10 rubli.“

Takich 10-o rublowych składek chciałaby szkoła pozyskać jaknajwięcej, powołując do udziału w instytucyi jaknajszerszy zakres członków, niewielkie bowiem, lecz regularnie wpływające składki i duża ilość członków—to najpewniejsza i najskuteczniejsza subwencya szkoły.

Dotychczas jednak szkoła nie posiada dostatecznej ilości członków współdziałających, a i ci, którzy zostali członkami w pierwszej chwili jej powstania, nie dość regularnie uiszczają składki.

Przypisać to należy chaosowi rewolucyjnemu, który odwrócił uwagę społeczną od sztuki, a społeczeństwo obarczył innemi, daleko pilniejszymi obowiązkami. Dziś jednak, kiedy stosunki powoli wracają do normalniejszych łożysk, kiedy życie zaczyna

niewiele bardziej uderzać tętnem, wielki czas na to, aby nie tylko Warszawa, ale cały kraj przypominał sobie o istnieniu szkoły sztuk pięknych i zajął się utrwaleniem podstaw jej bytu.

*

*

*

Ostre podniecenie przedwojenne, jakie panowało w okresie przedwielkanocnym u nas, podobnie jak i w całej Europie, minęło. Zatarg serbsko-austriacki został załagodzony, a co za tem idzie zniknęła groźba wszystkich jego następstw. Czy jednak na długo? Na to pytanie nikt odpowiedzi dać nie może, dzieje współczesne są bowiem dziejami nieustannej oscylacji pomiędzy wojną a pokojem i wbrew wszystkiemu, co mówi się o rozbrojeniu powszechnem i roli pacyfikacyjnej międzynarodowych trybunałów rozjemczych, z każdym niemal dniem przybywają dane, które każą przypuszczać, że Europa bez wojny wewnętrznych swoich sporów nie załatwi, że dwie walki o hegemonię — niemiecko-angielska i rosyjsko-austriacka prędzej czy później muszą się rozegrać. Każdy, drobny nawet wypadek, drobny spór polityczny lub ekonomiczny może być przy dzisiejszej sprzeczności interesów międzynarodymocarstwowych tą iskrą, od której wybuchnie ogromny pożar, ogarniający narody i państwa.

Niewątpliwie też chwila obecna, jeśli spojrzeć na nią z punktu widzenia sytuacji ogólnej, nabiera wielkiej wagi i doniosłości. Ani tej wagi, ani tej doniosłości jednak społeczeństwo polskie, zdaje się, nie dostrzega, bo oto po chwilowem, nieco żywszem zainteresowaniu się wypadkami, popadło ono ponownie w stan odrętwienia, na które już niejednokrotnie zwracaliśmy na tem miejscu uwagę, jako na groźny dla naszej przyszłości objaw.

Zniechęcenie do polityki, skutek doznanych rozczarowań i zawodów, coraz nowe ciosy, spadające na naród, a w związku z tem doszczętne niemal wyczerpanie energii, której nigdy nie było do zbytku, bo nie mogła się ona gromadzić w zbiorowej duszy społeczeństwa w tych warunkach, w jakich to społeczeństwo rozwijało się w okresie od r. 1863 do r. 1905—wszystko to

sprawiło, że obojętność na wszelkie objawy życia doszła wśród nas do rozmiarów niebywałych.

Nic nikogo nie obchodzi. Ani sprawy polityczne, ani ekonomiczne, ani społeczne, ani kulturalne. Z obojętnością coraz większą traktujemy wszystko, co przychodzi z Petersburga i to do tego stopnia, że przestajemy już niemal czytać sprawozdania z Izby, nawet wówczas, gdy one nas dotyczą. Z obojętnością dowiadujemy się o tem, że przez nasze komory celne przybywa do kraju coraz więcej towarów niemieckich; z obojętnością czytamy o nowych zatargach pomiędzy kapitałem a pracą w ośrodkach naszego życia przemysłowego, o obniżaniu zapłaty robotnikom przez fabrykantów, o wzrastającej nędzy i niezadowoleniu, o przygotowujących się na niedaleką przyszłość fermentach; z obojętnością, tym razem zresztą uzasadnioną, przyjęliśmy „podarek wielkanocny“ w postaci zmiany „ochrony“ jednego typu na typ inny; z obojętnością wreszcie, coraz większą i coraz bardziej złowróżbną zachowujemy się wobec nauki, sztuki i literatury.

Nic nikogo nie obchodzi.

Księgarze stwierdzają jednoznacznie, że tak małego ruchu w kierunku zakupu książek nie było w najgorszych czasach, że obecnie mają zbyt *tylko* podręczniki szkolne, to znaczy, że ponad konieczność nikt książek nie kupuje.

Jednocześnie z tem zauważyć się daje coraz ozięblejszy stosunek publiczności do teatru, z którym współzawodniczą z aż nadto wyraźnem powodzeniem liczne kinematografy i kabarety. Dowodzi to, że Warszawa szuka obecnie nie sztuki, ale rozrywki i zadawała się bardzo niewybrednym jej gatunkiem.

Nic dziwnego, że w takich warunkach wykłady i odczyty naukowe mają coraz mniejszą liczbę słuchaczy, a powodzeniem cieszy się jedynie to, co posiada zabarwienie sensacyjny.

Część tych objawów tłumaczyć można upadkiem zamożności w społeczeństwie i koniecznością ograniczania swoich wydatków wobec panującej drożyzny, część można położyć na karb nieobecności w kraju młodzieży akademickiej, która bądź co bądź była zawsze czynnikiem, wnoszącym pewne ożywienie i pewne zainteresowanie się bieżącymi sprawami pod dach rodzicielski — ale w gruncie rzeczy na dnie wszystkiego leżą apatya i zniechęcenie, gnuśność i bezwład, ogarniający coraz szersze koła.

W takiej atmosferze lęgną się najobficiej i szerzą najłatwiej poglądy pesymistyczne, które paraliżują resztę woli i energii nawet u tych, co zachowali jeszcze zdolność inicjatywy i czynu.

Niema też dostatecznie mocnego dzwonu, w który należy bić na trwogę i budzić śpiących w tej ciężkiej, bezsłonecznej chwili na walkę z mrokiem i niewiarą w przyszłość.

*

*

*

Pod nazwą *delegacji obywatelskiej*, zawiązała się w Warszawie instytucja, której potrzebę, jak zaznacza nadesłana nam odezwa, odczuwają i rozumieją już szerokie koła naszego społeczeństwa. Wszyscy pojmują, że trzeba się skupić do wspólnej pracy i że nie stapiając w jedno różnic politycznych,—bo w narodzie żywym musi się odbywać różniczkowanie pojęć politycznych i istnieć muszą stronnictwa polityczne — szukać należy punktów stycznych w programach, poglądach i dążeniach i na tej wspólnej podstawie działać *łącznie* w imię wspólnego dobra.

„Nowa organizacja — czytamy dalej — powstaje na gruncie niezbędnej obrony realnych interesów kraju. Nie idzie tu o działanie czysto polityczne i nie o próby poruszania i rozstrzygania zasadniczych kwestyj naszego bytu narodowego, ale o obronę poszczególnych, konkretnych spraw społecznych, ekonomicznych i kulturalnych—spraw, nieraz nawet drobnych napozór, ale takich, które w sumie wzięte, wpływają na dobrobyt kraju, na jego kulturalny postęp, na jego moralną i narodową siłę.

Naczelne zadanie delegacji polegałoby na tem, ażeby w sprawach, które obchodzą kraj cały, a których rozstrzygnięcia nie chce i nie może wiać na swoją odpowiedzialność ani ta lub inna partya polityczna, ani żadna instytucja społeczna, ażeby w tych sprawach delegacja wypowiedała na użytek reprezentacji polskiej w Petersburgu i do jej uznania opinie, wyświetlające istotne co do danej sprawy potrzeby kraju.

Sprawy, dotyczące taktyki parlamentarnej i wogóle politycznej, wyłączone są zupełnie z pod kompetencyi delegacji.

Zasady, na których zorganizowała się delegacja, pozwalają małym grupom, nawet jednostkom, brać w niej udział bez obawy zmajoryzowania przez większość, według bowiem zasad organizacji delegacji, Kołu Polskiemu w Petersburgu komunikowane będą zarówno uchwały większości, jak sformułowane zdania mniejszości.

Dla załatwienia bieżących spraw delegacyi tworzy się wydział delegacyi, złożony z 9-iu członków, przez delegacyę wybranych. W posiedzeniach wydziału uczestniczy z głosem doradczym delegat Towarzystwa Pracy Społecznej, do którego należy przestrzeganie, aby czynności wydziału i delegacyi nie były sprzeczne z ustawą i zadaniami Towarzystwa Popierania Pracy Społecznej. Wprowadzeniem w życie uchwał delegacyi i wydziału zajmuje się w ramach ustawy Biuro Pracy Społecznej.

Listę członków delegacyi ułożył komitet inicjatorów w porozumieniu z szerszemi kołami społecznymi. Ideą przewodnią przy układaniu tej listy było, aby w delegacyi znalazły wyraz różne kierunki myśli i pracy społecznej. Grono inicjatorów sądziło, że celowi temu najbardziej odpowie lista, któraby objęła ludzi, zajmujących wydatne stanowiska w instytucjach krajowych, do udziału jednak w delegacyi powołanych nie w charakterze pełnomocników, ani też wybranych przedstawicieli tych instytucyj, lecz w charakterze działaczy społecznych, mogących dać poważny głos na radzie obywatelskiej. Następnie inicjatorowie uznali, że wskazany jest w delegacyi udział b. posłów do Dumy i Rady państwa, którzy swem doświadczeniem i kompetencyą, wyniesioną z działalności parlamentarnej, mogą skutecznie przyczynić się do osiągnięcia tych celów, jakie sobie delegacya zakłada. Obok tego lista zawiera nazwiska kilkunastu przedstawicieli inteligencyi, znanych na polu działalności publicznej, a odbijających w sobie różne kierunki myśli społecznej.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Wojciech hr. Dzieduszycki.

Dn. 23 marca r. b. zmarł w Wiedniu wskutek paraliżu serca ś. p. Wojciech hr. Dzieduszycki, jeden z wybitniejszych mężów stanu, jakich wydało społeczeństwo polskie w Galicyi w ostatniem ćwierćwieczu.

Urodzony w r. 1845 w Jezupolu, kształcił się Wojciech hr. Dzieduszycki we Lwowie i w Wiedniu, gdzie studyował historję, filozofję i estetykę, którą następnie wykładał w uniwersytecie lwowskim, jako profesor nadzwyczajny. Nie nauka jednak i nie literatura, którym poświęcił wiele czasu i do których należy cała jego bogata puścizna piśmienna, ale polityka była właściwym terenem jego pracy i zasług obywatelskich.

Wcześniej, bo już w r. 1878 rozpoczął hr. Dzieduszycki życie polityczne, jako poseł na sejm krajowy z okręgu Stanisławowskiego. W r. 1879 wszedł do Rady państwa, gdzie rychło dał się poznać, jako wyborny mówca i doskonały pracownik w komisjach. W r. 1897 powołano go do wypracowania autonomicznego adresu do tronu. Z tych czasów pochodzi głośna jego broszura p. t. „Program autonomiczny,“ w której domagał się rozszerzenia kompetencji sejmu i ukrajowienia całego szkolnictwa.

W r. 1898 otrzymał tytuł radcy tajnego. W r. 1903 wystąpił z głośną mową przeciw obstrukcyi czeskiej i domagał się zmiany regulaminu Izby. Po zgonie ś. p. Jaworskiego w r. 1904 wybrano go na prezesa Koła Polskiego. Pamiętne wrażenie wywołała mowa jego, wygłoszona w dn. 4 grudnia 1905 r., przeciw projektowi głosowania powszechnego, wysuniętemu przez barona

Gautscha. W czerwcu 1906 r. wszedł jako minister dla Galicyi do gabinetu bar. Becka. Stanowisko to jednak po upływie roku opuścił i został wiceprezesem Koła Polskiego. Ostatniem jego wystąpieniem politycznem była słynna mowa, wypowiedziana w marcu r. b. podczas rozpraw o kontyngensie rekruta.

Niepodobna charakteryzować tu obszerniej wielostronnej działalności politycznej hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, gdyż należałoby ją traktować w związku z układem stronnictw politycznych w Galicyi i z tętmem życia ogólnego tej dzielnicy. Co jednak należy znrarłemu przyznać bez zastrzeżeń, to gorącą chęć służenia sprawie narodowej. Hr. Wojciech nie zapominał o niej nigdy i nigdy nie stawil ponad nią interesów warstwy, do której należał z urodzenia. Tem tylko można sobie wytłómaczyć fakt, że będąc sam przekonani konserwatywnych, czy jako poseł, czy jako minister-rodak, hr. Dzieduszycki umiał pogodzić się z demokratycznym prądem czasu i jeżeli nie zawsze popierał, to w każdym razie zawsze rozumiał innych, szanując ich przekonania odmienne. W tem tkwi także tajemnica owej sympaty i popularności, jaką zdobył sobie w Kole Polskiem i w parlamencie austriackim. Popularność ta była jeszcze szersza w kraju, który znał hr. Wojciecha Dzieduszyckiego nie tylko z jego działalności politycznej, ale widział go także na katedrze profesorskiej, jako szczerego przyjaciela młodzieży i czytał jego książki, w których imponowała rozległa i gruntowna wiedza.

O różnostronności jego upodobań naukowych i literackich mówi długi poczet prac, ogłoszonych drukiem rozmaitemi czasy.

Początek stanowi tu belletrystyka, a więc „Fantazyje,” romans filozoficzny p. t. „Władysław,” „Powieści wschodu i zachodu,” „Święty ptak.” Po podróży do Grecyi w r. 1874 wydał Dzieduszycki szereg dzieł z zakresu estetyki: „Ateny,” „Studia estetyczne,” „Historję malarstwa we Włoszech.” Następnie ukazały się: „Roztrząsania filozoficzne o podstawach pewności ludzkiej” i „O wiedzy ludzkiej.”

Równocześnie oddawał się Dzieduszycki studjom nad archeologią i wydał: „Wiadomości starożytnych o geografii ziem polskich,” dalej—pedagogiką („Listy o wychowaniu”) oraz krytyką literacką.

Sił swoich próbował Dzieduszycki również w poezyi, na której polu złożył dowody niemałego uzdolnienia, a jeszcze większego rozmachu. Dość wymienić jego poemat epicki „Baśń nad baśniami”, liczący 20,000 wierszy. Z pod pióra jego wyszła także tragedia „Król Bolesław II.”

Wszystko to świadczy o niezwykłym uposażeniu tego umysłu i wyjątkowej energii do pracy.

Zmarł hr. Dzieduszycki w sile wieku, w momencie, w którym osoba jego i zdolności były dla kraju potrzebne.

ś. p. Helena Modrzejewska-Chłapowska.

Dn. 8 kwietnia r. b. zmarła w Ameryce Helena Modrzejewska, znakomita polska artystka dramatyczna.

Urodzona w r. 1842 w Krakowie, w początkach swojej w następstwie tak świetnej kariery, artystka musiała przejść przez wszystkie udręczenia, jakie związane są z losem aktorów prowincjonalnych.

Od r. 1861, t. j. od pierwszego swego występu, do r. 1865 Modrzejewska, wówczas jeszcze panna Bendówna, tułała się z wędrownymi trupami po miastach i miasteczkach Galicji, od Wieliczki aż do Czerniowiec, gdzie występowała w trupie swego brata, Józefa Bendy.

Talent jej rozbłysnął jednak na dobre dopiero w Krakowie, gdzie od r. 1865 do 1869 była już prawdziwą ozdobą sceny. W r. 1869 przeniosła się na stałe do Warszawy i tu szeregiem pierwszorzędných kreacyj w repertuarze klasycznym polskim i obcym zdobyła sobie krytykę i publiczność.

W r. 1876 artystka opuściła Warszawę i wyjechała do Ameryki, gdzie, osiągnąwszy rzadką u cudzoziemców biegłość w języku angielskim, doszła do szczytu powodzenia.

Związek jej atoli ze sceną polską został już przerwany. Do kraju przyjeżdżała dwukrotnie, w r. 1879 i w r. 1903, ale już tylko na krótko, jako gość. Śmierć zabrała ją na obcej ziemi w kalifornijskiej fermie Newport Reach, która była jej własnością i gdzie spędziła schyłek życia wraz z mężem, Karolem Chłapowskim.

Oddalona od ojczyzny, wielka artystka nie utraciła jednak nigdy żywego z nią kontaktu. Sercem obywatelki odczuwała wszystkie niedole narodu, a dla Polaków amerykańskich była siostrą oddaną. Wskutek mowy, wypowiedzianej na wystawie w Chicago podczas „dnia polskiego,“ władze rosyjskie odmówiły jej zezwolenia na przyjazd do Warszawy w roku 1903, gdy bawiła w Krakowie i Lwowie. Jak wielką była jej popularność w Ame-

ryce dowodzi fakt, że kiedy Louis von Norman wydawał swoją słynną książkę p. t. „Polska, jako rycerz wśród narodów,” zgłosił się do Modrzejewskiej z prośbą o napisanie do tej pracy przedmowy, wprowadzającej czytelnika amerykańskiego w świat uczuć polskich.

W talencie Modrzejewskiej tkwiły niezaprzeczone znamiona genialności, spotęgowane przez nader szczęśliwe warunki zewnętrzne—piękną postać i wspaniały głos. Trudno jednak mówić o tem w krótkim wspomnieniu pozgonnem, pisanem pod świeżem wrażeniem śmierci. Uczyni to kiedyindziej i na innem miejscu pióro kompetentniejsze. Tymczasem rzucamy tylko kwiat wdzięcznej pamięci na tę świeżo otwartą mogiłę, która zawarła doczesne szczątki wybitnej Polki i wybitnej artystki, której działalność zapisała się na zawsze w dziejach sztuki aktorskiej.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Z AKADEMII W KRAKOWIE. Dn. 26 marca 1909 r. odbyło się posiedzenie Komisji do badania historii sztuki w Polsce pod przewodnictwem prof. d-ra Maryana Sokołowskiego.

Na wstępie przewodniczący w dłuższym i gorącym przemówieniu uczcił pamięć d-ra Konstantego Górskiego, współpracownika Komisji, oraz Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, który chociaż nie był współpracownikiem Komisji, jednak żywo interesował się jej pracami, jak wogóle dawną i nową sztuką.

D-r J. Korzeniowski podał treściwą wiadomość o niektórych rękopisach Biblioteki publicznej w Petersburgu, odnoszących się do Marcelego Bacciarellego, a objaśniających zarówno działalność artystyczną Stanisława Augusta, jakoteż stosunki Bacciarellego z królem i z wybitniejszymi artystami ówczesnymi. Jeden z tych rękopisów zawiera materyały i studia do spraw założenia Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie—studya oparte na szerokiej podstawie porównawczej z najważniejszymi akademiami sztuk pięknych w Europie; w innym rękopisie znajdujemy interesujące szczegóły do dziejów dekoracyi wewnętrznej Zamku królewskiego, plany, kosztorysy, korespondencye i rachunki. Cztery rękopisy zawierają zbiór listów pisanych do Bacciarellego: na uwagę zasługuje tu obfita korespondencya Kamsetzera z jego włoskiej podróży. Liczny szereg artystów współczesnych z Włoch, Francyi i Niemiec, piszących do Bacciarellego, charakteryzuje rozległość jego stosunków. Z korespondencyi wreszcie Małachowskiego, starosty opoczyńskiego, podał d-r K. szczegół o zamówieniu przez króla u Graffa kopii Madonny Sykstyńskiej, a u Dietricha kopii Magdaleny Correggia.

W dyskusyi prof. d-r M. Sokołowski nadmienił, że obfity materyał do stosunków artystycznych z czasów St. Augusta znajduje się w tekach Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, w Archiwum głównem w Warszawie oraz

w Bibliotece Narodowej w Paryżu, posiadającej katalogi aukcyj, na których St. August nabywał dzieła sztuki do swoich zbiorów. Następnie prof. d-r Jerzy hr. Mycielski mówił o obrazie Madonny z klasztoru OO. Cystersów w Szczyrzecu. Obraz wysoki 125 cm., szeroki 81 cm., przedstawia Madonnę z Dzieciątkiem w otoczeniu aniołów. N. M. Panna ubrana w białą suknię i płaszcz szafirowy ze złotem obszyciem, stoi na kwiecistej, subtelnie malowanej łące. Dzieciątko w lewym ręku trzyma różę. Tło złote. Typ jasnowłosej Madonny jest bardzo ładny i delikatny. Obraz ten, pochodzący z lat m. w. 1510—1515 powstał, zdaniem referenta, w jednym z krakowskich cechowych warsztatów i należy do grupy, którą tworzą znane obrazy z Przeworska, Nowosielec i Dębna. W grupie zajmuje pierwsze miejsce ze względu na subtelne wykonanie.

Prof. d-r Maryan Sokołowski przedłożył bardzo dobre plany renesansowej kolegiaty w Zamościu, wykonane przez p. Bogdana Krausego oraz szereg fotografii z tejże kolegiaty i domów w Zamościu, wyróżniających się ciekawą ornamentacją ormiańską. Nadto prof. Sokołowski przedłożył dobre fotografie lwów sulejowskich, które dotychczas uważano za rzeźby romańskie, podczas gdy są to zabytki znacznie późniejsze, dalej fotografie kapitulacza, transeptu i obrazu Madonny w Sulejowie, wykonane przez p. Stefana Zaborowskiego, wreszcie fotografię monstrancyi, nadesłaną przez p. Henryka Mańkowskiego z Winnogóry. Monstrancya ta, piękne dzieło sztuki złotniczej z początku XVI w., wykonana w stylu późnego gotyku przez nieznanego nam bliżej złotnika poznańskiego, znajduje się w kościele parafialnym w Winnogórze.

D-r Kolankowski zwrócił uwagę Komisji na rachunki Kościeleckiego z żup wielickich. W rachunkach tych pod r. 1510 wymienione są pieniądze donacje dla nieobecnego w Krakowie Stwosza, niema jednak pewności, czy dotyczą one słynnego Wita Stwosza, czy też jego imiennika.

Prof. d-r M. Sokołowski przedłożył komunikat p. kapitana Wł. Hickla z Bochni o rzeźbie w Bystrzycy w północnych Węgrzech, przedstawiającej Ogrojca. Autor dopatruje się w tej rzeźbie podobieństwa do rzeźby krakowskiej Wita Stwosza na placu Maryackim i przypuszcza, że o ile Ogrojec w Bystrzycy nie jest dziełem Stwosza, to w każdym razie wyszedł z tego samego środowiska artystycznego, jako dobra praca jednego z krakowskich rzeźbiarzy.

D-r Julian Pagaczewski mówił o pięknej makacie z XVIII w., haftowanej jedwabiem różnokolorowym. Haft pod względem technicznym jest tak doskonały, że w pierwszej chwili można go wziąć za tkaninę. Cenny ten zbytek polskiego haftarstwa jest nader interesującym przykładem charakterystycznej mieszaniny motywów zachodnich, wschodnich i lokalnych. Tło makaty zahaftowane srebrną nicią. W środku kosz z bukietem tulipanów i goździków, tak często pojawiający się na polskich haftach a stylizacją przypominający tego rodzaju motywy na skrzyniach chłopskich. Na całej makacie rozrzucone gęsto zwierzątka, ptaszki i owady, haftowane ścięciem płaskim.

Wreszcie d-r Maryan Gumowski przedłożył reprodukcję antependium z XVIII w. z figurami w strojach kosačkih. Haft ten pochodzi z zamku Wiśniowieckich, później Mniszechów w Wiśniowcu.

— Z TOWARZYSTWA NAUKOWEGO WARSZAWSKIEGO. Dnia 1 kwietnia r. b. odbyło się posiedzenie III-go Wydziału, na którym odczytane były następujące komunikaty-referaty: a) sekretarz T-wa p. Wł. Janowski—„Wspomnienie pośmiertne i ocena działalności naukowej ś. p. T. Dunina; b) p. Z. Weyberg—„Zależność składu biotytów skałotwórczych od zasadowości skały;“ c) p. Sl. Miłkaszewski—„Absorbeyca w lössobielicach;“ d) p. Z. Wóyciecki—„Zniekształcenie kwiatów u *Dianthus caryophyllus* fl.pl.;“ e) p. J. Tur—„Spostrzeżenia nad jajami podwójnemi bez blastoderm.“

Dnia 15 kwietnia r. b. odbyło się posiedzenie komisji antropologicznej przy Wydziale II-gim T-wa w następującym porządku dziennym: 1) odczytanie protokołu z posiedzenia poprzedniego; 2) sprawy bieżące; 3) E. Majewski—Sprawa roztoczenia opieki nad zabytkami przedhistorycznymi; 4) K. Stołyhwo—W sprawie badań nad młodzieżą szkolną; 5) S. J. Czarnowski—Szczęka i żuchwy ludzkie z jaskiń okolic Ojcowa (dar); 6) E. Majewski—Cmentarzysko ciałopalne pod Sopoćkiniami, rozkopane i zbadane w r. 1908 przez redakcyę „Światowita.“

Tegoż 15 kwietnia odbyło się posiedzenie Wydziału II-go, na którym odczytanym był referat p. Wł. Grabskiego o potrzebie: a) opracowania planu badań statystycznych stosunków krajowych; b) zebrania, zestawienia i oświetlenia naukowe danych statystycznych, dotyczących się naszego kraju w osobnem wydawnictwie „Roczniku statystycznym;“ c) utworzenie przy Towarzystwie Nauk. War. Wyd. II osobnej komisji statystycznej.

Dnia 17 kwietnia r. b. odbyło się posiedzenie Komisji Historycznej przy Wydziale II-gim z następującym porządkiem dziennym: 1) uregulowanie stosunku Źródeł Dziejowych do Komisji; 2) sprawa zbadania mniejszych archiwów w Warszawie i na prowincyi; 3) d-r Kamieniecki—Katalogowanie Polonica; 4) kandydaci zamiejscowi na członków Komisyi; 5) sprawy pieniężne; 6) referaty o przedstawionych materiałach.

— BIBLIOTEKA ORD. KRASIŃSKICH wydała obecnie drugi tom rozpoczętej w zeszłym roku nowej seryi wydawnictw p. t. „Collectanea Biblioteki Krasińskich.“ Wydawnictwo to jest przeznaczone dla przedrukowywania wyjątkowo rzadkich i cennych w znaczeniu literackiem lub naukowem dzieł ze szczególnem uwzględnieniem druków XVI w., a także fragmentów archiwalnych, któreby nie mogły znaleźć miejsca w roczniku Biblioteki, wydawanym p. t. „Muzeum Konstantego Świdzińskiego.“

W nowym tomie Collectaneów jest pomieszczony dyalog Palinura z Charonem, utwór poetycki z początku XVI w. i najprawdopodobniej z dzieła nieznanego prawie dotąd ojca naszej poezyi świeckiej, poprzednika Reja — mieszczanina lubelskiego Biernata. Dyalog ten odnaleziony został w Bibl. Ord. Krasińskich we fragmencie drukowanym około 1542 roku.

— Dla zasilenia repertuaru dramatu i komedyi utworami oryginalnymi Dyrekcya Teatrów rządowych ogłasza konkurs dramatyczny na warunkach następujących:

1. Ubiegające się o nagrodę utwory dramatyczne, napisane prozą albo wierszem, z wyłączeniem krotchwili i wodewilu, winny posiadać, przy koniecznej wartości literackiej, przymioty sceniczne, o ile możności zastosowane do warunków teatrów Rozmaitości i Wielkiego i wypełniać mają całe przedstawienie.

2. Nagrody ustanawia się trzy: za najlepszy z nadesłanych utworów rb. 1,000, za dwa następne, według uznanego przez sędziów stopnia ich wartości, rb. 500 i 300. Utworom, które nagrody nie otrzymały, jury ma prawo przyznać odznaczenie. Każda z wyznaczonych nagród przyznana będzie w całości i żadna rozdzieloną być nie może.

3. Utwory, które uzyskają nagrodę, będą przedstawione na scenach rządowych w Warszawie.

4. Utwór nagrodzony staje się własnością Dyrekcyi, która jednak pozostawia autorowi swobodę ogłoszenia go drukiem. Przyznana mu nagroda nie pozbawia go prawa do wyplacanej autorom tentyemy.

5. Ostateczny termin nadsyłania prac konkursowych upływa 31 grudnia 1909 r. W razach wątpliwych rozstrzyga data stempla pocztowego. Sąd konkursowy kończy swoją pracę w dn. 1-go maja 1910 r.

6. Każdy rękopis winien być napisany czytelnie i zaopatrzony godłem. Godło to ma znajdować się również na kopercie zapieczętowanej, zawierającej imię, nazwisko i dokładny adres autora.

7. Nazwiska autorów, odznaczonych przez sędziów, będą ujawnione jednocześnie z nazwiskiem nagrodzonego twórcy, o ile na rękopisie utworu nie będzie zastrzeżenia, że koperta tylko w razie przyznania nagrody może być odpieczętowana.

8. Rękopisy nadsyłać należy pod adresem Dyrekcyi Teatrów rządowych na ręce kierownika literackiego J. Kotarbińskiego z wyraźnem zastrzeżeniem na rękopisie i opakowaniu, że manuskrypt przeznaczony jest na konkurs.

9. Sąd konkursowy składają osoby następujące: Bogusławski Władysław, Dębicki Zdzisław, Frenkiel Mieczysław, Gawalewicz Marian, Jankowski Czesław, Kempner Gabryel, Kotarbiński Józef, Kozłowski Stanisław, Lorentowicz Jan, Matuszewski Ignacy, Rabski Władysław, Śliwicki Józef i Święcicki Adolf.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— BULLETIN de la Société polonaise pour l'avancement des sciences. Direction Oswald Balzer I—VIII, 1901—1908. Léopol, 1908. Bureaux de la société: Archiwum Bernardyńskie. 8-o, form. duży, str. 131.

— BULLETIN INTERNATIONAL DE L'ACADÉMIE DES SCIENCES DE CRACOVIE. Classe de philologie. Classe d'histoire et de philosophie. Anzeiger der Akademie der Wissenschaften in Krakau. Philologische Klasse. Historisch philo-

sophische Klasse. № 10, Décembre 1908, str. 137—152. № 1 et 2, Janvier, Février 1909, str. 1—33.

— BULLETIN POLONAIS. 34 année, 15 février. 1909. Mickiewicz et Domejko (suite) par Lad. Malinowski; La légion étrangère et les officiers polonais ayant servi en France à titre étranger, par Stefan Koszarski; Vincent Migurski ou 28 ans d'exil, trad. par Mme Rifet née Migurska (suite); Variétés littéraires (Gambetta et la Pologne); Petite chronique scientifique; Variétés politiques (Néoslavisme, Russiens blancs et Ruthènes); Nouvelles diverses; Nécrologie (Erasmus Jerzmanowski, Adam Bełcikowski, Ladislas Nehring, Mme Vve Niewęgłowska et M. Vincent Dydział).

— KRYTYKA. Marzec. Część pierwsza. (f): Czy się odradzamy;—K. Stefański: Rzeczpospolita czy Polska;—d-r W. Gumpłowicz: O pojęciu cywilizacji;—d-r Zofia Daszyńska-Golińska: Dwie kooperatywy;—Andrzej Baumfeld: Religia w nauczaniu i wychowywaniu;—Junius: Współcześni politycy polscy: III. Wł. Studnicki: Przegląd: I. Z prasy społeczno-politycznej;—II. K. Este: Listy z Królestwa;—III. H. Orsza: Ze spraw wychowawczych;—IV. Junius: Z trzech zaborów;—Sprawozdania z nowości wydawniczych. Część druga. St. Wyspiański: Z teki pośmiertnej: To Polska! Polska! to ojczyzna nasza. Do „Nocy Listopadowej.“ Część muzyczna. M. Soleski: Przędziwo Arachny;—A. Szczęsny: Grody obłoków. Dusze słoneczne;—St. Antoni Müller: Dyonizos, nowella;—Kaz. Bieżyński: Przedśmiertne słowa;—Mich. Mutermilch: Listy francuskie. I. Dziś;—Sydor Twerdochlib: Z najmłodszej pieśni ukraińskiej;—Przegląd: I. Z prasy literackiej;—II. Bol. Walewski: Nowa opera polska;—III. Gustaw Baumfeld: Teatr polski w Łodzi;—IV. Be-Wu: Mieczysław Karłowicz. Wspomnienie;—Sprawozdania;—Tres: Nowe powieści;—Emil Breiter: B. Shaw, jako krytyk.

— MIESIĘCZNIK HERALDYCZNY. Luty. D-r Władysław Semkowicz: O początkach rodu Geraltów i fundacyi klasztoru Norbertanów w Brzesku;—doktor Adam Bogusz: Mikołaj Bogusz z Kościelca (dok.): d-r Juliusz Dunikowski: Metryki (Limanowa);—Sprawozdania i recenzje;—Zagadnienia i odpowiedzi;—Sprawy Towarzystwa;—Pokwitowania uiszczonych kwot.

— MUZEUM. Luty. Krajowi inspektorowie szkół średnich;—Stabilizacja;—Projekt zastosowania planu nowych gimnazyów realnych do potrzeb szkół średnich w Galicyi, ułożony przez lwowski komitet przygotowawczy reformy szkolnej;—Maciszewski M.: Nasza młodzież poza szkołą;—Bostel F.: Fundusz na środki naukowe w szkołach średnich;—Oceny i sprawozdania przez d-ra B. Bandrowskiego, W. Jankowskiego, d-ra W. Halma, M. Brandstättera, Stanisława Lewickiego, J. Magierę, d-ra K. Wojciechowskiego, Stanisława Pawłowskiego, J. Stacha, A. G.;—Wiadomości bieżące;—Wiadomości bibliograficzne;—Sprawy Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych.

B I B L I O G R A F I A.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

BELCIKOWSKI JAN: Papięze a kwestya polska w XIX w. Warszawa, 1909. Druk Bogusławskiego. 8-o, str. 40.

CZERMIŃSKI MARCIN, Ks. T. J. X.: Markiewicz Józef, T. J. misjonarz w Afryce. Wspomnienie pośmiertne. Kraków, 1909. Nakł. redakcyi „Misyj katolickich.“ Odbitka z „Misyj katolickich.“ 8-o, format mały, str. 47.

KAMIŃSKI, D-R: Papięstwo i kultura. Poznań, 1909. Nakł. księg. św. Wojciecha. Odczyty i broszury popularne dla Towarzystw polskich, XXV. 8-o, format mały, str. 31.

KĄDZIOLA MELCHIOR, Ks.: Kazania pasyjne. Siedm nauk o męce Pana naszego Jezusa Chrystusa z dodatkiem opisu cierpień Jego według słów Pisma św. Kraków, 1909. Nakł. „Prawdy.“ 8-o, str. 80.

KOZŁOWSKI WŁADYSŁAW M.: Przyrodoznawstwo i filozofia. Warszawa, 1909. Skł. gł. w księg. M. Arcta. 8-o, str. 204.

PIUSA X PAPIĘZA MOTU PROPRIO o chrześcijańskiej akcji ludowej. Warszawa, 1909. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 12.

SCHOPENHAUER ARTUR: Pisma niektóre. O nieśmiertelności istoty naszej. W przekładzie Antoniego Miecznika. Warszawa, 1909. Nakład księg. M. Borkowskiego. 8-o, str. 33.

H I S T O R Y A.

KONOPCZYŃSKI WŁADYSŁAW: Monografie w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom VII—VIII. Polska w dobie wojny siedmioletniej. Część I. 1755—1758. Przez... Z zapom. Kasy im. J. Mianowskiego. Warszawa, 1909. Skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. XVII + 548.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Miscellanea historyczne. XXXIII. Spisek konspiracyjny z roku 1829 w świetle prawdy historycznej, Kraków, 1909. Nakł. autora. Odbitka z „Przeglądu Polskiego.“ 8-o, str. 64.

